

---

**„AN  
EKS”**

**53**

**kwartalnik polityczny**

---

---

**"ANEKS"****kwartalnik polityczny 53/1989***spis treści*


---

**János Kis: Demokratyczne wyzwanie  
w Europie wschodniej** .....

---

**Zbigniew Brzeziński: Przemiany międzynarodowe  
i strategia polska** .....

---

**Paweł Kuczyński: „Solidarność” –  
problemy instytucjonalizacji** .....

---

**ZACHÓD WOBEC WSCHODU**  
**Mark Palmer: Czas działania** .....

---

**GOSPODARKA**  
**Kazimierz Z. Poznański: Spór o subsydia  
w handlu RWPG** .....

---

**Robert Kaczmarek: O Japonii** .....

---

**AMERYKAŃSCY NEOKONSERWATYŚCI**  
**Seymour Martin Lipset: Neokonserwatyzm:  
mit i rzeczywistość** .....

---

**Brigitte Berger, Peter L. Berger: Nasz konserwatyzm** .....

## PRYMAS POLSKI I JEGO DORADCY

Od redakcji .....	128
Prymas Polski kardynał Józef Glemp: Uwagi o projekcie dokumentu Prymasowskiej Rady Społecznej na temat: „Poszanowanie światopoglądów w państwie i społeczeństwie” z dnia 6 czerwca 1988 .....	131
Maciej Giertych: Oświadczenie .....	137
Wiktor Kulerski: Troska nie od dzisiaj .....	140

---

## KSIĄŻKI

Stanisław Barańczak: Horyzont absolutny .....	150
---	-----

---

O autorach .....	163
------------------	-----

---

---

### ANEKS – KWARTALNIK POLITYCZNY

Redaguje zespół – REDAKTOR: Aleksander Smolar  
56, rue de la Division Leclerc, 94 110 Arcueil, France

ADRES REDAKCJI: 61 Dorset Road, London W5 4HX, England

ZAMÓWIENIA ANEKSU oraz korespondencję prosimy kierować na adres redakcji.

*Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca*  
Copyright (©) by Aneks. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Przedruk w Polsce dozwolony z podaniem źródła. Prosimy o nadsyłanie egzemplarzy okazowych, które zawierają przedruk z *Aneksu*.

---

János Kis

## Demokratyczne wyzwanie w Europie wschodniej\* Szanse i zagrożenia

1. Ruchy demokratyczne narodziły się w Europie wschodniej w okresie ostatnich piętnastu lat – w tym samym czasie, gdy autorytarne rządy Europy południowej i Ameryki Łacińskiej rozpoczynały lub wręcz kończyły przechodzenie do demokracji. Jak dotąd, ruchy wschodnioeuropejskie nie podejmowały prób przekształcania samego systemu politycznego. Ich strategia nieodmiennie polegała na ograniczaniu się do rekonstrukcji społeczeństwa obywatelskiego w ramach systemu kontroli sprawowanej przez partię komunistyczną nad rządem i aparatem przymusu. Czasy takiego samoograniczenia się zdają się zbliżać ku końcowi. W Polsce i na Węgrzech podział władzy i oddzielenie państwa od partii komunistycznej staje na porządku dnia. Do tych dwóch krajów może dołączyć Czechosłowacja.

---

\* Tekst wystąpienia na konferencji poświęconej postępowi demokracji na świecie zorganizowanej przez National Endowment for Democracy w Waszyngtonie w maju 1989 roku.

2. Zarówno w Polsce jak na Węgrzech komunistyczne kierownictwo kraju samo zaproponowało ruchom opozycyjnym legalne istnienie i udział w rządach. Zrozumienie motywów i sensu tego gestu uważam za sprawę zasadniczą. Nieporozumieniem byłoby interpretowanie ostatnich wydarzeń w Polsce jako powtórki gdańskich negocjacji 1980 roku. Wówczas władze komunistyczne zostały przyparte do muru przez wyjątkowo silną falę strajkową i zaakceptowały rozmowy dlatego, że nie czuły się zdolne do wyeliminowania opozycji siłą ze sceny politycznej. Teraz zaś, będąc pod znacznie słabszą presją, władze dlatego zaproponowały rozmowy, że zainteresowane są *włączeniem* opozycji w struktury władzy. Na początku tej dekady „Solidarność” została najpierw uznana, a następnie wyjęta spod prawa. Przy jej końcu zarówno polscy jak węgierscy komuniści doszli do wniosku, że w obliczu kryzysu gospodarczego i społecznego nie istnieje inny sposób stabilizacji rządów niż podzielenie się władzą z partnerami rzeczywiście od nich niezależnymi. Po raz pierwszy od chwili objęcia Europy wschodniej systemem radzieckim, rządzące partie poczuły potrzebę posiadania legalnej opozycji po to, by po włączeniu jej w struktury władzy wykorzystywać jej autorytet do uprawomocniania narzuconych społeczeństwu wyrzeczeń i osłabienia oporu społecznego.

3. Uczestnicząc w grze rozpoczętej propozycją negocjacji, obie strony podejmują olbrzymie ryzyko. Władze komunistyczne dopuszczają bardzo realną możliwość, że zapoczątkowany przez nie proces zaprowadzi znacznie dalej, niż to zostało zamierzone. Wyłoni uczyniony w monocentrycznym systemie partii-państwa może stopniowo powiększać się aż do chwili osiągnięcia równowagi w ramach prawdziwie konkurencyjnej demokracji parlamentarnej. Szansa na taki rozwój wypadków jest jedynym uzasadnieniem podjęcia gry przez opozycję demokratyczną. Ta zaś ryzykuje, że miał zapoczątkować względnie uporządkowany proces przechodzenia do demokracji, postępowaniem swoim ustabilizuje władzę komunistyczną lub co najmniej pozbawi społeczeństwo jakiegokolwiek wiarygodnej siły opozycyjnej.

4. Wciągnięcie w sytuację uprawomocniania władzy komunistycznej nie jest jedynym ryzykiem, jakie podejmuje opozycja polska lub węgierska. Zapoczątkowany proces przemian nie będzie stabilny. Kontrola sprawowana przez obie strony tej

umowy nad swą bazą organizacyjną będzie prawdopodobnie narażona na poważne próby. Członkowie aparatu władzy zajmujący strategicznie pozycje mogą próbować zniweczyć umowę albo sabotując ją, albo wywołując otwarte prowokacje. Natomiast radykalowie opozycji mogą rozpocząć kampanię zmierzającą do delegitymizacji kompromisu zawartego z komunistami. W ten sposób umowa może upaść, zanim jeszcze przyniesie jakieś istotne efekty.

5. Procesowi przemian zagraża także kryzys gospodarczy. Stała degradacja gospodarki i wyrzeczenia niezbędne dla jej przezwyciężenia mogą przekonać tak zwaną milczącą większość, że demokratyzacja oznacza pogarszanie się sytuacji. Opozycja ryzykuje, iż zostanie obciążona współodpowiedzialnością za narastanie trudności. Komuniści mogą uznać taki rozwój wydarzeń za korzystny, gdyż dyskredytowałby on jakąkolwiek alternatywę dla ich władzy. W takim przypadku coraz silniejsze mogą być tęsknoty za dyscypliną i porządkiem, a więc i za „mężem opatrnościowym”, który uratuje kraj od chaosu politycznego i gospodarczego. Łańcuchowe narastanie masowych, gwałtownych wystąpień może wynikać z powszechnego zakwestionowania wszelkiej polityki, zarówno oficjalnej jak opozycyjnej.

6. Z kontekstem międzynarodowym również wiąże się pewne ryzyko. Nie wydaje się prawdopodobną nową konserwatywną stabilizacją w Związku Radzieckim, podobną do tej, którą zapewnił Breżniew po usunięciu Chruszczowa. Możliwe są natomiast ostre zwroty powodujące destabilizację procesów przemian w krajach wschodnioeuropejskich. Konflikty narodowościowe mogą odwrócić wówczas uwagę społeczeństwa od spraw demokracji i skłonić autorytarnych przywódców do mobilizacji sił nacjonalistycznych w celu skonsolidowania swej władzy; tak właśnie dzieje się w Serbii.

7. Te pobieżne uwagi mogą stwarzać wrażenie, że szanse na pokojowe i stabilne przejście do demokracji są w Europie wschodniej bardzo niewielkie. Zauważmy jednak, że aktualna sytuacja w Polsce i na Węgrzech nie jest przypadkowa. Imprium sowieckie weszło w okres zmierzchu i rozpadu. Rzecz jasna, państwo to wciąż dysponuje potencjałem wojskowym wystarczającym do przywrócenia siłą swej dominacji nad tym regionem. Nie ma już jednak siły *gospodarczej* umożliwiającej utrwalenie porządku wprowadzonego przemocą. Właśnie dlatego radziecka

interwencja wojskowa w Europie wschodniej staje się coraz mniej prawdopodobna. W sytuacji tej postępuje upadek gospodarki oraz szerzą się niepokoje polityczne. Nie istnieje inny sposób ustabilizowania Europy wschodniej niż wolny rynek i demokracja polityczna. Można więc żywić pewną nadzieję, że niebezpieczeństwa związane z przejściem do demokracji zostaną przewyżczone; by tak się stało, musimy je jednak uważnie przewidywać. Wszystkie siły wewnętrzne i zewnętrzne popierające zmiany ku demokracji winny mieć strategię stabilizowania zachodzących procesów.

8. By nie przedłużać mego wystąpienia, a także dlatego, że ma ono miejsce w Waszyngtonie, skoncentruję się na tym, co – moim zdaniem – mogą w tej sprawie uczynić rządy zachodnie.

Mają one pewne możliwości przyspieszenia przemian gospodarczych i zmniejszenia ich kosztów społecznych. Zmniejszenie ciężaru długów duszących gospodarkę polską i węgierską, a także utrzymywanie (w przypadku Węgier) lub wznowienie (w przypadku Polski) dopływu kredytów – to rzeczy absolutnie konieczne. Nie myślę bynajmniej o kontynuacji polityki łatwych kredytów, topionych bez efektu w naszych marnotrawnych systemach gospodarczych. Nie chodzi też o umorzenie długów, lecz o przekształcenie ich w udziały w przedsiębiorstwach przemysłowych, które można będzie odsprzedać. Należy popierać reprivatyzację, a konsorcjum wierzycieli powinno żądać uprawnień do bezpośredniej kontroli. Udzielenie nowych kredytów można uwarunkować przyspieszeniem tempa reprivatyzacji. Dodatkowym warunkiem może być pluralizacja polityczna, będąca gwarantem znaczących zmian w gospodarce. Po drugie, *Ostpolitik* polegająca na ograniczeniu się do współpracy z rządami powinna zostać zdecydowanie odrzucona. To samo jednak dotyczy postawy zimnowojennej polegającej na całkowitym odrzuceniu poważnych rozmów z rządami – jeżeli są istotne szanse dla wynegocjowania procesu przemian. Zachód nie powinien stawiać na jedną ze stron, lecz powinien popierać umowę społeczną między nimi. Oczywiście, nie może to oznaczać pozostawienie opozycji na łaskę i niełaskę tak zwanego proreformatorskiego skrzydła w kierownictwie partyjnym.

Poprzez uznanie faktycznego pluralizmu sceny politycznej, rządy zachodnie mogą przyczynić się do jego konsolidacji i dalszego rozwoju.

Po trzecie, wymaga zmiany zachodni sposób patrzenia na sprawę stabilności i pokoju w Europie. Przyzwyczailiśmy się mówić w tym kontekście wyłącznie o uzbrojeniu. W rzeczywistości asymetria sił między NATO i Paktem Warszawskim nie sprostawała się do braku równowagi sił stacjonujących po obu stronach. Istnieje także nierównowaga organizacyjna. Kraje wschodnioeuropejskie musiały w bardzo znacznym stopniu oddać kierowanie swymi wojskami w ręce dowództwa radzieckiego; okupacyjne oddziały Armii Czerwonej mogą poruszać się swobodnie po terytorium państw sprzymierzonych i nie istnieją żadne zabezpieczenia przeciwko możliwości interwencji wojskowej ze strony innych krajów-członków Paktu Warszawskiego. Pakt Warszawski będzie dla Europy czynnikiem groźnym i nieprzewidywalnym tak długo, jak długo sytuacja ta nie ulegnie zmianie. Konieczne więc jest, by wycofywaniu oddziałów radzieckich z krajów Europy wschodniej towarzyszyło odzyskanie przez nie suwerennej kontroli nad swymi armiami i swym terytorium w ramach Paktu Warszawskiego. Związek Radziecki musi także otwarcie wyrzec się używania w przyszłości siły, czy groźby jej użycia w celu wpływania na przemiany zachodzące w krajach sojusznicznych. Im szybciej to nastąpi, tym lepiej przejście do demokracji w krajach Europy wschodniej będzie zabezpieczone przed skutkami zmian w polityce radzieckiej.

Wreszcie, Zachód powinien zdecydowanie poprzeć uciskane mniejszości narodowe Europy wschodniej. Akcje tego rodzaju jak zamach Serbów na autonomię okręgu Kosovo nie powinny pozostawać bez odpowiedzi. Ceausescu powinien być izolowany, a jego następcy muszą zdawać sobie sprawę, że Rumunia nie zostanie przyjęta do rodziny narodów cywilizowanych, dopóki nie zdemokratyzuje się, co między innymi oznacza ochronę praw mniejszości. Alternatywą dla tej zdecydowanej polityki jest bałkanizacja, która może usprawiedliwiać próby przywrócenia w tym regionie *pax sovietica*. Ale do *pax sovietica* nie ma już powrotu, a bałkanizacja nie jest jedyną alternatywą.

János Kis

Tłum. Marek Tabin



Zbigniew Brzeziński

## Przemiany międzynarodowe i strategia polska\*

Dzisiejsze spotkanie ma szczególne znaczenie dla mnie jako Amerykanina polskiego pochodzenia, jako Polaka, który został Amerykaninem. Gdy byłem dzieckiem, moim pierwszym politycznym przeżyciem było poczucie głębokiej dumy z odrodzenia Polski, a jako człowiek dorosły, będąc już Amerykaninem, zaangażowałem się w sprawy polityczne Stanów Zjednoczonych. Wiem, że wielu ludziom trudno jest zrozumieć, jak można być Amerykaninem nie będąc w Ameryce urodzonym.

Powiem po prostu: można być dobrym Amerykaninem nie wyzając się w niczym własnego pochodzenia etnicznego i narodowego. Amerykanin nie dzieli z innymi Amerykanami tej samej przeszłości, lecz wraz ze swymi amerykańskimi rodakami bierze udział w budowaniu wspólnej przyszłości, opartej na założeniach konstytucji amerykańskiej. Najważniejsze z tych założeń jest bar-

---

\* Tekst wystąpienia Zbigniewa Brzezińskiego na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i na Uniwersytecie Jagiellońskim w maju 1989 r.

dzó proste. Jednostka stanowi najwyższą wartość we wspólnocie, która wiąże człowieka ze społeczeństwem. Państwo służy społeczeństwu, a nie panuje nad nim. Ameryka ma wiele słabych stron, ale pod jednym względem godna jest podziwu: w Ameryce prawo jest ponad wszystkim. Broni przywilejów i uprawnień obywatela przed naruszeniem ich przez rząd. Nikt, powtarzam nikt, nie wyłączając prezydenta, nie stoi w Ameryce ponad prawem. A praworządność konstytucji wynika z samorządności społecznej – co jest oczywiście istotą demokracji.

Mówi więc do was Amerykanin, który czuje się głęboko związany zarówno z Polską jak i z Ameryką. [Niech mi państwo wybaczą pewne językowe niedociągnięcia. Tylko trzy lata – między siódnym a dziesiątym rokiem życia – spędziłem w Polsce.]

Jestem dumny, że mogę do państwa z tego miejsca przemawiać. Ten uniwersytet podkreśla więzy Polski z Europą i jej cywilizacją.

Mam na myśli Europę nie w sensie geograficznym lecz kulturowym. Ta autentyczna prawda znowu się dziś objawia. Dzięki temu mogę dziś do państwa przemawiać i to przemawiać swobodnie, nawet jeśli moje poglądy nie wszystkim się podobają. Wolność myśli i słowa należy do polskich tradycji i do historii tego uniwersytetu. Przez to właśnie, że Polska jest w trakcie powrotu do Europy, nasza dyskusja dziś może być tak swobodna i to właśnie dla mnie ma szczególne znaczenie.

Chcę podzielić się z państwem niektórymi myślami na temat przemian, jakie zachodzą dziś w skali globalnej oraz ich znaczenia dla Europy środkowo-wschodniej. Świadomie używam terminu Europa środkowo-wschodnia, a nie Europa wschodnia. Europa wschodnia jest określeniem przejściowego stanu rzeczy, jaki wytworzył podział Europy istniejący od roku 1945.

Ten podział jest skutkiem dwóch wojen europejskich, które łącznie stały się politycznym samobójstwem Europy. Obie te wojny były ściśle związane z wiekiem ideologii – obsesyjnym dążeniem do raju na ziemi w imię fanatycznych doktryn, które rościły sobie pretensje do wszechwiedzy i totalnej władzy.

Na szczęście dla ludzkości, wiek ideologii nareszcie przemija. Jest pociesającym zjawiskiem, że *glasnost* odrzuca dogmaty i roszczenia do nieomylności. Należy życzyć powodzenia Gorbaczowowi w jego dążeniach do zerwania z przeszłością, głębokiej

rewizji polityki zagranicznej i stosunków z sąsiadami. Ułatwia to roztrząsanie problemów, które dawniej rozwiązywane były siłą. Dokonywujące się obecnie przemiany w skali światowej są zaś brzemienne w skutki zarówno dla tych, którzy żyją w Waszyngtonie, jak i w Moskwie czy w Krakowie.

W moim przekonaniu cztery zasadnicze zmiany w światowym układzie geopolitycznym mają szczególne znaczenie dla przyszłości Europy środkowo-wschodniej.

Pierwsza z nich to rosnąca w całym świecie świadomość wyższości politycznego i społecznego pluralizmu nad systemem totalnym. Wyższości nie tylko w sensie moralnym, ale polegającej również na tym, że ustrój pluralistyczny jest dużo bardziej sprawny. (Dodam tu, że jeszcze nie tak dawno niektóre „teoretyczne” periodyki marksistowskie krytkowały mnie za propagowanie pluralizmu, a obecnie same awansowały termin „socjalistyczny pluralizm” do jakiejś sakramentalnej formuły). Społecznogospodarcza wyższość systemu pluralistycznego jest przygniatająca, zarówno jeśli chodzi o stopę życiową jak zdolności wyzwalania umysłowych sił twórczych i atrakcyjności stylu życia. W miarę jak przemija wiek ideologii, świat staje się świadkiem głębokiego kryzysu doktryny, która dominowała nad tym stuleciem. W jej imieniu miliony ludzi zostało wygnanych, potajemnie straconych lub poddanych straszliwym cierpieniom. Ci, którzy byli rządzani w jej imieniu, wiedzą, że po prostu nie sprawdziła się. A ci, którzy rządzą w jej imieniu, prawie we wszystkich przypadkach, z wyjątkiem może Kuby i Północnej Korei, wkraczają na drogę reform, które polegają na porzuceniu dogmatycznych pozycji. Jest to historyczne wydarzenie o przełomowym znaczeniu, brzemienne w skutki. Mówiąc krótko, polega ono na tym, że instytucje oparte na zamierającej doktrynie załamują się.

Wiąże się to wszystko z innym faktem. Wylania się Europa jako nowa gospodarcza i polityczna siła w skali światowej. Rany, które zadały Europie dwie samobójcze i niszczące wojny europejskie, zablizniają się. Dzisiejsza Europa pod względem dochodu społecznego dorównuje prawie Stanom Zjednoczonym. Wkrótce Europa stanie się największym na świecie wewnętrznym rynkiem i będzie miała największe na świecie obroty handlowe. Do gospodarczego zjednoczenia Europy dojdzie w ciągu następnych pięciu

lat. Choć integracja polityczna pozostaje w tyle za scaleniem gospodarczym, znaczenie tego procesu jest olbrzymie.

Oznacza to nic innego, jak wyłonienie się nowego, wielkiego partnera na scenie międzynarodowej, zdominowanej w ciągu czterech ubiegłych dziesięcioleci przez dwa supermocarstwa: Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki. Ale ten nowy partner, podobnie jak Ameryka, oprze się na systemie politycznego i gospodarczego pluralizmu. Będzie wspólnotą demokratyczną, a przez to będzie wywierał potężny wpływ magnetyczny w sensie gospodarczym, politycznym i kulturalnym na ten obszar, który staje się obecnie z powrotem Europą środkowo-wschodnią.

Trzecia wielka przemiana polega na przesunięciu ekonomicznego punktu ciężkości w rejon Pacyfiku. Rejon ten przeżywa obecnie najbardziej dynamiczną ekspansję gospodarczą. Japonia już dorównuje Stanom Zjednoczonym w rozwoju tych gałęzi produkcji, w których występuje największy postęp techniczny. Pod względem dochodu społecznego Chiny zbliżają się już do Związku Sowieckiego. Według niektórych specjalistycznych badań amerykańskich do roku 2010, a więc już za 20 lat, potęgi gospodarcze zajmą miejsca w światowej czołówce w następującej kolejności: Stany Zjednoczone, na drugim miejscu Europa, na trzecim Japonia albo Chiny, a Związek Sowiecki dopiero na miejscu piątym. Co więcej, połączony dochód społeczny Japonii, Południowej Korei i Tajwanu będzie się mniej więcej równał dochodowi Stanów Zjednoczonych. Wtrąć tu, że niestety – jak wielu z państwa zdaje sobie z tego sprawę – Południowa Korea, niegdyś jeden z najbardziej zacofanych krajów świata, prześcignęła już Polskę, jeśli chodzi o wysokość dochodu społecznego, w handlu zagranicznym i w rozwoju technologii. Nawiasem mówiąc eksport maszyn z samego tylko Singapuru do krajów OECD przekracza wywóz z całej tak zwanej obecnie Europy wschodniej.

Wszystko to ma ogromne znaczenie dla Stanów Zjednoczonych. Pociągnąć musi za sobą reorientację amerykańskich perspektyw na przyszłość. Partnerskie stosunki z Japonią w skali globalnej odsuwają na plan dalszy tradycyjne i specjalne stosunki Stanów Zjednoczonych z Wielką Brytanią. Warto tu dodać, że Ameryka przechodzi także proces pewnej orientalizacji. Na

wszystkich czołowych uniwersytetach amerykańskich studenci amerykańscy, którzy pochodzą z Azji wschodniej, wybijają się na pierwsze miejsca. Na niektórych czołowych uniwersytetach Amerykanie japońskiego, koreańskiego i chińskiego pochodzenia stanowią ponad jedną trzecią studentów. Nieuniknioną konsekwencją tego musi być mniejsza koncentracja uwagi na Europie. Amerykanie nie odseparują się od Europy, ale przesunięcie głównej uwagi w stronę Pacyfiku i powstanie bardziej zjednoczonej Europy oznacza, że stosunki w łonie Wspólnoty Atlantyckiej ulegną pewnej zmianie. Prawdopodobnie będzie to oznaczać zredukowanie amerykańskich sił wojskowych na kontynencie, a tym samym przejęcie większej roli przez bardziej niezależną Europę w stosunkach między Wschodem a Zachodem; zwłaszcza w odniesieniu do Europy środkowo-wschodniej.

W miarę scalania się Europy, w miarę jak rosnąć będzie dla Ameryki znaczenie Azji południowo-wschodniej, i w miarę jak komunizm będzie zanikać jako dynamiczna i atrakcyjna ideologia – zimna wojna między Ameryką a Rosją schodzić będzie na plan dalszy w stosunkach międzynarodowych. Osobiście nie wątpię, że obecne kierownictwo sowieckie szczerze pragnie poprawy stosunków amerykańsko-sowieckich. Myślę jednak, że źródłem tego dążenia jest przewlekły kryzys polityczny i społeczny, który prawdopodobnie będzie miał w ciągu następnych lat dominujący wpływ na sytuację wewnętrzną w Sowietach. Nie sądzę, by Sowiety mogły rozwiązać w ciągu następnych lat główny dylemat ustroju. Polega on na tym, że osiągnięcie gospodarczego postępu wymagałoby destabilizacji politycznej. Natomiast utrzymanie stabilności politycznej zmuszałoby do poświęcenia postępu gospodarczego. Dylematem jest sprzeczność między potrzebą decentralizacji systemu gospodarczego a obawą, że taka decentralizacja doprowadzi do rosnących napięć między narodami ZSSR. W każdym wypadku naturalną konsekwencją wewnętrznego kryzysu musi być osłabienie globalnych ambicji i skoncentrowanie uwagi grupy rządzącej na problemach wewnętrznych. Będzie temu odpowiadać równoległe dążenie Ameryki do skoncentrowania się na własnych sprawach i rozwinięcia stosunków z rejonem Pacyfiku. Zimna wojna zmierza zatem co najmniej do rozejmu, jeśli nie do formalnego zakończenia.

Wszystkie te wielkie przemiany będą miały duże znaczenie dla Europy środkowo-wschodniej. Jest to rejon bardzo wrażliwy na przesunięcia w układzie sił. Przypomnijmy sobie zmiany, jakie zaszły w ciągu tego stulecia. Równowaga sił między mocarstwami, której główną ofiarą była podzielona Polska, runęła w czasie pierwszej wojny światowej. Miejsce tego układu zajęła mozaika niezależnych państw i narodów, których istnienie opierało się na chwilowym osłabieniu zarówno Niemiec jak i Rosji. System ten upadł z kolei w czasie drugiej wojny światowej. Doprowadziło to do obecnego podziału Europy między dwa pozaeuropejskie mocarstwa.

Narzuca się teraz pytanie: co z tego wszystkiego może wyniknąć dla Polski, jakie konkretne wnioski Polska powinna wyciągnąć z dokonywujących się przeobrażeń. Trzeba postawić trudne pytania, których nie da się uniknąć, nie po to, by prowokować irytację, lecz aby pobudzić do myślenia. Jakie perspektywy na przyszłość ma Związek Sowiecki? Moim zdaniem ani powrót do przeszłości, ani gwałtowna dezintegracja nie są pożądane. W jednym i w drugim wypadku nastąpiłby okres intensywnych zaburzeń, prawdopodobnie gwałtownych, i przebudzenia się wielkorosyjskiego szowinizmu. Przekreśliłoby to nadzieje na doprowadzenie w dłuższej perspektywie do prawdziwej demokracji.

Jaka rola przypadnie Niemcom w tej nowej, płynnej sytuacji w obliczu emancypującej się Europy środkowo-wschodniej? Pod względem ekonomicznym rola Niemiec może być bardzo konstruktywna, biorąc zwłaszcza pod uwagę rozpaczliwą sytuację gospodarczą i brak możliwości uzyskania pomocy gospodarczej i technicznej ze strony Związku Sowieckiego. Ale istnieje także inna możliwość, niam nadzieję, mało prawdopodobna. Niemcy, które nagle odzyskują poczucie własnej siły i staną się bardziej dynamiczne aniżeli jakiegokolwiek inne mocarstwo w tym rejonie, mogą wzniecić znowu obawy o spory terytorialne. Co więcej, pewne formy niemieckiej aktywności na wschodzie mogą mieć podwójnie negatywne skutki: jeśli Niemcy będą party na wschód, osłabi to ich proces integrowania z Europą zachodnią, albo wciągnie osłabioną Rosję do jakiegoś nowego układu z Niemcami kosztem interesów niektórych krajów tego obszaru.

Leży więc w interesie Europy środkowo-wschodniej i zgodne jest z amerykańskimi interesami, by Niemcy stały się w pełni inte-

gralną częścią Europy zachodniej i aby nie powiodły się próby przeciagięcia Niemiec podejmowane ze wschodu.

Wynika z tego także, iż nie należy sobie życzyć, aby Rosja pochłonięta przewlekłymi problemami wewnętrznymi, Rosja która będzie musiała przebudować swoje stosunki z innymi narodami wchodzącymi w skład Związku Sowieckiego, była wystawiona na pokusy ze strony Niemiec albo wrogość okazywaną wobec jej interesów przez Polskę. W Polsce odżywa obecnie życie polityczne i wolna myśl polityczna. Musi temu także towarzyszyć ożywienie strategicznego myślenia. Ta strategiczna myśl wybiegać musi daleko poza cel niepodległości, który rzecz jasna, przyświeca każdemu patriotycznemu Polakowi. Kluczowym elementem polskiej strategii państwowej musi być dążenie do prawdziwego pojednania między Polską a Rosją. Pojednanie to musi – między innymi sprawami także – oczyścić przeszłość ze wszystkich czerwonych plam. Symbolem trudności na tej drodze jest niechęć wyjaśnienia i ujawnienia prawdy o losach jeńców i ofiar Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa.

Pamiętamy, że Polska była ofiarą zarówno hitleryzmu jak i stalinizmu. Ale powinniśmy także pamiętać, że w latach stalinizmu ludność Związku Sowieckiego była także ofiarą masowych zbrodni, że Rosjanie wraz z innymi byli ofiarami masowych morderstw w nie mniejszej skali od tych, które popełniono na ludności polskiej.

Pojednanie jest konieczne zarówno ze względów moralnych jak i strategicznych. Musi ono wypływać z założenia, że w polskim interesie leży, by Niemcy związane były jak najściślej z Europą zachodnią i aby Związek Sowiecki przeobraził się w prawdziwą konfederację narodów.

Rozwiązanie problemów narodowościowych Związku Sowieckiego będzie procesem bardzo długim i niezwykle trudnym. Nikt dziś nie może przewidzieć, czy ten proces uda się przeprowadzić. Nie leży w interesie polskim stwarzanie wrażenia, że Polacy pragną, a zwłaszcza że chcą się angażować czynnie (tj. politycznie – w odróżnieniu od postawy moralnej) w narodowościowe konflikty w Związku Sowieckim.

Uważam także, że przynależność Polski do Paktu Warszawskiego może być elementem pozytywnym. Pod warunkiem jed-

nak, że pakt ten przestanie być instrumentem narzucania ortodoksyjnej ideologii, lecz służyć będzie geopolitycznej i terytorialnej stabilizacji Europy. Inaczej mówiąc, jeśli przestanie być narzędziem dominacji wielkiego mocarstwa, a stanie się, podobnie jak NATO, podstawą stabilności w ramach szerszego układu. Tak przekształcony Pakt Warszawski byłby rękojmią dla Moskwy, że Ameryka nie zamierza rozciągać swoich wpływów po Bug, ale dąży raczej do odbudowania Europy bardziej autentycznej w sensie historycznym.

Leży także w interesie ustabilizowania stosunków w Europie, aby w Europie środkowo-wschodniej nie powstała próżnia w sensie politycznym i ekonomicznym, gdy oba supermocarstwa będą się jakoś wycofywały z pozycji konfrontacyjnych, zajętych po drugiej wojnie światowej. Wynika z tego, że Polska powinna wznowić dyskusję nad rozszerzeniem regionalnej współpracy między narodami Europy środkowo-wschodniej.

Jeden rzut oka na polityczną i gospodarczą mapę Europy narzuca konieczność daleko bliższej współpracy między Polską a Czechosłowacją. Zachodnia Europa zmierza do zjednoczenia. Upłyną lata, zanim Związek Sowiecki zmieni strukturę i charakter swego wielonarodowego państwa. Europa środkowo-wschodnia powinna w tym czasie doprowadzić do zacieśnienia współpracy między swymi krajami. W tych ramach federacja polsko-czechosłowacka może stać się elementem siły i stabilności. Połączenie zasobów ludnościowych i gospodarczych obu państw zapewniłoby tej federacji miejsce ważnego elementu w konstelacji europejskiej.

Obecny, neostalinowski reżym w Czechosłowacji ledwie się trzyma na nogach. Prędzej czy później musi tam dojść do zmian, podobnie jak się to dziś dzieje w Polsce i na Węgrzech. Tego rodzaju formacja, która nie byłaby nastawiona wrogo wobec Wschodu, a utrzymywałaby związki gospodarcze z Europejską Wspólnotą Gospodarczą, jak również Europą środkowo-wschodnią oparta na bliższej współpracy swoich członków, otworzyłaby dużo szersze możliwości polityczne i gospodarcze przed autentycznie suwerenną Polską.

Trzeba tu dodać, że tego rodzaju regionalna współpraca nie może i nie powinna być pomysłana jako jakiś nowy „cordon sani-



taire", mający na celu izolowanie Związku Sowieckiego. Wręcz przeciwnie. Współpraca regionalna powinna stać się żywotnym elementem składowym prawdziwego „wspólnego domu europejskiego”, który nie będzie już rozdarty zasiekami z drutu kolczasteo. Najszerzej rozumiana wspólnota europejska składałaby się ze zjednoczonej Europy zachodniej i z Europy środkowo-wschodniej związanej pogłębioną wewnętrzną współpracą, z tym, że oba te zgrupowania współpracowałyby w sposób konstruktywny ze Związkiem Sowieckim bardziej otwartym na świat zewnętrzny. W moim przekonaniu tego rodzaju układ przyczyniłby się najlepiej do bezpieczeństwa i gospodarczych interesów Polski. Tak więc najważniejsze strategiczne interesy Polski wymagają: po pierwsze – dobrych stosunków z Niemcami, które stanowiłyby integralną część Europy zachodniej, a więc z Niemcami, dla których Europa środkowo-wschodnia nie byłaby już pokusą przez swoje wewnętrzne konflikty i słabości. Po drugie – przymierza z Rosją albo Związkiem Sowieckim opartego na wspólnych interesach geopolitycznych. Przymierza, które odebrałoby, albo przynajmniej osłabiłoby pokusę porozumienia Rosji z Niemcami. Alians taki nie polegałby już na podporządkowaniu się słabszego mocniejszemu. Po trzecie – związku między Polską a Czechosłowacją, który byłby elementem stabilizacji w Europie środkowo-wschodniej, ale nie służyłby za narzędzie polityki zachodniej wymierzonej przeciwko Rosji.

Na zakończenie kilka jeszcze uwag:

Tylko dwa lata dzieli Polskę od dwuchsetnej rocznicy Konstytucji Trzeciego Maja. Będzie to prawdziwa okazja do odnowienia w pełni demokratycznej i samorządnej Rzeczypospolitej Polskiej, oraz bardziej stabilnej Europy środkowo-wschodniej. Powinno stać się celem narodowym, aby w tym dniu Polska mogła mieć autentycznie własną konstytucję i formę rządów opartą na własnych, bardzo bogatych tradycjach konstytucyjnych oraz władze wyłonione w wolnych wyborach przez społeczeństwo. Osiągnięcie tego celu umożliwiłoby Polsce wniesienie własnego wkładu do nowego układu europejskiego i nowego, przeobrażonego porządku światowego.

Taka Polska mogłaby liczyć na pomoc w rozwiązywaniu swoich wewnętrznych trudności gospodarczych ze strony Ameryki i

Europy zachodniej. Kompromis polityczny osiągnięty dzięki mądrości obu stron reprezentowanych przy okrągłym stole zdobył sobie wielkie uznanie na Zachodzie. Jeżeli w ślad za reformą polityczną podjęte będą równoległe reformy gospodarcze, można oczekiwać, że państwa zachodnie i międzynarodowe instytucje finansowe będą się starały dopomóc Polsce w szybszym wzroście ekonomicznym, w rozbudowie handlu zagranicznego i szerokiej modernizacji jej potencjału przemysłowego. Jedno mogę stwierdzić kategorycznie: Prezydent Stanów Zjednoczonych, który niebawem ma odwiedzić Polskę, interesuje się nią głęboko i żywi dla narodu polskiego prawdziwy szacunek. Nie ma on zamiaru podpisywania jakiegś nowej umowy jałtańskiej ponad głowami narodów Europy środkowo-wschodniej i ponad głowami całej Europy. Nowa Jalta nie będzie odpowiedzią na przeobrażenia, które dokonują się obecnie w tej części świata.

Oczywiście, budowa regionalnej, bliższej współpracy narodów Europy środkowo-wschodniej zajmie więcej czasu, aniżeli ambitna odnowa, którą oglądamy obecnie w Polsce. To samo odnosi się do usunięcia z Europy ostatnich pozostałości zimnej wojny. Ale sam fakt, że tego rodzaju problemy mogą być obecnie przedmiotem dyskusji, że możemy mówić o tych dalekosiężnych celach, dowodzi, jak daleko sięgają historyczne przemiany, których jesteśmy świadkami. Uzasadniają one uczucia optymizmu, a równocześnie tłumaczą apokaliptyczny pesymizm wrogów wolności. Nie ulega żadnej wątpliwości, że wiatr historii zmienia swój kierunek, i że na całym świecie wzbierają fale ruchu demokratycznego.

To są myśli, jakimi pragnęłam podzielić się z państwem jako obywatel amerykański, czynnie zaangażowany w życie polityczne Stanów Zjednoczonych i jako Polak urodzony na tej ziemi, wdzięczny za gorące przyjęcie, jakie państwo mi dziś zgotowali.

Zbigniew Brzeziński

Paweł Kuczyński

## „Solidarność” – problemy instytucjonalizacji

W szkicu tym chcę rozważyć dwa pytania wiążące się z rozmowami okrągłego stołu, lecz wykraczające równocześnie poza to ważne wydarzenie. *Po pierwsze*, jakie były faktyczne warunki, które spowodowały, że zażarci przeciwnicy zaczęli ze sobą rozmawiać? Dzięki czemu doszło do rozmów władzy z „Solidarnością”? Czy tę zmianę obyczajów zawdzięczamy jakimś przewartościowaniom, które zaszyły po obydwu stronach konfliktu? Co w efekcie doprowadziło do ich zbliżenia się ku sobie? Co z góry zostało przesądzone i jakie w związku z tym ograniczenia charakteryzowały *a priori* ewentualne uzgodnienia? *Po drugie*, warto sobie postawić pytanie, w jakiej sytuacji znalazła się obecnie „Solidarność”? Jakie zmiany w niej zachodzą?

W przyszłości historycy zapewne odnotują, że dwie fale strajków, które przeszły przez Polskę w 1988 roku, nie miały charakteru masowego, lecz za to charakteryzowały się determinacją strajkujących. Zauważą, że doprowadziły na początku 1989 roku – nie bez licznych trudności – do tak zwanych „rozmów okrągłego stołu”. Pisząc o latach osiemdziesiątych socjologowie przeanaliz-

zują zapewne dogłębnie różnice pomiędzy strajkami sierpniowymi z 1980 i 1988 roku. Dostrzegają, że te późniejsze, domagające się przywrócenia „Solidarności” i podwyżek płac, zapoczątkowały postępujący w „Solidarności” podział na radykałów i umiarkowanych. Z jednej strony, zwolenników wywierania silnego i jednoznacznego nacisku na władzę, a z drugiej, na zwolenników wykroczenia poza „formułę związkową”, czyli wzięcia na siebie ciężaru decyzji dotyczących całego kraju, a zatem i odpowiedzialności za nie. Socjologowie wyciągną zapewne wnioski z faktu, że strajki 1988 roku ujawniły inne podziały załóg pracowniczych niż te, które uważano za decydujące w niedawnej przeszłości będącej dziedzictwem stanu wojennego. Oto nieoczekiwanie ton strajkom nadawali najgorzej sytuowani pracownicy, a nie wykwalifikowani, których w 1980-1981 roku uważano za aktywny trzon ruchu społecznego. Nowa sytuacja wyrażała się także w tym, że w strajku stawali obok siebie człowiek „Solidarności” i członek PZPR mając za przeciwników mistrza sprzymierzzonego z dyrektorem przedsiębiorstwa.

Sądzić można, że dla przyszłych badaczy tego okresu frapującym zagadnieniem będzie także to, dlaczego „okrągły stół” wywalczony przez „Solidarność” za sprawą ekonomicznych strajków tak dużo uwagi poświęcił problemom budowy założeń demokracji i częściowo autonomicznego ładu instytucjonalnego, skoro najbardziej palącym zagadnieniem była kwestia radykalnej naprawy gospodarki? Dlaczego w sytuacji gwałtownego obniżania się poziomu życia milionów pracowników sektora państwowego i emerytów „Solidarność” nie wycofała się na pozycję obrony interesów ekonomicznych, lecz śmiało wkroczyła w świat polityki. Szukając odpowiedzi na powyższe pytania badacze tego okresu na pewno z uwagą prześledzą usiłowania „lit „Solidarności” i jej najwybitniejszych przywódców zmierzające do pogodzenia ze sobą doraźnej taktyki obronnej Związku z konstruktywnym projektem przebudowy polityki i gospodarki. Nie wiemy dzisiaj oczywiście, czy historycy napiszą kiedyś o sukcesie, czy też stwierdzą, że „usiłowania te okazały się daremne”. Nie próbując zgadywać przyszłości, ograniczmy się tu do sformułowania trzech tez.

*Teza pierwsza:* Rozmowy „okrągłego stołu” nie były wynikiem przewartościowań dokonanych przez którąkolwiek z stron pozo-

stających konkurencyjnymi siłami politycznymi począwszy od 1980 roku. Negocjacje zawdzięczamy temu, że ich uczestnicy interesowali się przede wszystkim rozwiązaniami politycznymi oraz że zbliżyła ich ku sobie malejąca waga takich rozwiązań i tym samym słabnąca rola polityczna „Solidarności” i PZPR. Dobre czy złe chęci negocjujących stron mogą okazać się bez znaczenia wobec bardziej niż prawdopodobnej hipotezy, iż przyszłe losy polskiego społeczeństwa zależą będą w decydującym stopniu od procesów żywiołowych, nie kontrolowanych ani przez władzę, ani przez opozycję. Spóźnione negocjacje, dalekie echo żądań sprzed kilku lat, zostały wywołane przez wybuch społecznego niezadowolenia, który zaskoczył wszystkie aktywne siły polityczne. Strajki w 1988 roku nie zaskoczyły jedynie działaczy „Solidarności”, którzy je w przedsiębiorstwach organizowali.

Nie warto byłoby mówić o „dobrej woli” negocjujących stron, gdyby nie to, że zakłada się coś podobnego po stronie społeczeństwa, któremu negocjatorzy przyznali większe swobody polityczne. Przyjmuje się, że w społeczeństwie istnieje wola polityczna, którą dla uproszczenia sprowadzimy tutaj do zainteresowania sprawami publicznymi i chęci uczestnictwa w ramach powstających instytucji politycznych. Jest to założenie nader optymistyczne zważywszy, iż zaangażowanie polityczne lat 1980-1981 zostało następnie wystawione na dotkliwą próbę. Wola polityczna przetrwała w formie raczej szczątkowej, w działaniach licznych amatorsko-zawodowych grup politycznych reprezentujących różne odłamy społeczeństwa. Pojawia się także, tu i ówdzie, w sytuacji strajku, obejmując różne kategorie zawodowe i orientacje polityczne uczestniczące we wspólnym proteście<sup>1</sup>. Nawiasem mówiąc, można posądzać partię, że odwlekła moment rozpoczęcia negocjacji przy okrągłym stole, licząc na ochłodzenie nastrojów z sierpnia 1988 roku.

Problem, kto i jak będzie sprawował władzę w Polsce, jest tak zasadniczy dla „Solidarności” i partii, że zamiast o dobrej woli, którą deklarują obie strony, lepiej jest mówić o żywotnym konflikcie interesów. Podobnie bowiem jak działacze opozycyjni nie zmienili zdania na temat metod sprawowania władzy przez partię, tak i przedstawiciele PZPR nie dali się przekonać, że uładzona „Solidarność” już nie zagraża podstawom socjalizmu. Zbliżenie

stron nie oznacza zbliżenia stanowisk, lecz bierze się z podobne go poczucia zagrożenia pozycji i wpływów, z tą jednak różnicą, że PZPR boryka się z tym problemem od dawna. Negocjatorzy „Solidarności” wierzą w swoje racje, a więc i w społeczne poparcie dla swoich poczynań. Wiara „Solidarności”, której brak stronie nazywającej siebie „koalicyjno-rządową”, wypływa z przekonania o istnieniu owej woli politycznej, z przekonania, iż występując w imieniu społeczeństwa ma prawo oczekiwać jego działań na rzecz osiągnięcia porozumienia. Sytuacja jednak różni się zasadniczo od tej, która towarzyszyła na przykład podpisaniu porozumień w Gdańsku, gdy za tamtejszym MKS-em stało 800 strajkujących zakładów. Nie było wtedy potrzeby pytać o wolę polityczną.

Problem utraty wiarygodności nie grozi tylko tym, którzy jej nie mają; nie grozi więc państwu-partii. Przedstawiciele władzy realistycznie stawiają nie na wolę polityczną społeczeństwa, lecz na pragnienie bogacenia się lub co najmniej wolę obrony przed pauperyzacją. Partia postawiła więc przede wszystkim na tych, którzy mają już dość polityki, a nie stracili jeszcze całkiem zdolności przedsiębiorstwa, a więc na nową klasę średnią, którą aparat partyjny chętnie zasila swoimi ludźmi. Z drugiej strony, w OPZZ znajdują miejsce ci, których przedsiębiorczość sprowadza się do „załatwiania sobie” wszystkiego, co się da załatwić poprzez związek zawodowy.

Sytuacja „Solidarności” jest od początku skomplikowana nie dlatego, że strajki grożą podcięciem skrzydeł porozumieniu „okrągłego stołu”. Taki punkt widzenia narzuca propaganda państwowa, która forsuje osobliwy pomysł uczynienia z niezależnego związku zawodowego instytucji do tłumienia strajków. Chodzi raczej o to, że „Solidarność” narażona jest na utratę wiarygodności, budując program naprawy Rzeczypospolitej na fałszywych – bo zbyt optymistycznych – przesłankach. Podkreślam wagę założenia woli politycznej w programie „Solidarności”. Zwiastowany wiek demokracji budzić może głębokie wątpliwości w warunkach tak głębokiego kryzysu ekonomicznego, jaki drąży Polskę u końca lat osiemdziesiątych. W myśleniu o przyszłości trzeba dopuścić myśl, że zwycięży inna koncepcja i inny też będzie jej społeczny podmiot.

A gdybyśmy zawiesili założenie, iż polityczne elity „Solidarności” wierzą w polityczną wolę społeczeństwa? Przyjmijmy, że

grupa ta zmierza wszelkimi sposobami do udziału we władzy, nie widząc innego możliwego rozwiązania polskiej kwadratury koła. Demokracja jest przy tym raczej warstwą lukru pozwalającą przełknąć ten kęs części społeczeństwa, która ciągle jeszcze żyje nadziejami 1981 roku. Należy do niej spory odsetek starych działaczy ruchu, którzy co prawda przeszli przez konspirację, ale ich przekonania ukształtowane zostały w okresie jawnej działalności, gdy celebrowano demokratyczne procedury na zebraniach związkowych wszystkich szczebli. Tak więc udział we władzy jest tym bardziej potrzebny politycznie zorientowanej części działaczy „Solidarności”, im słabsze czują poparcie w zakładach pracy.

Strajki w 1988 roku postawiły w stan zagrożenia nie tylko autorów „wdrażanej” bez powodzenia reformy gospodarczej, ale także wielu zbyt dobrze zakonspirowanych działaczy związkowych. Wiadomo, że dla zażegnania groźby otwartego konfliktu czołówka „Solidarności” zmuszona była użyć całego swojego autorytetu, to znaczy Lecha Wałęsy. Pół-podziemny, pół-jawny związek zawodowy został po raz pierwszy publicznie oskarżony przez swoich członków i zwolenników o zdradę ideałów 1980-1981 roku właśnie w 1988 roku. Można więc powiedzieć, że państwo-partia musiało poczuć się dostatecznie słabe, aby złożyć przywódcom „Solidarności” stosowną ofertę, która prawdopodobnie zostałaby odrzucona, gdyby Związek był dostatecznie mocny. Pojawienie się na scenie konfliktu trzeciej siły (tak zwanych „młodych”, choć w różnym wieku), która jest nieobliczalna i trudna do okiełznania nawet przez „Solidarność”, ułatwiło dojście do porozumienia obu stron.

*Teza druga:* Wstępnym i podstawowym warunkiem negocjacji była obopólna zgoda w jednej zasadniczej kwestii: pluralizm oznacza zróżnicowanie politycznego wpływu różnych odłamów społeczeństwa, przede wszystkim zaś niewykwalfikowane masy robotnicze muszą stracić przynajmniej część swojego wpływu na główne decyzje polityczne, częściowo ustępując miejsca innym aktorom sceny politycznej.

Poprzednio mówiłem o tym, że zbliżeniu przeciwników służyła nie tyle wola kompromisu ile trudność położenia jednej i drugiej strony. Moim zdaniem PZPR i „Solidarność” w sposób negatywny zdefiniowały granice zgody na nowoczesny rozwój przeciwsta-

wiony ekstensywnemu uprzemysłowieniu, które zrujnowało kraj<sup>2</sup>. Mówiąc wprost, obie strony przyjęły milcząco, że podmiotem decydującym o sposobie realizacji tego projektu zmiany społecznej nie może być wielkoprzemysłowa klasa robotnicza. Nie stanowi ona już od dawna źródła prawomocności komunistycznej władzy, staje się również ciężarem dla uginającego się pod naporem roszczeń Związku, który chce odgrywać rolę siły modernizującej system rządzenia i gospodarowania. Zobowiązania wobec tej klasy ciążyą więc zarówno działaczom „Solidarności” jak i aparatowi PZPR. Poniekąd dzięki działalności „kiasowego” związku OPZZ dziecko porzucone już po raz drugi znajduje kolejnego opiekuna. Rozwiązanie nie polega jednak na usprawnieniu kwestii adopcji. Problem podstawowy to system gospodarowania, dzięki któremu udział wielkoprzemysłowej klasy robotniczej zamiast zmniejszać się, rósł wraz z nowymi inwestycjami. Rosta też siła przetargowa robotników, szczególnie niewykwalifikowanych, i ich wpływ polityczny.

Tendencje te utrudniają oczywiście modernizację jak również towarzyszące jej nieuchronnie pogłębianie się nierówności społecznych. Nie mogło to wzbudzać entuzjazmu szeregowych pracowników najmniej wydajnych sektorów gospodarki. Przyjmując taką ocenę sytuacji, polityczna warstwa „Solidarności” musi przyznać, że niegdyś powszechny związek zawodowy czy też ruch społeczny, nie może być dzisiaj otwarty dla wszystkich. Nie znajdują w nim obrony najstabsi, którzy nie mogą czy nie chcą zmieniać pracy czy przekwalifikowywać się<sup>3</sup>. Problem jednak w tym, że „Solidarność” tak ze względów etycznych, ideologicznych jak i taktycznych nie może pozbawić ich swojej ochrony. W związku z tym tematyka czysto gospodarcza staje się nieco wstydliva. Mając być jednym z trzech filarów, na których wspierał się wielki siód negocjacyjny (wraz z problematyką polityczną i związkową), temat strategii rozwoju i przekształceń gospodarki traci znaczenie na rzecz problemów polityki społecznej.

Nie wchodzę w delikatną kwestię reprezentatywności delegacji negocjującej w imieniu społeczeństwa, bo nie było tu zapewne dobrego rozwiązania. Warto jednak zauważyć, że co najmniej równie znamienny co brak KPN-u czy „Solidarności Walczącej” był brak w rozmowach poważnej reprezentacji liberalnej myśli



ekonomicznej jak i znaczącej reprezentacji przedsiębiorczości prywatnej. Już ten choćby fakt ilustruje dobrze dylemat związkowej i zarazem politycznej „Solidarności”, która, by uniknąć wewnętrznych napięć, spycha na dalszy plan chłodną analizę ekonomiczną.

Wreszcie *teza trzecia*: O tym, czym jest „Solidarność”, zadecyduje sposób rozwiązywania konfliktu pomiędzy dwiema tendencjami działania: ochronnie-związkową i ofensywnie-polityczną. Od sposobu rzecstrzygania tego dylematu będzie między innymi zależało tempo zmian w PRL.

Alain Touraine formułuje takie oto pytanie pod adresem związków zawodowych w krajach uprzemysłowionych: „Czy, podejmując zadania coraz trudniejsze do pogodzenia, syndykalizm nie jest zagrożony wewnętrznym rozdarciem, które bierze się z bardziej ambitnej niż kiedyś polityki związkowej? Co powinien wybrać – obronę najgorzej sytuowanych, czy politykę naprawy gospodarki?”<sup>4</sup>. Problem ten nie omija dzisiaj „Solidarności”, która unikała go dopóty, dopóki – wedle formuły zaproponowanej gdzie indziej przez Touraine’a – pozostawała ruciem społecznym, czyli czymś więcej niż związkiem zawodowym robotników, mając tę szczególną cechę, że umiejętnie łączyła trzy płaszczyzny działania: pracowniczą, obywatelską (polityczną) i narodową. Stan wojenny przerwał dwa procesy. Pierwszy polegał na pojawieniu się kolejno różnych powiązań owych trzech płaszczyzn działania. Drugi – na zarysowujących się możliwościach instytucjonalizacji ruchu społecznego, który przestałby z wolna istnieć przeobrażając się w system takich instytucji jak związki zawodowe o charakterze klasycznym, partie polityczne, samorządy pracownicze i terytorialne, stowarzyszenia etc. Można powiedzieć, że lata 1988-89 są okresem inicjowania – po raz drugi – procesu instytucjonalizacji, który odbywa się jednak w innych niż poprzednio warunkach. Przede wszystkim zaszła korzystna zmiana sytuacji politycznej w ZSRK, co powoduje, że problem „sowietyzacji” czyli zagrożenia tożsamości narodowej Polaków jest stosunkowo słabiej akcentowany niż w 1981 roku.

Powróćmy jednak do pierwszego procesu: jak się mają do siebie płaszczyzna związkowa i polityczna w działaniach „Solidarności”? Logika procesu instytucjonalizacji jest przecież nieubłagana

i prowadzić winna w końcu do powstania odrębnych od siebie instytucji; to jest partii politycznych i związków zawodowych. Gdyby miało być inaczej i proces ten uległby zahamowaniu, odżyłaby częściowo koncepcja ruchu społecznego, która w tej chwili, dzięki swojej nieprecyzyjności, pozwala jeszcze na doraźną ugodę „polityków” ze „związkowcami”. Niemniej obrady okrągłego stołu, przygotowywane ustawy, zmiany w istniejących aktach prawnych zdają się wskazywać na to, że „Solidarności” nie uda się utrzymać w ramach pojemnej formuły ruchu społecznego. Przywódcy strajków wykraczających poza postulaty placowe podkreślają zresztą, że „Solidarność” nie może istnieć bez ciągłego wzmacniania swego związkowego charakteru. Jeden z członków MKO w Szczecinie sformułował to tak: „Życie jest bogate, jest wiele przyczyn [strajku]. Jasne, że ten wspólny nurt musi istnieć, ale to nie może być sama abstrakcja. Ona musi być wspomagana dodatkowymi okolicznościami. A już względy ekonomiczne są ogromnie ważne. Te żądania niezależnego związku zawodowego, to co pani myśli, że jest to tylko kwestia reprezentacji związkowej? A co w domyśle? – Ktoś powinien bronić naszych interesów. – Jakich? – Przede wszystkim ekonomicznych”<sup>6</sup>.

Wydaje się, że rozszerzona formuła związku zawodowego odwołuje się do sposobu działania „Solidarności” przed 13 grudnia 1981 roku. Konkuruje z nią model ukształtowany w okresie konspiracji. Elity kierownicze „Solidarności” dostrzegły wówczas niewątpliwe praktyczne zalety polityki częściowo zakulisowej, lecz za to skutecznej. Z tych doświadczeń wypływa między innymi zgoda na logikę rozmów okrągłego stołu, które musiały przejść przez dyplomatyczne ustalenie warunków wstępnych, aby toczyć się dalej przy mniej czy bardziej otwartej kurtynie. Jeżeli negocjacje doprowadzą więc do nadania tempa procesowi instytucjonalizacji, to będziemy mogli powiedzieć, że „okrągły stół” był momentem kończącym historię „Solidarności” jako ruchu społecznego, który częściowo przetrwał w konspiracyjnym zamrożeniu, aby po raz ostatni dać znać o sobie w 1988 roku. Przerwany w grudniu 1981 roku proces instytucjonalizacji został ponownie wprawiony w ruch. Można więc sądzić, że z „Solidarności” wyrósł różne instytucje polityczne, aby w końcu ona sama powrócić mogła do roli związku zawodowego, choć już nie dla wszystkich

pracowników. Moment ten wydaje się jednak stosunkowo odległy, zwłaszcza że partii bardziej niż na czymkolwiek zależy na przepołowieniu „Solidarności”, aby z jednej strony powstała samodzielna warstwa polityczna, przywdziewająca szaty oświeconej elity, z drugiej zaś – maksymalnie okrojony związek zawodowy. Formuła wąskiego syndykalizmu stwarza zagrożenie w postaci podporządkowania Związku którejś z nowo formujących się partii politycznych, która może okazać się bardziej skłonna do ustępstw na rzecz komunistów, niż byłby do nich skłonny silny i niezależny związek zawodowy.

Ruch związkowy na drodze instytucjonalizacji świadomy jest zagrożeń, jakie nań czyhają. Staje on w obliczu wyboru pomiędzy klasycznym zachodnim modelem defensywnych związków zawodowych i ofensywnych partii politycznych a mglistą, i z natury swej przejściową, formułą ruchu społecznego. Nieuchronne strajki staną się dla „Solidarności” bolesną próbą konfrontacji przede wszystkim nie z PZPR, a z masami niegdyś bezwzględnie sobie oddanymi.

Paweł Kuczyński

#### PRZYPISY

<sup>1</sup> Sukces wyborczy „Solidarności” nie daje podstaw do stwierdzenia, że przejawia się w nim wola polityczna społeczeństwa. Wybory, pozwalające określić siłę poparcia dla Związku, były swego rodzaju referendum.

<sup>2</sup> W opracowaniu Ministerstwa Finansów przygotowywanym w 1989 roku czytamy: „Gospodarka, której działanie określają rozporządzalne zasoby produkcji (jak nasza), wykorzystuje zasoby, gdy ich użycie tylko zwraca (co nie zawsze jest pewne) nakłady. (...) W swoich podstawach jest on [polski kryzys – P.K.] jednak kryzysem ekstensywnych metod (fazy) gospodarowania. Te metody nie zostały przełamane. Trwa on do dzisiaj”. Cyt. za opracowaniem Z. Mikołajczyka, *Życie Gospodarcze*, nr 9, 1948.

<sup>3</sup> W oparciu o serię badań *Polacy* ich współautorka stwierdza: „(...) w 1980 i 1981 roku poglądy robotników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych były do siebie zbliżone. Obie te grupy stanowiły ostoję poglądów egalitarnych. Zmiany w świadomości, które zaszły od 1980 roku, najsilniej z wszystkich grup społeczno-zawodowych objęły robotników wykwalifikowanych do tego stopnia, że obie grupy robotników trudno zaliczać do jednej większej, którą określa się mianem „klasa robotnicza”. Por. L. Kołarska, „Niereformowalna władza czy społeczeństwo?”, w: W. Mo-

rawski, W. Kozek (red.), *Zalamanie porządku etatystycznego*, Instytut Socjologii UW 1988, s. 235.

<sup>4</sup> A. Touraine, M. Wlewiorka, F. Dubet, *Le mouvement ouvrier*, Fayard, Paris 1984, s. 351.

<sup>5</sup> W pełnej postaci teza ta jest wyłożona i rozwinięta w książce będącej zarazem raportem z polsko-francuskich badań przeprowadzonych w 1981 roku. For. A. Touraine, F. Dubet, M. Wlewiorka, J. Strzelecki, *Solidarité. Analyse d'un mouvement social*, Fayard, Paris 1982. Wydanie polskie, Wydawnictwo Europa, Warszawa 1989.

<sup>6</sup> Cytat z wywiadu przeprowadzonego w ramach badań w zakładach strajkujących w sierpniu 1988 roku. Rozmowy zarejestrowaliśmy późną jesienią tego samego roku. Zespół badawczy: G. Gęsicka, P. Kuczyński, T. Peszke.

NAKLADEM ANEKSU

Małgorzata Szejnert – Tomasz Zalewski

SZCZECIN

GRUDZIEN – SIERPIEŃ – GRUDZIEN

Nagroda Kulturalna „Solidarności” za rok 1984

Autorzy należą do nielicznych osób z zewnątrz, którym udało się obserwować strajk szczeciński w 1980 r. z bliska. Książka

nie jest tylko zapisem faktów i zdarzeń –

autorzy starali się przede wszystkim dociec przyczyn i mechanizmów społecznego buntu.

Str. 382

Cena £7,00 – \$14,00

Adam Michnik

TAKIE CZASY

RZECZ O KOMPROMISIE

Książka napisana w więzieniu w 1985 r. na temat polityki władz oraz celów i taktyki KOR-u, jak również – po Sierpniu 80 – „Solidarności”, przed i po wprowadzeniu stanu wojennego.

Str. 140

Cena: £3,00 – \$7,50

Szymon Jakubowicz

BITWA O SAMORZĄD 1980-1981

Str. 200

cena: £5,00 – \$11,00

# Zachód wobec Wschodu

Mark Palmer

## Czas działania \*

W polityce wobec Europy środkowo-wschodniej Zachód powinien porzucić metafizykę i przejść do działania. Filozoficzna dyskusja na temat skrajnych rozwiązań nie prowadzi do nikąd. Nie wchodzi w grę bezpośrednia interwencja wojskowa Zachodu. Wysoce nieprawdopodobne jest powszechne powstanie w całym tym regionie, które „wyzwoliłoby” go od Związku Radzieckiego. Pod każdym kierownictwem, z Gorbaczowem włącznie, ZSRR w razie potrzeby będzie interweniował militarnie. Jednakże i drugi kraniec metafizycznego spectrum również nie jest realny. Zachód nie może uznać, że ta część świata jest na stałe przypisana do sowieckiego imperium oraz, że zmuszona będzie trwale żyć pod jednopartyjną dyktaturą. Narody tych krajów nie zgodzą się, aby „stabilna” Europa miała być zbudowana ich kosztem. Wskazują na to wydarzenia lat 1956, 1968 i 1980. Dla Zachodu równie niemożliwe jest porzucenie Europy środkowo-wschodniej jak i wyzwolenie jej narodów.

---

\* Tekst ten ukaże się w książce pod red. Williama E. Griffitha, *Central and Eastern Europe and the West*, Westview Press, 1989

Cel polityki zachodniej jest jasny. Chcemy, by narody te odzyskały swe historyczne dziedzictwo i stały się nieodłączną częścią Europy i współczesnego świata. Centralnym problemem jest nasza umiejętność, kreatywność oraz intensywność w dążeniu do tego celu. Między biernością i siłą rozciąga się niezwykle szeroki obszar. Możliwości zachodniego zaangażowania rosną w bezprzykładnym tempie. Partie komunistyczne i główni politycy wszystkich faktycznie krajów komunistycznych w świecie zaczynają uznawać wymagania XXI wieku. W wieku tym otwarte, wolne, nastawione na informację społeczeństwa oraz rynkowe gospodarki o wysoko rozwiniętych technologiach będą czynnikiem decydującym o stagnacji narodów bądź o osiągnięciu nieznanego dotąd poziomu życia i energii.

Z wyjątkiem może Rumunii, sześć środkowo- i wschodnioeuropejskich członków Układu Warszawskiego jest coraz bardziej świadomych potrzeby zasadniczej zmiany i zwiększenia powiązań z Zachodem u progu następnego stulecia. Istnieje ostra świadomość, że kraje zbliżone do nich poziomem rozwoju przed czterdziestu laty, jak Austria i Finlandia, wyprzedziły je nieświółalnie, a kraje pozostające nigdy daleko w tyle jak Korea, Singapur i Taiwan wyprzedzają je pod względem nowoczesności. Historycznym pytaniem w Europie środkowo-wschodniej jest coraz bardziej nie to czy socjalizm zwycięży, lecz czy kraje socjalistyczne ześlizgną się do poziomu życia Trzeciego Świata; czy na podobieństwo Argentyny, kraje dawniej uważane za rozwinięte zostaną obecnie uznane za rozwijające się. To rosnące, bliskie desperacji poczucie otwiera dla Zachodu szeroki wachlarz możliwości.

Kluczową kwestią jest, czy będziemy mieli dość woli, energii i środków finansowych, by wykorzystać możliwości, jakie przed nami stają. Obecny poziom zachodniego wysiłku daleko nie odpowiada wyzwaniu płynącemu z naszych interesów strategicznych. Obie wojny światowe wybuchły w tym regionie. Pozostaje on nadal głęboko niestabilny i stanowi najbardziej prawdopodobną europejską przyczynę trzeciej wojny światowej. Korzenie co ósmego Amerykanina tkwią w Europie środkowo-wschodniej. Tymczasem żaden prezydent Stanów Zjednoczonych nie odwiedził choćby czterech z tych sześciu krajów. W pięciu z nich nie ma

żadnego amerykańskiego ośrodka kultury. Nie tylko zresztą Stany Zjednoczone nie podejmują dostatecznego wysiłku w stosunkach z tymi narodami. Europa zachodnia jest i pozostanie partnerem nie tylko bliższym, ale i o większym znaczeniu gospodarczym i politycznym. Tymczasem dopiero w ostatnich kilku latach ma miejsce bardziej intensywny dialog polityczny wysokiego szczebla. Najważniejszym i najbardziej aktywnym krajem Zachodu jest pod tym względem Republika Federalna Niemiec. Ona jednak również posiada tylko jeden ośrodek kulturalny i dopiero rozpoczyna dialog z siłami demokratycznymi na Wschodzie.

Jakie są możliwości? Z punktu widzenia Węgier jedynym praktycznym ograniczeniem jest zachodnia wyobraźnia i środki. Niektórzy odpowiedzą wszakże, iż Węgry nie są właściwym przykładem, że możliwości Zachodu w takich krajach jak Czechosłowacja i Rumunia są daleko bardziej ograniczone. Jest to częściowo prawdziwe, lecz nawet i dzisiaj istnieją tu sposobności, których Zachód nie wykorzystuje z powodu niewystarczającego wysiłku. W perspektywie następnych 25-50 lat – a tylko w takiej możemy prowadzić poważną politykę – są wszelkie powody, by sądzić, że i w tych krajach możliwe jest znaczne zaangażowanie Zachodu. 15 lat temu Węgry znajdowały się na samym dole listy krajów, z którymi Stany Zjednoczone mogły realizować programy współpracy. W znacznej części tego regionu już są widoczne szybko rosnące możliwości takiego zaangażowania.

Jeśli naszą perspektywą jest następne 25-50 lat, to rodzaje programów, jakie zainicjujemy i będziemy realizować, powinny przyczyniać się do budowania instytucji i szeroko rozgałęzionych powiązań, które tak dalece będą pogłębiały wzajemne zainteresowanie, że nie zachwieją nimi nieuchronne zwroty w poszczególnych krajach czy w ogólnej atmosferze Wschód-Zachód. Powinniśmy rozwinąć szerszą sieć stosunków, które uczyniłyby granice bezużytecznymi. Powinniśmy dążyć do odprężenia na Wschodzie, do zmiany warunków bezpieczeństwa i istotnego wzrostu materialnej i duchowej obecności Zachodu. Rządy Europy środkowo-wschodniej powinny troszczyć się o dobrobyt swych społeczeństw, nie zaś o władzę czy zachowanie psychologii wojskowej. Prywatne i publiczne wysiłki Zachodu muszą być w pełni włą-

czone w całą strukturę życia tych krajów. Nasi przywódcy i partie polityczne powinny silnie wiązać się z przywódcami i siłami demokratycznymi tych krajów: nasze Kościoły i wierzący z ich Kościołami i wierzącymi, nasi studenci z ich studentami, nasi wojskowi z ich wojskowymi, nasi ekolodzy z ich ekologami, nasze przedsiębiorstwa z ich przedsiębiorstwami.

Jak mógłby wyglądać taki program działania? Spróbuję tutaj wyłożyć kilka myśli. Głównym jednak celem naszych rozważań jest pobudzenie myślenia innych. Siła Zachodu tkwi w różnorodności źródeł inicjatyw. Ważne jest nie to, że wprowadzimy w życie pewien zestaw programów. Potrzebna jest raczej eksplozja szerego zakrojonego wysiłku wszystkich państw zachodniej społeczności, działających w wielu przypadkach niezależnie, lecz ze zdrowym wyczuciem ogólnego kierunku.

Istnieją trzy sfery działania: ekonomiczna, społeczno-polityczna oraz sfera bezpieczeństwa.

### *Działania gospodarcze*

Zachód potrzebuje jasnej koncepcji swej ekonomicznej obecności w Europie środkowo-wschodniej. Realne jest, że w ciągu najbliższych 25 lat gospodarki tych krajów nabiorą cech mieszanych, z o wiele większą rolą rynku i silniejszymi związkami z Zachodem. Perspektywa ta jest dla nas niewątpliwie interesująca zarówno politycznie jak gospodarczo. W jaki sposób sprzyjać temu procesowi? Popelniamy pewien błąd strategiczny. Wprowadzając z zachodu środki finansowe do tych krajów głównie drogą wielkich, połączonych i nieuwarunkowanych pożyczek udzielanych przez konsorcja bankowe bankom centralnym krajów wschodnioeuropejskich (a zatem ich rządów i partiom), faktycznie zmniejszamy nacisk na reformy gospodarcze i na rozsądną politykę ekonomiczną. Nadto kraje o najsilniejszym nastawieniu reformatorskim obciążyliśmy takim zadłużeniem, które zagraża ich zdolności przeprowadzenia reform i zaspokojenia choćby minimalnych potrzeb ludności. Najnowszymi grzesznikami w tej dziedzinie są Japończycy, którzy wpompowali w Węgry 6 miliardów dolarów w ciągu ostatnich kilku lat. Niemcy zachodni nadal idą tą drogą. Rządy i banki amerykańskie, brytyjskie, francuskie



i inne w znacznej mierze przyczyniły się do tej sytuacji, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych.

Pierwszym więc krokiem programu ekonomicznego działania powinno być kształtowanie nowego podejścia rządów zachodnich, Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego. Kredyty przez nie udzielane należy wiązać z całym zestawem określonych reform, między innymi z zasadniczym ograniczeniem roli ministerstw i aparatu partyjnego, z wprowadzeniem indywidualnych bodźców dla menadżerów i pracowników, liberalizacją przepisów i praktyki w dziedzinie inwestycji zagranicznych oraz bardzo znacznym rozszerzeniem sektora prywatnego. Powinniśmy także zmienić sposoby wzajemnego oddziaływania przez Zachód: zamiast opierać się na niezróżnicowanych ogromnych pożyczkach bankowych udzielanych przez konsorcja, powinniśmy przejść raczej do finansowania poszczególnych spółek akcyjnych i joint ventures oraz wymagać, by każda z tych pożyczek była samowystarczalna pod względem rentowności i ekonomicznego zdrowego rozsądku. Pożyczek należy udzielać w taki sam sposób, jak odbywa się to na Zachodzie – w oparciu o rygorystycznie stosowane kryteria bankowe. W tym celu musimy przekonać banki handlowe, by przewartościowały zarówno swą rolę jak i długofalowe korzyści z udzielania pożyczek tym krajom. Tą drogą trzeba zachęcać Europę środkowo-wschodnią do rezygnacji z wciąż dominujących wielkich przedsiębiorstw i przemysłu ciężkiego na rzecz większego zróżnicowania przetwórstwa przemysłowego z silniejszym akcentem na dobra konsumpcyjne, rolnicze i turystykę. Zwiększona rola drobnej przedsiębiorczości – państwowej lub prywatnej – byłaby ważnym bodźcem poprawy ekonomicznej elastyczności i efektywności. Wielki zakres produkcji na cele wojskowe powinien zostać ograniczony, częściowo właśnie dzięki zmianie w sposobie współdziałania Zachodu z tymi krajami. Wpompowując miliony, a nawet miliardy dolarów w centralne banki i rządy, Zachód wzmacnia tylko model stalinowski. Młodsze pokolenie menadżerów, bankowców i ekonomistów w niektórych z tych krajów jest ogromnie zawiedzione, iż Zachód nie nalega, aby mieli oni prawo zatrzymywania zarobionych dewiz, podejmowania niezależnych decyzji inwestycyjnych i zmiany struktury inwestycji.

Poza „reformatorskimi” kryteriami wszelkich programów MFW i innych, ważne jest również oddziaływanie na popyt. Wszelako oszczędność nie jest rozwiązaniem dla Europy środkowo-wschodniej, podobnie jak dla Ameryki Łacińskiej. „Latioamerykanizacja” tego regionu, która widoczna jest w rosnącej inflacji, wpływie wojskowych i politycznym dryfowaniu, nie powinna zawierać prób obarczenia ludności kosztami błędów popełnionych przez partie komunistyczne. W mądrej strategii polityczno-ekonomicznej, naszym celem powinno być złagodzenie skutków zadłużenia i stworzenie zachęt do rozwoju, a nie wywoływanie stagnacji.

Drugim składnikiem programu ekonomicznego winno być znacznie silniejsze poparcie dla zaangażowania zachodnich przedsiębiorstw w Europie środkowo-wschodniej. Na przykład Stany Zjednoczone mają attaché handlowego jedynie w trzech z sześciu ambasad w tej części świata. Rządy zachodnioeuropejskie są niewiele lepiej zorganizowane, jeśli chodzi o rozwijanie sprzedaży produktów Zachodu i wprowadzanie joint ventures. Kraje wschodnioeuropejskie potrzebują oczywiście zasadniczego zmniejszenia barier dla inwestycji zagranicznych, by stały się równie atrakcyjne jak tzw. nowe kraje przemysłowe. Podobnie kraje te prowadzą niezwykle słabą działalność marketingową na Zachodzie. Ogólnie biorąc, wzajemne oddziaływanie gospodarcze jest wciąż minimalne. Tylko 2% importu Wspólnoty Europejskiej i zaledwie 0,06% Stanów Zjednoczonych pochodzi z Europy środkowo-wschodniej. Wzajemne oddziaływanie jest, rzecz jasna, znacznie większe, jeśli weźmiemy udział procentowy importu z USA w dochodzie narodowym krajów Europy środkowo-wschodniej.

Istnieje wiele konkretnych kroków, jakie możemy podjąć. Jest też powód do nadziei. Na Węgrzech w latach 1986-1988 liczba przedstawicielstw amerykańskich wzrosła z 7 do 20, a liczba zachodnich joint ventures w tym kraju przekracza obecnie 100. Targi światowe 1995 roku, które mają odbyć się jednocześnie w Wiedniu i Budapeszcie są doskonałym przykładem przerwania mostów. Ciekawe, że amerykańska spółka Bechtel posiada kontrakt na pomoc w zorganizowaniu tych targów.

Inny przykład regionalnej inicjatywy instytucjonalnej stanowi ośrodek zarządzania w Budapeszcie. Jest to pierwszy instytut

zarządzania typu zachodniego w całym obozie socjalistycznym. Będzie on szkolił węgierskich, radzieckich, polskich, czeskich i innych menadżerów w zakresie zachodniego marketingu, polityki pracowniczej i innych kwestii z dziedziny zarządzania. Doradca Gorbaczowa Abel Aganbegan zgodził się być członkiem Rady tego Instytutu. Ośrodek, będący pierwotnie inicjatywą węgiersko-amerykańską, przyciągnął główne kraje zachodnioeuropejskie i stanowić będzie forum dyskusji nad reformą gospodarczą oraz rozwojem handlu i inwestycji na linii Wschód-Zachód.

Trzecią dziedziną programu gospodarczego jest współpraca technologiczna. Rola COCOM będzie istotna tak długo, jak długo przewaga technologii zachodniej jest potrzebna, aby wyrównywać ilościową przewagę wojskową Związku Radzieckiego i Wschodu. Należy zaostrzyć kontrolę w tych dziedzinach najnowocześniejszych technologii, które rzeczywiście mają znaczenie strategiczne. Kontrola ta będzie miała coraz większą wagę w miarę rozwoju ogólnej integracji Europy środkowo-wschodniej z Zachodem. Będzie trudniejsza, lecz jeszcze bardziej niezbędna. Niemniej, warunkiem skutecznej kontroli nad eksportem niewrażliwych dóbr jest ich stosunkowo ograniczona ilość. Kraje zachodnie, ze Stanami Zjednoczonymi włącznie, muszą zapewnić szybsze wydawanie licencji wywozowych i utrzymanie listy kontrolowanych artykułów na poziomie rozsądnego minimum. Proces ten został już zapoczątkowany i przynosi rezultaty.

Czwarta sfera to zachodnia polityka barier handlowych. Wspólnota Europejska, Japonia i Stany Zjednoczone muszą przemyśleć z punktu widzenia polityki, gospodarki i bezpieczeństwa takie kwestie jak polityka celna wobec poszczególnych krajów. Jakiego zróżnicowania tu pragniemy i jakie powinny być jego kryteria? Do jak znacznej integracji dążymy? I jak szybko? Ogólnie biorąc powinniśmy być gotowi nagradzać klauzulą największego uprzywilejowania zmiany w kierunku większego otwarcia i liberalizacji. Musimy wyraźnie określić minimum naszych oczekiwań: swoboda podróżowania, brak więźniów politycznych, zmiany idące ku społeczeństwu obywatelskiemu. Kryteria te powinny wpływać również na naszą postawę wobec kredytów rządowych. Gdy kryteria te są spełniane, kraje zachodnie muszą wychodzić naprzeciw. Polska i Węgry obecnie im odpowiadają i Wspólnota

Europejska powinna zareagować na chęć tych krajów zawarcia wzajemnych układów handlowych. Podobnie Japonia mogłaby szerzej otworzyć się na towary przez nie eksportowane.

Kraje nie przestrzegające powyższych norm nie będą mogły otrzymać klauzuli największego uprzywilejowania. Mamy nadzieję, że nasi zachodni partnerzy zaakceptują ten punkt widzenia. Jest to jedna z wielu dziedzin, w których powinny toczyć się ważne i regularne dyskusje polityczne wśród krajów Zachodu, włącznie z Japonią, której rola w tym regionie wzrasta. Należałoby wprowadzić co pół roku spotkania urzędników szczebla politycznego dotyczące wszystkich aspektów stosunków Zachodu z Europą środkowo-wschodnią.

### *Działanie społeczno-polityczne*

Zakres możliwości jest tu niezwykle szeroki: od tradycyjnej wymiany dyplomatycznej po innowacyjne inicjatywy prywatne. Ogólnie biorąc chodzi o poważny wzrost wzajemnej wymiany i obecności.

Polityka zróżnicowania prowadziła do dość ograniczonych rozmiarów oficjalnego dialogu politycznego i obecności. Należy ją ponownie rozważyć. Zróżnicowanie jest wprawdzie potrzebne ze względu na przyznawane korzyści ekonomiczne, jednak nie jest zgoła jasne, czy wysokiego szczebla wizyty przywódców zachodnich w sumie nie prowadzą bardziej do legitymizacji istniejących rządów niż do zmian. Wiele zależy od sposobu przeprowadzania tych wizyt. Świeża formuła zarówno zachodnioeuropejskich jak i amerykańskich przywódców kładąca nacisk na spotkania z przedstawicielami Kościoła i opozycji demokratycznej jak również z przywódcami partyjnymi w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech, wyraźnie sprzyja zmianom. Należy ją utrzymać i rozszerzyć.

Prezydent Stanów Zjednoczonych mógłby objechać wszystkie te sześć krajów podczas jednej podróży i tym samym nadrobić wspomniany już fakt, iż dotychczas żaden amerykański prezydent większości z nich nie odwiedził. Stany Zjednoczone są w tym regionie zapewne bardziej popularne niż w jakiegokolwiek innej części świata. Wizyta amerykańskiego prezydenta byłaby mile

widziana przez ludność oraz przez te osoby z partii komunistycznych i spoza nich, które pragną spowodować zmiany polityczne i ekonomiczne. Jego przemówienia i wydarzenia, które można by zorganizować podczas takiej wizyty zwiększyłyby uwagę, jaką przywiązuje się w Stanach do stosunków z Europą środkowo-wschodnią. Również przywódcy zachodnioeuropejscy powinni przyspieszać dalsze wizyty i dialog ze wszystkimi ważnymi grupami w tych krajach. W szczególności powinniśmy skoncentrować te wizyty na spotkaniach z następnym pokoleniem przywódców politycznych. W pięciu z sześciu krajów obecni przywódcy mają powyżej 60-go i 70-go roku życia.

Drugi kierunek to rozwijanie stosunków międzypartyjnych i innych bezpośrednich więzi politycznych (niedyplomatycznych). Jak wykazało ostatnie 30 lat w Europie środkowo-wschodniej dyskusje i zmiany rodzić się mogą w samej partii komunistycznej oraz poza nią. Dowodzą tego wydarzenia 1956 roku na Węgrzech, 1968 w Czechosłowacji oraz dzisiejsze zmiany w znacznej części tego obszaru i w samym Związku Radzieckim.

A zatem większe zaangażowanie partii zachodnich w stosunki z partiami na Wschodzie jest korzystne pod warunkiem realistycznego podejścia. Zachodnie partie polityczne nie sprzyjają czynnikom reformatorskim na wschodzie, gdy pozwalają się manipulować w kwestiach bezpieczeństwa. Partie zachodnie powinny być szczerze w dyskusjach i kłaść nacisk na kontakty z całym spectrum sił w tych krajach.

Potrzebujemy również wzmocnienia zdolności Zachodu do wspomagania ruchów demokratycznych w Europie środkowo-wschodniej. W Niemczech zachodnich, Austrii, Francji, Anglii i Stanach Zjednoczonych istnieje już konkretna pomoc. Należy wspierać takie ugrupowania jak „Solidarność”, Karta 77, demokratyczni reformatorzy na Węgrzech. Podobnie jak Kreml i partie Europy środkowo-wschodniej przez długi czas pomagały ruchom komunistycznym w formie szkolenia, maszyn drukarskich i pieniędzy, tak Zachód powinien w namacalny sposób pomagać ruchom demokratycznym w Europie środkowo-wschodniej. Nie możemy przyjmować argumentu, że tym samym ingerujemy w sprawy wewnętrzne. Jest to bowiem zwykła pomoc w politycznej modernizacji tych krajów w czasie, gdy chcą one naszej pomocy w

modernizacji gospodarczej. Obie są nierozłącznie związane, co partie komunistyczne same już obecnie przyznają. Dziś, gdy zupełnie otwarcie dyskutuje się w tych krajach o demokracji i systemach wielopartyjnych, Zachód nie powinien jednostronnie powstrzymać się od aktywnego udziału w tym procesie. Jest uderzające na przykład, że większość zachodnich ambasad w Europie środkowo-wschodniej nie ma kontaktów z ruchami demokratycznymi reprezentującymi znaczną część opinii publicznej. Równie uderzające jest, że większość krajów zachodnich nie posiada odpowiednika zachodniemieckich fundacji partyjnych (Stiftungen) oraz amerykańskiego National Endowment for Democracy, które umożliwiają wpływanie na rozwój polityczny na skalę międzynarodową. Wielka Brytania, Francja, Hiszpania, Japonia i inne kraje powinny założyć takie fundacje zasilane funduszami rządowymi, lecz o niezależnych radach nadzorczych. Celem ich byłoby pobudzanie demokratycznego rozwoju politycznego.

Następną dziedziną kontaktów w stosunkach Zachodu z Europą środkowo-wschodnią są związki zawodowe. W stopniu w jakim zaczynają wyłaniać się niezależne związki zawodowe, Stany Zjednoczone i inne kraje zachodnie powinny zrewidować swą politykę nie kontaktowania się ze związkami zawodowymi tych krajów. Jest to kwestia długofalowa, lecz warta aktywnej uwagi.

Należy również współpracować z takimi grupami jak ekolodzy. Powinniśmy rozwijać kontakty naukowe oraz współpracować w zwalczaniu narkotyków, terroryzmu itd.

Szczególnego wysiłku we wszystkich tych krajach wymaga młodsze pokolenie. Tutaj Zachód dysponuje rzeczywiście niezwykłymi aktywami. Głód nauki języków zachodnich, zwłaszcza angielskiego, jest szczególnie wyczuwalny. Powinniśmy dążyć do osiągnięcia liczby 1 000 nauczycieli przyjeżdżających corocznie ze Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, by nauczać w szkołach wyższych, liceach i na kursach letnich. Oczywiście jest, że nauczyciele ci przywożą ze sobą nie tylko znajomość języka, lecz także sumę wartości oraz skłonność do zmian, co ma wielkie znaczenie. Program taki kosztowałby około 1 miliona dolarów rocznie i byłby dla nas bardzo korzystny.

Powinniśmy rozwijać masową wymianę młodzieży. Obecność w Stanach Zjednoczonych około 20 000 studentów z Chin wskazu-

je, że śmiałe myślenie w tym ustroju nie jest niemożliwe. Dlaczegożby nie dążyć do tego, by rokrocznie 2 000 studentów z Europy środkowo-wschodniej studiowało na Zachodzie? Trzeba w szczególności skupić się na programach dla studentów szkół wyższych, umożliwiając im przebywanie w amerykańskich i europejskich rodzinach. Taka forma nie tylko zmniejsza koszty, lecz pogłębia i utrwala więzi z Zachodem. Wydatki lokalne mogą być pokrywane przez stronę przyjmującą, co pozwoli na ominięcie problemów spowodowanych brakiem dewiz w tych krajach. Podobnie trzeba starać się o to, by co najmniej 2 000 młodych Niemców, Włochów, Finów, Brytyjczyków, Kanadyjczyków i Amerykanów spędzało semestr lub więcej w Europie środkowo-wschodniej. I to zadanie nie jest nierealne. Obecnie ponad 20 uniwersytetów amerykańskich ma programy wymiany z Węgrami i kilkuset amerykańskich studentów przyjeżdża co rok na Węgry, by uczestniczyć w wykładach z medycyny, ekonomii i z innych dziedzin.

Głównym problemem w wielu z tych krajów jest brak odpowiednich środków finansowych. Rządy zachodnie muszą zrewidować swe priorytety i kryteria efektywności tych programów z punktu widzenia długofalowego bezpieczeństwa oraz perspektywy politycznej i kulturalnej. Stopniowe odprężenie na Wschodzie i ponowne włączenie tych krajów do Europy i nowoczesnego świata demokracji przyniosłoby zasadniczą poprawę ogólnego bezpieczeństwa. Warte jest więc większego zaangażowania budżetów rządowych Zachodu. Obecnie wydatkowane na ten cel sumy są niewielkie w porównaniu z innymi wydatkami, co pokazuje kwota 1 miliona dolarów przeznaczona na szeroki program nauczania.

Inną dziedziną wymagającą energicznego wysiłku jest stymulowanie wzrostu środków pochodzących z sektorów nierządowych. Coraz bardziej zainteresowane tą częścią świata są fundacje i można je przekonać, by wspierały więcej programów. Na przykład Fundusz Braci Rockefellerów ustanowił w Polsce fundację pomocy prywatnemu rolnictwu. Aktywne w tym regionie spółki również można przekonać, by wspomagały wymianę młodzieży i inne inicjatywy jak choćby ośrodki zarządzania.

Obiecującym kierunkiem działania jest pobudzanie aktywności ludzi żyjących na Zachodzie, którzy pochodzą z krajów Europy

środkowo-wschodniej. W niektórych dziedzinach są oni zresztą już aktywni prowadząc konstruktywną działalność. Szczególny charakter mają oczywiście powiązania wewnątrzniemieckie. Niektórzy Amerykanie polskiego pochodzenia odgrywają ważną rolę w zachowywaniu i rozszerzaniu więzi z Polską. Nawet ci, którzy walczyli w rewolucji 1956 roku, regularnie wracają na Węgry i działają na rzecz rozwoju handlu i wartości demokratycznych w tym kraju. Jednym z wyróżniających się w tej dziedzinie jest George Soros, nowojorski „czarodziej” finansów węgierskiego pochodzenia. Jego Open World Foundation przeznacza corocznie ponad 3 miliony dolarów na wspieranie programów kulturalnych, oświatowych, praw człowieka i innych. Obecnie jest on aktywny również w Polsce, Chinach, Związku Radzieckim i w innych krajach socjalistycznego świata. Rządy zachodnie powinny zachęcać do tego rodzaju działalności jak na przykład między amerykańskimi Czechami i Słowakami a Czechosłowacją. Istnieje wiele dziedzin, w których brak jest wzajemnych powiązań.

Odrębne pole działania stanowi kultura. Jest smutne, lecz prawdziwe, że niektóre wielkie orkiestry i wystawy amerykańskie regularnie odwiedzają Wiedeń, lecz nigdy nie podejmują trudu przebycia trzygodzinnej drogi do Budapesztu. Ogólnie biorąc, Europa środkowo-wschodnia jest odbiorcą drugo- a nawet trzeciorzędnych zachodnich zespołów artystycznych, ponieważ niewiele można tam zarobić w twardej walucie. A przecież gdy Pavarotti pojawia się w operach Budapesztu czy Pragi, przywiązuje do tego wagę cały naród. Jego wpływ jest znacznie większy, niż gdy występuje nie wiadomo już po raz który w Paryżu lub Londynie. Bardzo niewiele jest zachodnich ośrodków kulturalnych w tej części świata, podobnie jak zachodnich ośrodków rozwoju handlu. Jednym ze sposobów postępowania, jak czynią to obecnie Stany Zjednoczone w Budapeszcie, jest tworzenie amerykańskich, brytyjskich, francuskich czy niemieckich ośrodków w każdej ze stolic. W przypadku American House w Budapeszcie będzie on łączył popieranie handlu z działalnością wystawienniczą oraz ze wszystkimi rodzajami aktywności kulturalnej, z teatrem i biblioteką włącznie.

Coraz większe znaczenie mają stosunki religijne. Należy zachęcać Kościoły zachodnie do wysyłania pastorów i księży, by głosili



Ewangelie i nauczali w tych krajach. Konieczna jest większa pomoc dla ponownie zakładanych szkół średnich a nawet uniwersytetów prowadzonych przez Kościół. Trzeba też usilniej wspierać religijne obozy letnie w Europie środkowo-wschodniej oraz na Zachodzie. Tymi i podobnymi konkretnymi sposobami można sprzyjać odrodzeniu religijnemu, które widoczne jest w wielu krajach tego obszaru, szczególnie wśród młodzieży.

Obiecującym projektem jest utworzenie międzynarodowego uniwersytetu na Węgrzech. Zbliżyłby on wykładowców z krajów zachodnich i wschodnich we wspólnym nauczaniu studentów. I w tym przypadku centralnym problemem są finanse, zwłaszcza na uruchomienie całego przedsięwzięcia. Istnieje już katedra badań amerykańskich na budapeszteńskim uniwersytecie Eotvos Lorand. Dlaczego nie miałyby powstać katedry badań francuskich, niemieckich, włoskich, brytyjskich i amerykańskich na najważniejszych uniwersytetach Europy środkowo-wschodniej?

Do dzieła zbliżenia przyczynić się może również sport. Jest to dziedzina, w której kraje tej części Europy są pod pewnymi względami bardziej rozwinięte niż my na Zachodzie, a zatem mogą nam coś zaoferować. Ze względu bowiem na poczucie godności tych krajów ważne jest, by ogólne stosunki miały charakter dwustronny, a nie opierały się na zasadzie petenta. Dyscyplina i metody treningowe Bułgarów, Rumunów, Niemców wschodnich mogą wiele dać Zachodowi. I rzeczywiście, w niektórych dziedzinach dużo się już od nich nauczyliśmy. Powinniśmy rozważyć wprowadzenie wspólnych sportowych form treningowych, albo przynajmniej zwiększyć wymianę z istniejącymi instytucjami.

Środki informacji są drogą dotarcia do najszerszej publiczności. Musimy skoncentrować się na pozyskaniu czołowych myślicieli zachodnich i najbardziej utalentowanych postaci oraz starać się o ich obecność w telewizji czeskiej, bułgarskiej itd. Dobrym przykładem była podróż Zbigniewa Brzezińskiego w 1987 roku do Budapesztu i Warszawy oraz jego odczyty i wystąpienia w lokalnej telewizji. Kluczową rolę spełniają stacje radiowe – Deutsche Welle, BBC, VOA, WE i inne. Są one surogatem wolnej prasy. Trzeba zwiększać wpływ zachodniej telewizji. Telewizja zachodnioniemiecka już obecnie jest podstawowym źródłem informacji i opinii w NRD. Należy wydać pieniądze na umieszcze-

nie satelity, który przekazywałby audycje do mieszkańców wszystkich krajów tego regionu. Dziś telewizja satelitarna obejmuje tylko niewielką jego część, nie nadając w żadnym, poza niemieckim, języku lokalnym.

### *Działania na rzecz bezpieczeństwa*

Problemy bezpieczeństwa wzbudziły największe zainteresowanie w epoce powojennej, a tymczasem najmniej o nich rozmawiamy z poszczególnymi krajami Europy środkowo-wschodniej. Dopiero całkiem niedawno nastąpiła pierwsza wymiana między zachodnimi a wschodnimi wojskowymi i to w niezwykle wąskim zakresie. Również zupełnie świeżo zainicjowany został poważniejszy dialog z tymi rządami na temat kontroli zbrojeń. Sam zresztą zachodni sposób myślenia o politycznych i strategicznych konsekwencjach rozmaitych form kontroli nad bronią konwencjonalną, chemiczną i nuklearną w tym regionie jest nadal stosunkowo powierzchowny.

Po pierwsze, Zachód musi rozwijać swoją własną koncepcję bezpieczeństwa w odniesieniu do tych krajów. Powinna ona koncentrować się zasadniczo na zmniejszeniu groźby *blitzkriegu* – wojny błyskawicznej – z ich strony. Pożądanym celem jest oczywiście wyrównanie liczby czołgów, artylerii i żołnierzy w strefie od Atlantyku po Ural. Dodatkowe kroki mogłyby zmienić rozniesczenie i charakter pozostałych sił w taki sposób, by wyeliminować możliwość niespodziewanego ataku. Musimy również pójść dalej na drodze jawności i wczesnego ostrzegania. Na przykład pomocnym rozwiązaniem byłoby umieszczenie na stałe zachodnich obserwatorów w kluczowych gałęziach komunikacyjnych w całej Europie środkowo-wschodniej. Powinniśmy także na nowo rozważyć, poszerzyć i „uprawomocnić” rolę zachodnich *attaché* wojskowych – są to jedyni wojskowi Zachodu stale obecni w tej części Europy. Powinni być oni coraz bardziej traktowani jako czynnik otwarcia i zaufania ułatwiający dialog wojskowy, nie zaś jako „szpiechy”.

Należy przemyśleć celowość całkowitego wycofania wojsk sowieckich z jednego lub z kilku tych krajów, bądź radykalne ograniczenie ich obecności. Nasz sposób myślenia winien obejmować nie tylko konsekwencje wojskowe, lecz także skutki w sferze

wewnętrznej dynamiki politycznej tych krajów. Jakie byłoby na przykład wojskowe i polityczne znaczenie wycofania sił radzieckich z Polski czy Węgier? Czy Zachód powinien być przygotowany do zapłacenia ceny za takie posunięcie oraz/lub za szereg innych kroków? I jaka ta cena być powinna? Większość środkowo-wschodnich Europejczyków pragnie, by Stany Zjednoczone ntrzymały swą wojskową obecność na kontynencie, lecz nawet opozycja demokratyczna chciałaby, aby Stany Zjednoczone skłonne były zareagować w jakiś zasadniczy sposób, gdyby Kreml okazał gotowość dokonania daleko idącej redukcji wojsk. Jaki zakres wycofania wojsk radzieckich uzasadniłby na przykład 50%-ową redukcję naziemnej obecności wojskowej USA w Europie zachodniej?

Należy intensyfikować i instytucjonalizować nasze kontakty z tymi krajami w sprawach bezpieczeństwa. Niezbędna wydaje się regularna praktyka zachodnich ministerstw spraw zagranicznych wysyłania do Europy środkowo-wschodniej przedstawicieli nadzorujących kontrolę zbrojeń, czy prowadzących konsultacje. Forma ta miałaby charakter dwustronny, przynajmniej w niektórych przypadkach na zasadzie równości. Musimy popierać regularne konferencje gromadzące przedstawicieli ministerstw spraw zagranicznych, wojskowych, ludzi nauki i innych, które omawiałyby takie problemy jak np. kwestia sił konwencjonalnych. Trzeba wyjść poza Wiedeń i Genewę jako jedyne miejsca spotkań. Organizowanie ich w Warszawie i Budapeszcie podobnie jak w Waszyngtonie, Bonn i Londynie wyjdzie naprzeciw silnej tęsknocie tych krajów do traktowania ich jako części Europy nie zaś jako marginesu wypchniętego za sztuczny mur. Nasze poglądy możemy wyłożyć w stolicach tych krajów skuteczniej aniżeli w miejscach neutralnych.

Powinniśmy sprzyjać tego rodzaju stosunkom instytucjonalnym, jakie zainicjował nowojorski Instytut Badań nad Bezpieczeństwem Wschód-Zachód (Institute for East-West Security). W IEWS co rok przebywają ludzie z Europy środkowo-wschodniej, zachodniej i Stanów Zjednoczonych w celu wspólnej, pogłębionej pracy nad problemami bezpieczeństwa. Wschodnioeuropejscy uczestnicy tego programu pracują u siebie na kluczowych stanowiskach politycznych związanych z zagrożeniami bezpieczeń-

stwa międzynarodowego i należą do najlepszych krzewicieli nowych idei i współpracy. Należy sprzyjać tego rodzaju wysiłkom zachodnich uniwersytetów i instytucji.

Wojskowi każdego z tych krajów mają oczywiste znaczenie militarne i mogą również odgrywać większą rolę polityczną w przyszłości. Najlepszym przykładem jest Polska. Wizyta przewodniczącego kolegium sztabów USA Johna Vessey'a (1984) w Rumunii była tyleż bezprecedensowa co ważna. Musimy zbudować całą tkankę powiązań między naszymi wojskowymi. Wielka Brytania, Austria, Finlandia i Szwajcaria dokonują corocznej wymiany swych szefów sztabów z Węgrami. Praktyka ta powinna być rozszerzona na wszystkie kraje regionu. Stany Zjednoczone rozpoczynają od skromnej wymiany historyków wojskowości oraz wojskowych drużyn sportowych z niektórymi krajami i pragną podwyższenia szczebla tych kontaktów. Dziś, gdy rozwija się amerykańsko-radziecki dialog wojskowy, drzwi Europy środkowo-wschodniej są szerzej otwarte.

Wizytacje w jednostkach wojskowych w pewnym sensie już mają miejsce, bowiem proces KBWE gwarantuje obecność obserwatorów na manewrach. Jednakże wiele pozostaje do zrobienia. Potrzebny jest dialog na temat doktryny. Potrzebne są wzajemne wizytacje szkół wojskowych, by upewnić się, że młodym pokoleniom oficerów i żołnierzy nie wpaja się ducha wrogości i podejrzliwości. Dlaczego nie zorganizować wymiany wykładowców między akademiami i instytucjami wojskowymi? Tam, gdzie to możliwe, należy przeprowadzić wizytacje jednostek lądowych i innych. W dalszej perspektywie nie można wykluczyć myśli o wspólnych ćwiczeniach. Początkowo mogłyby to być ćwiczenia sztabowe zajmujące się np. problemem terrorystów żądających dostępu do broni atomowej lub zakłóceniami systemu nuklearnego ostrzegania. Odpowiednie gry mogłyby być bardzo pożytecznym początkiem na drodze zmniejszania groźby wypadku lub błędu obliczeniowego – być może najbardziej prawdopodobnej przyczyny przyszłej wojny. Opracowujemy koncepcję ośrodków ograniczania ryzyka między Waszyngtonem a Moskwą. Niewykluczone, że pożyteczne byłyby dyskusje na temat zmniejszenia ryzyka między rządami Europy środkowo-wschodniej a Zachodem.



Zachód musi postrzegać ten region jako „nową granicę”, wobec której nowy poziom wysiłku i wytrwałości przyniesie znaczne rezultaty w dłuższej perspektywie. Właściwa komunizmowi sztywność i nieefektywność nie dadzą szybkich wyników. Zasadnicze reformy przyjdą powoli, zaznając po drodze różnych zwrotów i regresów. Jednakże nie ma innej możliwości – ani dla nas, ani dla nich. Stagnacja z ich strony i bierność z naszej nie są polityką rozsądną. Prowadziłyby jedynie do dalszych wybuchów i wewnętrznej niestabilności w samym sercu najbardziej uzbrojonego regionu świata, gdzie dwie największe potęgi wojskowe w historii stoją twarzą w twarz. Nadszedł czas nowej współpracy między Europą środkowo-wschodnią a Zachodem.

Mark Palmer

NAKŁADEM                      ANEKSU

Markiz de Custine

### LISTY Z ROSJI

„Czytelnik przeciera oczy: oto jakiś markiz, syn Delfiny de Sabran, wyprzedził o wiek krytyków bolszewizmu... To właśnie jest tak niepojęte: w jaki sposób koszmarna wizja z roku 1839 stała się rzeczywistością w roku 1939?”

(ze wstępu).

Str. 210 + XIV

Cena: £ 5,00 – \$ 11,00

Piotr Wierzbicki

### STRUKTURA KŁAMSTWA

*Nagroda Kulturalna „Solidarności” za rok 1986*

*Nagroda Niezależnych Dziennikarzy – książka roku 1986*

„Dość oceniania, wartościowania, moralizowania. Dość kazań, zrzędzeń i płaczów... Przeszedł czas na chłodny opis, na uchwycenie tego systemu kłamstwa w całości”.

Str. 172

Cena: £ 4,00 – \$ 10,00

# *gospodarka*

Kazimierz Z. Poznański

## Spór o subsydia w handlu RWPG

Żadna ocena stosunków między Związkiem Radzieckim i Europą wschodnią nie może pominąć handlu w ramach RWPG. Powszechnie uważa się, że instytucja ta działa nieudolnie, w dużym stopniu dlatego, że jej cele są bardziej polityczne – kontrola Europy wschodniej przez Związek Radziecki – niż ekonomiczne, czyli korzyści ze specjalizacji. Brak natomiast zgody, jeśli chodzi o kwestię podziału efektów wymiany handlowej. Zdaniem jednych, RWPG jest narzędziem eksploatacji Europy wschodniej, podczas gdy inni twierdzą, że to Związek Radziecki dokłada do swych partnerów.

### *1. Dotychczasowy przebieg debaty.*

*Pierwsze analizy.* Spór o dystrybucję korzyści z handlu jest zjawiskiem stosunkowo nowym. Pierwsze powojenne reakcje wśród zachodnich ekspertów były jednoznaczne. Dominujący pogląd głosił, że wkrótce po wojnie Związek Radziecki zaczął wykorzystywać Europę wschodnią. Przykładem tej eksploatacji była sprzedaż węgla przez Polskę poniżej cen ogólnie przyjętych w

transakcjach na rynku światowym\*, czy też dostawy uranu po zaniżonych cenach przez Czechosłowację (z przedsiębiorstw znajdujących się pod zarządem sowieckim).

Marer (1972) ustalił po latach, że od połowy lat pięćdziesiątych Związek Radziecki wycisnął z Europy wschodniej około 14 mliardów dolarów, część dzięki zniekształconym cenom, o których była mowa wyżej, a resztę głównie dzięki wojennym reparacjom (przeważnie z Niemiec Wschodnich i Węgier). Suma tych strat odpowiadała mniej więcej pełnej wartości pomocy finansowej udzielonej Europie zachodniej przez Stany Zjednoczone w ramach tzw. Planu Marshalla (początkowo przewidzianego także dla Czechosłowacji i Polski).

Pierwsze wątpliwości co do natury handlu między Związkiem Radzieckim i Europą wschodnią pojawiły się w związku z publikacją kolejnych badań Marera (1974). Ujawniły one, że z końcem lat pięćdziesiątych Związek Radziecki nie tylko zaczął pomagać finansowo poszczególnym krajom Europy wschodniej, ale że zaczął też tracić na handlu z tym regionem, choć na niewielką raczej skalę. Sytuacja ta – zdaniem Marera – trwała przynajmniej do połowy lat sześćdziesiątych.

Przyczyną strat dla Związku Radzieckiego w handlu z Europą wschodnią była – według Marera – niekorzystna struktura cen w RWPG. W tych latach ceny były ustalane w oparciu o notowania na rynkach światowych i następnie zamrażane na okresy wieloletnie, głównie dla uniknięcia zakłóceń w planowaniu. W wyniku usztywnienia, ceny na surowce, w których Związek Radziecki miał nadwyżkę, okazały się odbiegać w dół bardziej niż ceny maszyn, w których Związek Radziecki miał deficyt, powodując straty dla strony radzieckiej (i korzyści dla Europy wschodniej).

Radzieckie straty w tych latach były zbyt małe, by nakłonić większość obserwatorów do zmiany oceny Związku Radzieckiego jako gospodarczej siły imperialnej. Na dodatek, wielu zwolenników koncepcji eksploatacji Europy wschodniej słusznie zwróciło uwagę, że tak policzony bilans efektów handlu RWPG nie uwzględnia negatywnego, jak uważano, wpływu tej instytucji na cha-

---

\* Patrz *Aneks*, nr 19.

rakter specjalizacji produkcji w Europie wschodniej oraz na ogólny stopień otwarcia tego regionu na handel zagraniczny. Najprawdopodobniej, jak twierdzono, straty tego rodzaju były większe od korzyści uzyskiwanych przez Europę wschodnią w wyniku zakłóceń cenowych.

„*Ukryte subsydia*”. Prawdziwa kontrowersja wybuchła dopiero wraz z pojawieniem się szacunków sowieckich strat, które przygotowali Marrese i Vanous (1983). Badanie ich wykazało, że z początkiem lat siedemdziesiątych Związek Radziecki zwielokrotnił swoje „ukryte subsydia” – żeby użyć terminologii wprowadzonej przez autorów szacunku – dla Europy wschodniej. Marrese i Vanous ustalili, że wartość tych subsydiów wyniosła około 115 miliardów dolarów w okresie 1971-1984, przy czym większość ich powstała w ostatnich kilku latach tego okresu (np. 18 miliardów dolarów w samym 1981 roku).

Marrese i Vanous wskazują na dwa podstawowe źródła subsydiów dla Europy wschodniej. Po pierwsze, Związek Radziecki sprzedawał w tych latach więcej ropy i gazu (oraz innych surowców) po zaniżonych cenach, niż wynosiły jego zakupy tych dóbr w Europie wschodniej. Podczas gdy kryzys energetyczny spowodował gwałtowną wyżkę cen ropy i gazu na świecie, ich ceny w RWPG początkowo nie uległy zmianie. Dopiero w wyniku zmiany formuły cen w 1975 – z wieloletnich sztywnych cen na corocznie korygowane w oparciu o pięcioletnią ważoną cenę światową – Związek Radziecki zaczął zmniejszać lukę między ceną światową i ceną RWPG. Nie zdołał jednak zlikwidować tej różnicy przed 1984 rokiem.

Po drugie, przez cały ten czas, jak dowodzą Marrese i Vanous, Związek Radziecki kupował po zawyżonych cenach więcej maszyn z Europy wschodniej, niż wynosiła wartość tego importu z europejskich członków RWPG. Ich zdaniem, ceny RWPG odbiegały o 20 procent od światowych cen na zbliżone, choć nie identyczne pod względem jakości, wyroby wymieniane poza blokiem. Gdyby uwzględnić gorszą jakość wyrobów krajów RWPG wtedy, jak twierdzą autorzy, ceny w handlu maszynami między Związkiem Radzieckim i Europą wschodnią powinny być o 40 procent niższe niż ceny światowe na zbliżone produkty.



Te rozbieżności cen oznaczały straty dla Związku Radzieckiego ponieważ, teoretycznie rzecz biorąc, mógł on w każdej chwili upłynnić swoją nadwyżkę w eksporcie surowców do Europy wschodniej na rynku światowym po cenach wyższych. Podobnie, likwidując swój deficyt z Europą wschodnią w handlu maszynami i przestawiając się na światowe źródła importu, Związek Radziecki mógł oszczędzić na wydatkach (biorąc pod uwagę istniejące rozbieżności, korzyść powinna wynosić 30 procent wartości deficytu z Europą wschodnią).

Wielu ekonomistów przyjęło te wyniki z dużym niedowierzaniem. Badanie zostało oparte na wątpliwych – ich zdaniem – założeniach. Główny zarzut został sformułowany przez Marresa (1984) w odniesieniu do cen maszyn: 20 procentowe odchylenie jest prawdopodobne, natomiast 40 procentowa różnica przypisana przez Marrese i Vanousa rozbieżnościom w jakości (czy – poziomie technicznym) jest przesadzona; nie można uznać cen płaconych na świecie za wyroby RWPG, tak jak to przyjmują Marrese i Vanous, jako odzwierciedlenie ich prawdziwej wartości, ponieważ takie czynniki jak dyskryminacja wobec produktów RWPG i nieefektywny system sprzedaży również – niezależnie od jakości – odbijają się negatywnie na cenach.

*Polityczna interpretacja.* Mimo krytycznych głosów wyniki badań Marrese i Vanousa zostały zaakceptowane przez znaczną część specjalistów od spraw bloku sowieckiego. Sukces tego badania wynikał w części stąd, że sceptycy, włącznie z Marerem, nie byli od razu w stanie przedstawić obliczeń opartych na odmiennych założeniach. Ci, którzy przyjęli wyniki Marrese i Vanousa, stanęli w obliczu intelektualnego wyzwania, mianowicie jak wytłumaczyć obecność „ukrytych subsydiów” ze Związku Radzieckiego. Jedną hipotezę zaproponowali sami autorzy szacunku twierdząc, że Związek Radziecki oferuje korzystne ceny w eksporcie i imporcie ze względów czysto politycznych.

„Subsidia” stanowią rekompensatę za, między innymi, stacjonowanie wojsk radzieckich, nieefektywny system gospodarczy (narzucony przez Stalina), oraz poparcie udzielane na arenie międzynarodowej (np. głosowania w Narodach Zjednoczonych), a

także swoistą nagrodę za utrzymywanie porządku wewnętrznego w krajach satelickich.

Marrese i Vanous twierdzą nawet, iż Związek Radziecki w swych decyzjach o przydziale subsydiów kieruje się swoistą „funkcją użyteczności”. Tak więc, te kraje Europy wschodniej, które przynoszą więcej korzyści politycznych Związkowi Radzieckiemu, lub innymi słowy bardziej przyczyniają się do maksymalizacji tej funkcji, otrzymują proporcjonalnie więcej subsydiów. Dlatego też zdaniem autorów, Bułgaria, znana z lojalności, czy Niemcy Wschodnie, gdzie stacjonuje więcej sowieckich żołnierzy niż gdziekolwiek indziej w Europie wschodniej, otrzymują wyższe subsydia niż „niezależna” Rumunia, czy przeżywająca cykliczne kryzysy polityczne Polska.

W tym samym duchu wypowiada się Bunce (1985), której zdaniem „ukryte” subsydia są odpowiedzią na dotkliwe kryzysy, przez które przeszły niektóre kraje wschodniej Europy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych (rewolucja na Węgrzech w 1956, polski październik, czy „Praska Wiosna”). Aby zapobiec kolejnym załamaniom – podrywającym autorytet Związku Radzieckiego i zagrażającym marksistowskiej ideologii – przywódcy w Moskwie uznali, twierdzi Bunce, że najlepszym lekarstwem będzie „konsumeryzm”. Subsytia mają pomóc rządóm wschodnio-europejskim przyspieszyć rozbudowę przemysłów konsumpcyjnych i zapewnić wzrost dochodów realnych ludności.

Z pewnością nie jest łatwo wniknąć w motywy przywódców Związku Radzieckiego, opierając się na samym fakcie subsydiów (przyjmując, że szacunki są prawdziwe). Jeszcze trudniej jest wyjaśnić, dlaczego Związek Radziecki wybrał manipulacje cenowe jako narzędzie transferu subsydiów. Marrese i Vanous twierdzą, że Związek Radziecki używa cen dlatego, iż nie chce, by obywatele jego kraju znali rozmiary tej pomocy. Ma to jednak wyraźnie ujemny skutek, gdyż „ukryte” subsytia nie są w stanie przynieść pełnego efektu w Europie wschodniej, skoro nikt nie zdaje sobie tu sprawy ze skali sowieckiego wysiłku.

Marrese i Vanous zdają sobie sprawę z niebywale dużych rozmiarów wyliczonego przez nich subsydium. Przy jednej okazji twierdzą, że transfery do Europy wschodniej przekroczyły znacz-

nie poziom optymalny lub innymi słowy, że Związek Radziecki zapłacił więcej, niż wyniosły niekonwencjonalne korzyści uzyskiwane w Europie wschodniej. Było to możliwe, ich zdaniem, wyłącznie dlatego, że Związek Radziecki nie jest w stanie całkowicie kontrolować wielkości subsydiów (na co nie ma dowodu, jak wykazuje badanie Holzmana – 1986 a, b). Kierownictwo sowieckie może do pewnego stopnia wpływać na własne ceny oraz wolumen wymiany z Europą wschodnią, ale nie ma wpływu na ruch cen światowych. Brak kontroli nad tym ostatnim elementem jest głównym – jak twierdzą autorzy – źródłem niepewności.

Oczywiście wielkość subsydiów, jakich Związek Radziecki jest gotowy udzielić Europie wschodniej, zależy od tego, jak sugeruje teoria Marresa i Vanousa, na ile jego kierownictwo zainteresowane jest utrzymaniem tego regionu w sferze swych wpływów. Globalne ambicje Związku Radzieckiego wykraczają oczywiście poza kwestie politycznej kontroli Europy wschodniej, stąd przywódca w Moskwie najprawdopodobniej muszą każdorazowo ustalić, czy dolar wydany na ten region przynosi tyle samo korzyści co dolar wydany gdzie indziej (np. na destabilizację Europy zachodniej, czy działania partyzantki w Ameryce Centralnej).

Zdaniem Marrese i Vanousa jest mało prawdopodobne, żeby Związek Radziecki mógł sobie pozwolić w nieskończoność na płacenie tak wysokiego, jak oni twierdzą, rachunku za spokój w Europie wschodniej. Realną alternatywą byłoby zmuszenie Europy wschodniej, by kupowała więcej surowców (włącznie z energią) na rynku światowym w zamian za eksport maszyn. Inne wyjście, bardziej skomplikowane, polegałoby na skłonieniu Europy wschodniej do głębokich reform, co spowodowałoby zmniejszenie zużycia surowców i podniesienie jakości produkowanych przez te kraje maszyn.

*Efekt „unii celnej”*. Alternatywną interpretację „ukrytych subsydiów” rozwinęła grupa ekonomistów, których zdaniem transfery finansowe nie mają nic wspólnego z polityką, lecz wynikają raczej z faktu, że RWPG jako blok handlowy różni się od reszty gospodarki światowej pod względem wyposażenia w czynniki produkcji. Jak twierdzi powiedzmy Brada (1985), RWPG jest względnie lepiej wyposażona w surowce naturalne (głównie dzięki

zasobom Związku Radzieckiego), ale posiada mniej kapitału niż reszta gospodarki światowej; stąd też ceny RWPG są niższe na surowce i wyższe na dobra kapitałowe (tj. maszyny) niż ceny poza RWPG. Ponieważ Związek Radziecki ma nadwyżkę w handlu surowcami i deficyt w handlu maszynami z Europą wschodnią, te różnice w cenach automatycznie prowadzą do strat na rzecz partnerów w RWPG.

Problem z tym argumentem – atrakcyjnym intelektualnie – polega na tym, że nie ma żadnego przekonującego dowodu, iż struktura wyposażenia w czynniki produkcji w RWPG jest inna niż poza blokiem, bądź że różnice, jeśli występują, są na tyle zasadnicze, by spowodować przepływ subsydiów tak duży, jak sugerują to Marrese i Vanous. W istocie Związek Radziecki ma ogromne zasoby naturalne, ale jego koszty wydobywania i wstępnego przetworzenia są bardzo wysokie (jak w przypadku ropy naftowej). Kraje RWPG w Europie są mniej rozwinięte niż zaawansowane państwa zachodnie, ale prawdą jest też, że te pierwsze wydają nieproporcjonalnie większą część dochodu narodowego na inwestycje w dobra kapitałowe.

Inny problem z argumentem Brady jest ten, że zakłada on – w niezgodzie z faktami – iż ceny w RWPG w pełni odzwierciedlają warunki produkcji, tak że jeśli maszyny są rzeczywiście mniej dostępne niż surowce, to będą sprzedawane względnie drożej. Co więcej, żeby zaakceptować argument Brady, należałoby odrzucić powszechnie znany fakt, że kraje RWPG z braku innych możliwości starają się, jak wspominałem wcześniej, opierać swe ceny na cenach światowych.

## 2. Alternatywny szacunek „subsydiów”

*Główne wątpliwości.* Osobiście przyjąłem szacunki Marrese i Vanousa z dużym niedowierzaniem, choć zaimponował mi rozmach ich opracowania i skomplikowane technicznie obliczenia. Główne wątpliwości dotyczyły tego, że owe ogromne „subsytia” udzielane są przez nie tak znowu rozwinięty kraj, cierpiący na liczne palące braki. Pła dodatek, korzystają z tych subsydiów kraje cieszące się przeważnie wyższym poziomem życia i posiadające z reguły znacznie bardziej zróżnicowany rynek wewnętrzny, np. Niemcy Wschodnie czy Węgry.

Żeby lepiej zdać sobie sprawę ze skali wysiłku ponoszonego, jak twierdzą Marrese i Vanous, przez Związek Radziecki, warto porównać roczne subsydia w niektórych latach z, powiedzmy, wartością sowieckiego importu z krajów zachodnich. Wydaje się to dobrym punktem odniesienia, ponieważ ogólnie wiadomo, że Związek Radziecki, podobnie jak Europa wschodnia, z wielkim trudem zdobywa wymienne waluty, tak że z konieczności dla pokrycia swych potrzeb Moskwa musi pożyczać od banków międzynarodynarolowych. Mimo to wielkość subsydiów np. w 1981 roku znacznie przekroczyła wartość całkowitego importu ZSRR z Zachodu<sup>9</sup>.

Zastanawia również fakt, dlaczego, uwzględniając nierównowagę sił w RWPG, Związek Radziecki zmuszony jest, jak sugerują Marrese i Vanous, używać tak subtelných instrumentów, jak ukryte zachęty finansowe. Nie jest też łatwo zrozumieć, dlaczego zachęty te uległy tak gwałtownemu zwiększeniu między 1971 i 1984, mimo że w okresie tym możliwości interwencji ZSRR w Europie wschodniej na pewno nie zmniejszyły się. Rozkład w czasie subsydiów obliczonych przez Marrese i Vanousa wydaje się też kłócić z tezą autorów, że źródłem tej finansowej pomocy jest troska Związku Radzieckiego o równowagę polityczną w Europie wschodniej. Jest oczywiste, że Moskwie zależy na spokoju w Europie wschodniej, nie jest jednak jasne, dlaczego subsydia miałyby ulec zwielokrotnieniu w okresie względnego spokoju.

*Alternatywny szacunek.* Przeprowadziłem alternatywne obliczenia „subsydiów” w ramach RWPG. (Poznański, 1985), Marer i Poznański (1986). Badanie to zostało oparte na zasadniczo zmodyfikowanej metodologii w nadziei, że zmienione założenia pozwolą na dokładniejsze uchwycenie rzeczywistej rozbieżności

<sup>9</sup> W 1982 roku koszt subsydiów na mieszkańca Niemiec Zachodnich wyniósł, jak obliczył Brada (1988), 24 dotary, podczas gdy jeden mieszkaniec Związku Radzieckiego – jeśli zawierzyć na chwilę wynikom badań Marrese i Vanousa – przekazał do Europy wschodniej około 50 dolarów w subsydiach. Należy przy tym wziąć pod uwagę fakt, że przeciętny dochód w Związku Radzieckim stanowi w najlepszym razie – nie uwzględniając różnic w jakości wyrobów – połowę dochodu w Niemczech Zachodnich.

cer pomiędzy RWPG i gospodarką światową. Ograniczę się tutaj do bardzo ogólnego przedstawienia tego badania, jego założeń i wyników liczbowych.

W pierwszej części analizy rozważam ewentualne trwałe rozbieżności cen na maszyny w RWPG i na świecie. Moje szacunki odbiegają tu od badania Marrese i Vanousa w trzech ważnych punktach. Po pierwsze, odrzucam założenie, że ceny RWPG przekraczają o 20 procent ceny światowe na zbliżone – choć nie identyczne – wyroby. Tylko jedno, nigdy nie zweryfikowane źródło, na które powołują się Marrese i Vanous, wskazuje na to zniekształcenie i to w oparciu o domniemaną praktykę w początkach lat sześćdziesiątych. Nawet gdyby to było wówczas prawdą, nie wydaje się, by od tego czasu rozbieżność nie została skorygowana.

Po drugie, chociaż prawdą jest, że Europa wschodnia otrzymuje z reguły na rynkach światowych za swe maszyny ceny o 40 procent niższe niż kraje zachodnie za podobne, lecz nie identyczne wyroby, nie oznacza to, że cała ta różnica, jak twierdzą Marrese i Vanous, wynika z różnic jakościowych. Część tej luki w cenach, jak słusznie wskazuje Marer (1984), odzwierciedla fakt, że kraje zachodnie dyskryminują Europę wschodnią oraz że region ten ma bardzo niesprawny aparat sprzedaży. W moim badaniu przyjmuję, że związana z jakością różnica cen wynosi tylko 20 procent (tj. połowę obserwowalnej luki w cenach eksportu).

Po trzecie, podczas gdy Marrese i Vanous twierdzą, że Związek Radziecki mógłby zakupić na rynku światowym wyroby o identycznej jakości co te, które eksportuje Europa wschodnia po cenach światowych, w moim badaniu przyjmuje się, że ceny importu przez Związek Radziecki spoza RWPG nie muszą, choć mogą być jednakowe. A to dlatego, że wyroby ze świata mogą być dostarczane na dogodniejszych warunkach (np. włącznie z pomocą techniczną nie oferowaną przez Europę wschodnią), bądź dlatego, że dyskryminacja zachodnia obejmuje też transakcje importowe. Czy też dlatego, że zakupy sowieckie są prowadzone nieudolnie.

Z tych trzech założeń tylko ostatnie możliwe jest do empirycznego zbadania z pomocą istniejących źródeł statystycznych. Weryfikacja trzeciego założenia na temat cen importu przez Związek Radziecki została oparta na porównaniu cen płaconych

przez Moskwę za obrabiarki produkowane przez Niemcy Zachodnie z cenami płaconymi przez kraje zachodnie, oraz wybrane państwa rozwijające się (np. Brazylię, Meksyk, Koreę Południową). Nieodmiennie Związek Radziecki okazał się płacić ceny wyższe średnio o 50 procent niż kraje zachodnie, oraz 25 procent powyżej cen płaconych przez kraje rozwijające się.

Różnica ta z pewnością odzwierciedla w części fakt, że Niemcy Zachodnie, podobnie jak inni dostawcy zachodni, starają się uwzględnić w cenie różne korzyści, których Związek Radziecki nie otrzymuje od Europy wschodniej (np. kompensatę za subsydiowane kredyty, serwis techniczny, czy szybkie dostawy części zamiennych). Jest też wielce prawdopodobne, że ceny importowe są wyższe również dlatego, że Związek Radziecki ma marne rozpoznanie rynku światowego oraz dlatego, że bodźce do oszczędnego wydatkowania dewiz przez jednostki handlu zagranicznego są raczej słabe. Na dodatek, kraje zachodnie z pewnością dyskryminują Związek Radziecki jako importera mniej ważnego – ze względu na ograniczoną skalę i sporadyczność transakcji.

Jeśli przyjąć, że ze względu na nieefektywność zakupów i dyskryminację Związek Radziecki musi płacić 25 procent powyżej cen światowych za wyroby o określonej jakości, wtedy, jak łatwo dowieść, przestawienie się z dostaw maszyn przez Europę wschodnią na rynek światowy nie może przynieść Związkowi Radzieckiemu żadnej korzyści. A to dlatego, że maszyny, które Europa wschodnia sprzedaje na świecie za 80 jednostek waluty, Związek Radziecki może zakupić tylko z 25 procentowym narzutem, czyli za 100 jednostek waluty; dokładnie tyle, ile wynosi cena w RWPG.

W drugiej części mego badania zastanawiam się nad tym, ile, jeśli w ogóle, tracił Związek Radziecki na dostawach ropy i gazu do Europy wschodniej w okresie 1971-1984, gdy jego ceny były poniżej poziomu światowego. Szacunek Marrese i Vanousa polega na tym, że różnice cen w każdym roku mnoży się przez nadwyżkę wolumenu sowieckiego eksportu. W moim badaniu przyjmuję, że straty ponoszone przez Związek Radziecki zależały nie tylko od tego, na ile ceny ropy i gazu odbiegały od cen światowych, ale także od tego, na ile ceny maszyn kupowanych w nadwyżce przez Związek Radziecki z Europy wschodniej – kształto-

wane również w oparciu o jakieś średnioważone formuły – odbiegały od poziomu światowego w poszczególnych latach.

W alternatywnym szacunku, o którym tutaj mowa, pytanie sformułowane jest następująco: ile maszyn w ujęciu fizycznym otrzymał Związek Radziecki za swoją ropę i gaz eksportowane do Europy wschodniej w porównaniu z tym, ile mógł uzyskać za tonę ropy czy metr sześcienny gazu na rynkach światowych. Tak więc jeśli, dla przykładu, ceny sowieckiej ropy i gazu odbiegały w dół od cen światowych w tym samym stopniu co ceny maszyn wschodnio-europejskich od cen poza RWPG, wtedy oczywiście Związek Radziecki nie tracił nic z tytułu zaniżonych cen surowców energetycznych.

Tak policzone skutki rozbieżności cen w podstawowych grupach towarowych – surowce i maszyny – wyniosły w latach 1971-1984, jak pokazuje alternatywny szacunek, około 30 miliardów dolarów. Biorąc pod uwagę że zgodnie z tym, co zostało powiedziane wcześniej, Związek Radziecki nie ponosi żadnych strat z tytułu domniemanych trwałych rozbieżności w cenach maszyn, powyższa suma stanowi jednocześnie wartość całkowitego subsydium dla Europy wschodniej w tym okresie. Mój alternatywny szacunek stanowi, jak widać, nieco mniej niż jedną trzecią obliczeń Marrese i Vanousa.

Co więcej, podczas gdy Marrese i Vanous wykazują, że Związek Radziecki subsydiował Europę wschodnią przez wszystkie lata 1971-1984, moje badanie sugeruje, że subsydia miały charakter cykliczny, ze Związkiem Radzieckim i Europą wschodnią subsydiującymi się nawzajem. Tak więc, no pierwszym szoku energetycznym w 1972 Związek Radziecki „dopłacał” do swych partnerów, ale poczynając od 1976 aż do 1979 Europa wschodnia traciła na rzecz Związku Radzieckiego, tak że w 1979 bilans był bliski zeru. Drugi szok spowodował, że Związek Radziecki zaczął ponownie subsydiować, ale wartość tych transferów spada od 1983 roku, i wkrótce potem Europa wschodnia najprawdopodobniej zamieniła się w źródło subsydiów.

*Próba reinterpretacji.* Wyniki moich badań stawiają Związek Radziecki w innym świetle niż szacunki Marrese i Vanousa. Związek Radziecki nie jest tu widziany jako przyjaźnie nastawiony



gigant, który stara się wpłynąć na Europę wschodnią raczej ekonomicznymi zachętami niż politycznymi represjami. Cykliczny charakter subsydiów sugeruje, że pomoc, jeśli występuje, jest wzajemna. Związek Radziecki złagodził skutki wzrostu światowych cen energii (w 1972 i 1979) w Europie wschodniej (tj. problem finansowania niezbędnego importu ropy i gazu), podczas gdy Europa wschodnia ułatwia teraz Związkowi Radzieckiemu (po 1983) zaadaptowanie się do spadku cen światowych (i związanych z tym trudności zakupu maszyn z importu).

Cykliczny charakter „subsidiów” wskazuje też na to, że polityczne motywy przypisywane kierownictwu sowieckiemu przez Marrese i Vanousa są raczej niewiarygodne. Jeśli Związek Radziecki rzeczywiście używa subsydiów, by wynagrodzić Europę wschodnią za różne pozakonomiczne usługi, rodzi się pytanie, czy okresowe subsydia udzielane przez Europę wschodnią odpłacają różnego rodzaju niekonwencjonalne korzyści płynące ze Związku Radzieckiego. Nawet gdyby Europa wschodnia miała jakiegokolwiek powody do wynagradzania Związku Radzieckiego poprzez manipulacje cenowe, uzyskiwane korzyści nie byłyby w stanie dorównać, a tym bardziej przekroczyć wartości niekonwencjonalnych usług świadczonych przez ten region na rzecz Związku Radzieckiego. Kiedykolwiek Europa wschodnia staje się źródłem netto subsydiów dla Związku Radzieckiego, jak w latach 1976-1979, wówczas, jeśli zawierzyć teorii Marrese i Vanousa, oznacza to, że region sam uzyskuje korzyści przewyższające jego niekonwencjonalny wkład do „funkcji użyteczności” Związku Radzieckiego. Tak więc wyniki alternatywnego szacunku nie są do pogodzenia z teorią zaproponowaną przez Marrese i Vanousa.

Co więcej, alternatywne badania zdają się podważać koncepcję „unii celnej” sformułowaną przez Bradę. Cykliczność subsydiów oznacza, że w dłuższym okresie czasu transfery pomiędzy Związkiem Radzieckim i Europą wschodnią kasują się, bądź, innymi słowami, w dłuższym okresie struktury cen w RWPG i w gospodarce światowej pokrywają się. Wynika stąd więc, że albo wyposażenie w czynniki produkcji w RWPG nie różni się do tego poza blokiem, bądź że wyposażenie nie jest identyczne (być może w zgodzie z sugestią Brady), ale fakt ten nie ma żadnego istotnego wpływu na strukturę cen w Europie wschodniej i Związku Radzieckim.

Jakie jest więc wytłumaczenie obecności netto subsydiów dla Europy wschodniej w latach 1971-1989, skoro polityczna teoria okazuje się wątpliwa? Najbardziej wiarygodna wydaje się hipoteza, że rozbieżności cen – oraz wynikające stąd wzajemne subsydia – spowodowane są nieudolnością RWPG. Biurokracja RWPG nie jest w stanie zapewnić, by ceny produktów w bloku podążały, z opóźnieniem lub nie, dokładnie za cenami światowymi, mimo że taka jest intencja planistów. Znalezienie właściwych – w pełni porównywalnych – cen nie jest zadaniem łatwym, zwłaszcza że mała skala handlu z gospodarką światową nie pozwala na dobre rozeznanie trendów cenowych. Co więcej, przetworzenie informacji cenowej jest też wielce skomplikowane. Tak więc odchylenia cen są nieuniknione i ich korekty są możliwe wyłącznie z opóźnieniem. Stąd też biorą się okresowe subsydia, kompensowane z chwilą, gdy rozbieżności cenowe ulegają odwróceniu.

Możliwe jest również, że biurokracja RWPG byłaby w stanie znacznie lepiej wywiązać się z zadania kształtowania cen w zgodzie z trendami światowymi, ale nie robi tego z obawy przed destabilizacją. Jak wiadomo, sztywne ceny są sojusznikiem planistów, gdyż obniżają ryzyko i zwalniają z pracochłonnych korekt raz przyjętych zadań dla przedsiębiorstw. Tym należy między innymi tłumaczyć, dlaczego RWPG przyjęła „średnie ruchome” ceny surowców w 1975 roku i podobne procedury dla cen maszyn.

*Dodatkowy element.* W moim pierwszym szacunku, przedstawionym wyżej, przyjąłem za Marrese i Vanousem, że wszystkie kraje RWPG uzyskują za maszyny ceny jednakowo niższe niż eksporterzy z państw zachodnich ze względu na gorszą jakość. Założenie to sugeruje, że Europa wschodnia i Związek Radziecki są tak samo zacofane w stosunku do krajów zachodnich. Wielu ekonomistów twierdzi jednak, że maszyny produkowane w Związku Radzieckim są generalnie rzecz biorąc gorszej jakości niż maszyny z Europy wschodniej. Rodzi się pytanie, czy różnice te mają miejsce i jeśli różnice takie rzeczywiście istnieją, jakie to ma implikacje dla subsydiów w RWPG.

Jeśli przyjąć na chwilę, że sowieckie maszyny są niższej jakości niż wyroby wschodnio-europejskie, wówczas należałoby skorygo-

wać wcześniej przedstawione wyniki. Zakładając, że ceny RWPG, jak twierdziliśmy dotąd, nie odzwierciedlają prawdziwej jakości wyrobów w danej grupie towarowej, wówczas różnice jakości między zbliżonymi produktami z Europy wschodniej i ze Związku Radzieckiego muszą prowadzić do strat Europy wschodniej. Przy czym najbardziej zaawansowane technicznie kraje w tym regionie będą tracić relatywnie więcej.

Dla obliczenia absolutnych strat krajów Europy wschodniej – mających charakter trwały przynajmniej tak długo, jak długo Związek Radziecki jest w tyle za techniką wschodnio-europejską – należałoby ustalić wartość całkowitych zakupów maszyn ze Związku Radzieckiego przez ich partnerów w PWPG. Podejście to różni się od analizy obejmującej wcześniej dyskutowane aspekty cennictwa w handlu zagranicznym tych krajów, w której transfery kalkulowane są w oparciu o dane na temat niezbilansowanych transakcji (patrz uwagi w pierwszym paragrafie).

Analiza porównawcza cen uzyskiwanych przez poszczególne kraje RWPG na rynku światowym – dokładnie rzecz biorąc w Niemczech Zachodnich – wskazuje, że przeciętnie Związek Radziecki dostaje ceny o 25 procent niższe niż Europa wschodnia za zbliżone, nie identyczne, wyroby (pełne wyniki przedstawione w Poznański, 1988b). Jest mało prawdopodobne, że różnice te wynikają stąd, że Związek Radziecki napotyka ostrzejszą dyskryminację lub jest znacznie mniej sprawnym eksporterem. Różnice te, moim zdaniem, odzwierciedlają niższą jakość sowieckich wyrobów.

Z powyższych wstępnych ustaleń wynika, że każdego roku Europa wschodnia „subsyduje” Związek Radziecki w wysokości 25 procent wartości wschodnio-europejskiego importu sowieckich maszyn. W latach 1971-1984 „subsytia” z tego tytułu osiągnęły blisko 11 miliardów dolarów, przy czym roczna wartość tych subsydiów przekroczyła w ostatnich latach 1.5 miliarda dolarów. (*ibid.*) Jest to poważnym obciążeniem dla Europy wschodniej, zwłaszcza dla kilku bardziej zaawansowanych jej członków. Dotyczy to między innymi Węgier, które zgodnie z analizą cen eksportowych wydają się być bardziej zaawansowane technicznie niż pozostałe państwa Europy wschodniej.

Rezultaty obydwu alternatywnych szacunków wskazują, że w latach 1971-1984 subsytia netto ze Związku Radzieckiego w naj-

lepszym razie osiągnęły około 19 miliardów dolarów. Suma ta wydaje się bardziej realistyczna, biorąc pod uwagę ekonomiczne możliwości Związku Radzieckiego, czy też potwierdzone przykłady finansowej pomocy świadczonej „frontowym” krajom marksistowskim spoza Europy.

Sądząc z trendów cenowych w okresie po 1984 roku, Europa wschodnia, podobnie jak w latach 1976-1979, stała się źródłem subsydiów dla Związku Radzieckiego. Formuła cenowa w surowcach energetycznych sprawiła, że obecnie Europa wschodnia płaci za sowiecki gaz i ropę znacznie powyżej cen światowych, co prowadzi do subsydiów (bez ustalenia odchyłeń w cenach maszyn trudno jest powiedzieć, czy subsydia te są proporcjonalne do luki w cenach energii). Na dodatek, Europa wschodnia kontynuuje subsydiowanie poprzez zakup gorszych jakościowo maszyn ze Związku Radzieckiego. Nie jest więc wykluczone, że sowieckie subwencje w wysokości 19 miliardów w latach 1971-1984 (lub raczej 1979-1981, biorąc pod uwagę rezultat pierwszego cyklu subsydiów) zostały już całkowicie skompensowane przez Europę wschodnią z końcem 1988 roku.

### *3. Bilans dynamicznych efektów*

Wyniki referowanych wcześniej badań nie mogą być wyłączną podstawą dla oceny roli odgrywanej przez Związek Radziecki bez wyjaśnienia innych możliwości wpływów tego kraju na Europę wschodnią. Badania te mierzą wyłącznie statyczny bilans rzeczywistych czy domniemyanych odchyłeń cenowych. Związek Radziecki może niezależnie od tego oddziaływać na alokację czynników produkcji w Europie wschodniej, co – w terminologii ekonomicznej – określa się mianem efektów dynamicznych. Jeśli takie dynamiczne skutki – pozytywne lub negatywne – mają miejsce, muszą być one uwzględnione w ocenie stosunków między Związkiem Radzieckim i Europą Wschodnią.

Zdaniem wielu ekonomistów Związek Radziecki jest źródłem negatywnych efektów dynamicznych, głównie z powodu tego, że jego kierownictwo – dokładnie mówiąc Stalin – narzuciło Europie wschodniej nieekonomiczny system społeczny, kombinację centralnego planowania i politycznego totalitaryzmu. Marer, na

przykład, uważa, że obecność tego systemu powoduje wymierne straty ekonomiczne, które należałoby przeciwstawić ewentualnym korzyściom z preferencyjnych cen na sowiecki eksport surowców i import maszyn (w tym samym duchu wypowiada się Koves, 1983).

W kontekście tej analizy należy rozróżnić dwa rodzaje dynamicznych skutków centralnego planowania dla alokacji środków produkcji. Po pierwsze, przyjęty zespół instytucji ekonomicznych decyduje o tym, w jakim stopniu kraje Europy wschodniej uczestniczą w handlu międzynarodowym, z czym wiąże się zdolność do eksploataowania korzyści z tzw. specjalizacji produkcji. Po drugie, w tym zakresie, w jakim państwa Europy wschodniej uczestniczą w wymianie międzynarodowej, ich system wpływa na charakter specjalizacji, tak że ewentualne niedoskonałości mechanizmu prowadzą do pewnych błędów w rozlokowaniu czynników produkcji.

*Niepełny handel.* Zaczynając od strat wywołanych niedostateczną skalą handlu, należy zwrócić uwagę na fakt, że w warunkach tradycyjnej gospodarki planowej rozniary wymiany międzynarodowej są silnie ograniczone przez fakt braku wymiennalności walut krajowych. Jest to szczególnie dotkliwie ograniczenie w handlu wewnątrz RWPG. Brak wymiennalności powoduje, że kraje RWPG zmuszone są do dwustronnego bilansowania handlu, co w konsekwencji prowadzi do tego, że poziom wymiany zdeterminowany jest przez możliwości najsłabszego partnera w każdej dwustronnej wymianie.

Sytuacja jest nieco odmienna w przypadku handlu krajów RWPG ze światem, gdyż posługują się one tutaj obcymi walutami wymiennalnymi w sensie finansowym. Ale nie w sensie towarowym, gdyż zagraniczni partnerzy opłacani w tych walutach nie są zdolni wymienić ich na towary w RWPG bez odpowiednich decyzji planistów. Ten fakt ograniczonej wymiennalności sam w sobie stanowi przeszkodę dla pełnego rozwoju handlu krajów RWPG ze światem zewnętrznym, gdyż planiści działają wolno i niechętnie patrzą na korekty zadań w trakcie okresu planistycznego.

Innym czynnikiem wpływającym na ograniczenie rozmiarów handlu jest to, że system gospodarki planowej stwarza bardzo

słabe zachęty do eksportu dla przedsiębiorstw, czy innych szczebli w strukturze organizacyjnej. Prawdą jest, że we wszystkich krajach RWPG stosuje się różnego rodzaju bodźce finansowe na rzecz eksportu. Jednakże mimo tych zachęt, w warunkach tzw. miękkiego finansowania i nieograniczonego popytu na produkty przedsiębiorstwa wolą sprzedawać w kraju niż za granicą, gdzie mogą się spotkać z ostrą konkurencją i wysokim ryzykiem. (Oczywiście ten kontrast między „łatwym” rynkiem wewnętrznym i „trudnym” rynkiem zagranicznym jest szczególnie widoczny poza RWPG, jako że w RWPG wszystkie przedsiębiorstwa korzystają z miękkiego finansowania.) Straty w rozmiarach handlu zagranicznego wynikają głównie stąd, że w wyniku powojennych zmian politycznych Europa wschodnia wycofała się ze swych tradycyjnych rynków w Europie zachodniej bez pełnej kompensaty w formie wymiany z nowymi partnerami, przede wszystkim ze Związkiem Radzieckim. Jak twierdzi Holzman, ta nowo utworzona przez „demokracje ludowe” w Europie wschodniej i Związek Radziecki „unia celna” stała się źródłem niszczenia handlu, gdyż ożywienie wymiany między tymi krajami, związane z wprowadzeniem barier taryfowych wobec produktów państw trzecich, okazało się mniejsze niż ograniczenie obrotów z państwami dotkniętymi przez te ograniczenia handlowe.

Teoretycznie rzecz biorąc, powinno być możliwe obliczenie dolarowego ekwiwalentu strat w produkcji (czy dobrobycie) wywołanego ograniczeniem rozmiarów handlu przez kraje RWPG. Istnieją przykłady analiz liczbowych, w których ustalono straty wywołane, powiedzmy, ograniczeniem handlu poprzez stawki celne (w tym znane badania na temat skutków nieprzystąpienia przez Wielką Brytanię do Wspólnego Rynku). Jak dotąd brak jest jednak zadowalających szacunków strat ponoszonych przez Europę wschodnią z tytułu „niepełnego” handlu.

*Błędna specjalizacja.* Nawet gdy Europa wschodnia wymienia swoje towary z zagranicą, kraje tego regionu nie są w stanie uzyskać wszystkich potencjalnych korzyści. Jedną z ważniejszych przyczyn jest to, że, podobnie jak w przypadku sprzedaży na rynku krajowym, przedsiębiorstwa mają do czynienia z nienasyconym popytem, dokładnie mówiąc z nieograniczonym rynkiem

Związku Radzieckiego. Ponieważ sprzedaż przychodzi łatwo w Związku Radzieckim – odbierającym średnio połowę całego eksportu krajów Europy wschodniej – powoduje to obniżenie zainteresowania podnoszeniem poziomu technicznego wyrobów.

Brada (1988) polemizuje z tym argumentem twierdząc, że rynek Związku Radzieckiego raczej akceptuje niski poziom techniczny, a w każdym razie nie zabiega o zaoferowane wyroby. Wina spada na Europę wschodnią, która nie jest w stanie dostarczyć nowoczesnych produktów. Nie jest to zbyt fortunny argument, gdyż nie ulega wątpliwości, że charakter popytu ma zawsze pewien wpływ na decyzje producentów. Tradycyjny nacisk Związku Radzieckiego na długie serie i zuniformizowane produkty (wielokrotnie podkreślany przez Węgrów), silniejszy niż w Europie wschodniej, działał z pewnością niekorzystnie na postęp techniczny w tej ostatniej.

Prawdą jest, że Związek Radziecki zaczął ostatnio stawiać wyższe wymagania wyrobom sprzedawanym przez Europę wschodnią. Jednak jest to tylko rodzaj kampanii odgórznej, która jest skazana na niepowodzenie, chyba że kierownictwo w Moskwie przeprowadzi gruntowne reformy w przedsiębiorstwach. Przy obecnym systemie zachęt materialnych i strukturze cen dyrektorzy przedsiębiorstw nie mają powodu zabiegać o zaopatrzenie w wyroby wysokiej jakości. Miękkie budżetowanie – żeby użyć terminologii Kornala – umożliwia im bowiem sprzedawanie ich własnych wyrobów bez względu na jakość czy koszty produkcji.

Innym przykładem dynamicznej straty związanej z handlem RWPG jest błędna alokacja czynników produkcji. Jeśli odrzucić mało prawdopodobną tezę, że ceny RWPG odzwierciedlają specyficzną, odbiegającą od światowej strukturę wyposażenia w czynniki produkcji, wówczas wszelkie rozbieżności między cenami RWPG i cenami światowymi muszą być traktowane jako mylne sygnały „rynkowe”. W takim stopniu, w jakim decyzje planistów w Europie wschodniej oparte są na analizie cen – a nie po prostu potrzebach bilansowania w jednostkach fizycznych – błędne sygnały prowadzą oczywiście do marnotrawnej alokacji środków produkcji.

Tak więc gdyby nawet przyjąć, że, powiedzmy, ropa i gaz radziecki były dostarczane przez dłuższy okres czasu po zaniżo-

nych cenach do Europy wschodniej, wynikające stąd „statyczne” korzyści musiałyby być przeciwstawione „dynamicznym” stratom z tytułu przeinwestowania w energochłonną produkcję. Wynika to stąd, że sztucznie zaniżone ceny stworzyły wrażenie w Europie wschodniej, że takie dziedziny przemysłu jak petrochemia mogą być wygodnym źródłem dewiz zachodnich. Nic dziwnego, że prawie wszystkie kraje Europy wschodniej włożyły ogromny wysiłek w rozbudowę petrochemii w latach siedemdziesiątych (zwłaszcza Węgry, całkowicie zależne od importu). Przez pewien czas wyroby tego przemysłu sprzedawały się dobrze na rynkach zachodnich, ale teraz, przy niekorzystnych cenach, przestały być konkurencyjne (zwłaszcza w konfrontacji z krajami naftowymi posiadającymi naturalną przewagę kosztową).

Negatywny wpływ Związku Radzieckiego na alokację środków produkcji nie dokonuje się wyłącznie poprzez mechanizmy cenowy RWPG, ale również, bądź przede wszystkim, w drodze narzucania Europie wschodniej programów inwestycyjnych odzwierciedlających bardziej warunki produkcji w Związku Radzieckim niż w reszcie europejskiej części RWPG. Na przykład obfitość surowców stwarza lepsze warunki dla produkcji materiałochłonnych wyrobów w ZSRR niż w krajach Europy wschodniej, ale mimo to zostały one zmuszone do przyjęcia stalinowskiej strategii rozwoju kładącej nacisk na przemysł ciężki. Produkcja na dużą skalę ma więcej sensu w Związku Radzieckim niż w Europie wschodniej, tym niemniej budowanie „gigantów” (np. w hutnictwie) przyjęło się – pod ideologicznym naporem Moskwy – w całym RWPG (patrz: Poznański i Staniszkis, 1988).

System centralnego planowania brany jest często w obronę przez ekonomistów, którzy twierdzą, że był on idealny w fazie uruchamiania wzrostu w Europie wschodniej. Ich zdaniem, w tym początkowym stadium podstawowym warunkiem szybkiego wzrostu była racjonalność nie mikroekonomiczna (np. optymalizacja kosztów produkcji, czy równowagi odcinkowe na poszczególne wyroby), ale raczej makroekonomiczna (w szczególności pełna mobilizacja zdolności akumulacyjnych). System ten okazał się niewydolny dopiero w późniejszych latach, gdy możliwości szybkiego wzrostu poprzez uruchamianie czynników produkcji – pracy i kapitału – uległy wyczerpaniu.



prawdą jest jednak, że zlekceważenie racjonalności mikroekonomicznej w pierwszych stadiach spowodowało, że po wyczerpaniu prostych czynników wzrostu kraje Europy wschodniej (podobnie zresztą jak Związek Radziecki) znalazły się w kryzysie strukturalnym. Długotrwały brak zainteresowania kosztami produkcji i jakością zostawił Europę wschodnią z przestarzalami przedsiębiorstwami. Jak celnie nazwał to Montias, kraje Europy wschodniej (i Związek Radziecki) zaangażowały się w szybką, ale „śmieciową” (czy bąblową) industrializację.

Warto też wspomnieć, że zwolennicy tezy o przejściowych przewagach tradycyjnego systemu planowania często przemilczają fakt, że system ten nigdy nie nadawał się dla takich krajów jak Czechosłowacja, czy Niemcy Wschodnie (bądź wysoce zaawansowanych wysp uprzemysłowienia w Polsce, czy na Węgrzech). Przys najmniej w tych krajach centralne planowanie nigdy nie miało nic do zaoferowania.

Ważnym z przejawów chorobliwego charakteru rozwoju gospodarki Europy wschodniej, zdeterminowanego przez system planowania i polityczne naciski ze Związku Radzieckiego, jest zjawisko tzw. nadmiernego uprzemysłowienia. Zaniedbano sektor rolny (nie mówiąc o kompletnym niedorozwoju usług (włącznie z sektorem finansowym)), wszystko z myślą o rozbudowie przemysłu. W konsekwencji, kraje te, w porównaniu z gospodarkami rynkowymi na zbliżonym poziomie rozwoju, produkują dzisiaj na mieszkańca za dużo wyrobów przemysłowych. (Warto w tym miejscu dodać, że ekonomiści jak Brada, 1988, polemizują z tym poglądem).

### Wnioski

W tym miejscu wątpię, że w latach 1971-1984 Związek Radziecki był źródłem subsydiów dla Europy wschodniej. Podczas gdy Martese i Vanous dowodzą, że transfer ten wyniósł 115 miliardów dolarów, alternatywny szacunek wskazuje na znacznie mniejszą sumę, w granicach 19-20 miliardów dolarów (w zależności od wariantu metodologicznego). Subsydiowanie przez Związek Radziecki nie jest trwałym zjawiskiem, gdyż Europa wschodnia skutecznie kompensuje pomoc sowiecką własnymi subsydiami. Wzrostyjąc od roku 1985 Związek Radziecki uzyskuje miliardowe

subsydia z Europy wschodniej, tak że sowieckie transfery z lat wcześniejszych zostały już najprawdopodobniej zwrócone.

Przejściowe – a nie stałe, jak twierdzą Marrese i Vanous – subsydia ze Związku Radzieckiego nie wydają się wynikać z politycznych kalkulacji kierownictwa w Moskwie. Jest mało prawdopodobne, w świetle alternatywnego szacunku, by przywódcy sowieccy zdecydowali się wspomagać finansowo Europę wschodnią, by zrekompenzować jej różne niewygodę (np. stacjonowanie wojsk sowieckich, czy przestarzały system ekonomiczny), czy po to, by zapewnić stabilność władzy w poszczególnych krajach regionu (co sugerują Marrese i Vanous, czy Bunce).

Subsydia sowieckie, czy też subsydia Europy wschodniej wynikają raczej z nieudolności i konserwatyzmu biurokracji RWPG. Niekompetencja i lęk przed nadmiernym tempem zmian sprawia, że biurokracja RWPG ustala ceny handlu zagranicznego w oderwaniu od trendów światowych. Zwłoka w dopasowaniu cen RWPG do cen światowych – traktowanych jako punkt odniesienia w negocjacjach między członkami RWPG – prowadzi do zniekształceń strukturalnych w relacjach cen różnych produktów. Jest to nieodmienna cecha RWPG, tak że dopiero przez bezpośrednie związanie cen w bloku z cenami światowymi, zakładając porównywalne bariery taryfowe, możliwe byłoby zlikwidowanie rozbieżności cenowych, a tym samym, wyeliminowanie subsydiów.

Nie ma podstaw do twierdzenia, jak czynią to Marrese i Vanous, że niezależnie od subsydiów związanych z używaniem w RWPG formuł cenowych typu wieloletnia średnia ważona (np. na ropę i gaz), istnieją pewne trwałe zniekształcenia cenowe, które faworyzują Europę wschodnią (np. zawyżone ceny na maszyny). Przeciwnie, jak dowodziłem w tym artykule, jeśli istnieją jakieś stałe odchylenia, to działają one raczej na korzyść Związku Radzieckiego (tj. jednolite ceny na określone typy maszyn, mimo że sprzęt sowiecki jest przeciętnie niższej jakości niż maszyny eksportowane przez Europę wschodnią).

Gdyby uwzględnić dynamiczne efekty RWPG związane nie z bezpośrednimi skutkami cenowych rozbieżności lecz z alokacją czynników produkcji, bilans korzyści i strat dla Europy wschodniej może okazać się negatywny. Choć trudne do wyliczenia, dynamiczne straty w Europie wschodniej z tytułu niepełnej

wymiany międzynarodowej i błędnych wyborów specjalizacyjnych muszą być wysokie, kto wie czy nie stanowią głównej bariery rozwoju w Europie wschodniej. Straty te biorą się z narzuconego Europie wschodniej przez Związek Radziecki przestarzałego systemu ekonomicznego, którego częścią jest biurokracja RWPG.

Comisso (1984) i Brada (1988) twierdzą, że nieefektywny system gospodarczy został rzeczywiście narzucony Europie wschodniej w pierwszych latach powojennych, ale że od dawna Związek Radziecki nie musi bronić tego systemu przed likwidacją, gdyż – jak twierdzą ci autorzy – kierownictwo polityczne w tych krajach samo dba o zachowanie istniejącej organizacji produkcji. Prawdą jest, że można dostrzec pewną (nie pełną) harmonię interesów między przywódcami w Europie wschodniej i Związku Radzieckim, ale nie musi wynikać stąd, że Związek Radziecki nie jest odpowiedzialny za obecność nieefektywnego systemu zarządzania.

Nie należy zapominać, że kierownictwa polityczne w Europie wschodniej są tak samo produktem Związku Radzieckiego jak system ekonomiczny wprowadzony tam po wojnie czy – jeszcze bardziej – narzucony wówczas porządek polityczny. Istniejąca struktura produkuje ludzi, którzy myślą i działają w taki sposób, że zachowanie panujących reguł gry jest zagwarantowane, bez potrzeby wojskowych represji, instalowania sowieckiego personelu, czy batalii propagandowych (z wyjątkiem sytuacji kryzysowych). Ta pozorna samodzielność przywódców wschodniej Europy nie jest w żadnym przypadku dostateczną podstawą do zwolnienia Związku Radzieckiego z odpowiedzialności za straty dynamiczne w Europie wschodniej.

Kazimierz Z. Poznański

#### BIBLIOGRAFIA

- Josef C. Brada, „Soviet Subsidization of Eastern Europe: The Primacy of Economics Over Politics?”, *Journal of Comparative Economics*, vol. 9, no 1, 1985.

- 
- \_\_\_\_\_, „Interpreting the Soviet Subsidization of Eastern Europe”, *International Organization*, vol. 42, no 4, 1988.
- Ellen Comisso, „Soviet-East European Relations: Unconventional Gains from Trade or a Sum-Positive Power Game?” University of California, San Diego, mimeo, 1984.
- Keith Crane, *The Soviet Economic Dilemma of East Europe*, Santa Monica: Rand Corporation, 1986.
- Robert Gilpin, *The International Political Economy*, Princeton: Princeton University Press, 1987.
- Ed A. Hewett, *Foreign Trade Prices in the CMEA*, Cambridge, Cambridge University Press, 1974.
- Franklyn D. Holzman, „The Significance of Soviet Subsidies to Eastern Europe”, *Comparative Economic Studies*, vol. 28, Spring 1986a.
- \_\_\_\_\_, „Further Thoughts on the Significance of Soviet Subsidies to Eastern Europe”, *Comparative Economic Studies*, vol. 27, 1986b.
- Janos Kornai, *The Economics of Shortage*, Amsterdam: North-Holland, 1980.
- Andras Kovcs, „Implicit Subsidies and Some Issues of Economic Relations within CMEA”, *Acta Oeconomica*, vol. 31, 1983.
- Paul Marer, *Postwar Pricing and Price Patterns in Socialist Foreign Trade (1946-1971)*, IDRC, Indiana University, 1972.
- \_\_\_\_\_, „Soviet Economic Policy in Eastern Europe”, in: *Reorientation and Commercial Relations of the Economies of Eastern Europe*, Joint Economic Committee, the US Congress, Washington D.C., 1974.
- \_\_\_\_\_, „The Political Economy of Soviet Relations with Eastern Europe”, in Sarah Meiklejohn Terry, ed., *Soviet Policy in Eastern Europe*, New Haven: Yale University Press, 1984.
- \_\_\_\_\_, and Kazimierz Poznański, „The Cost of Domination, the Benefits of Subordination”, in: J. Triska, ed., *Dominant Powers and Subordinate States*, Durham: Duke University Press, 1986.
- Michael Marrese, „CMEA: Cumbersome or Effective Political Economy”, *International Organization*, vol. 40, 1986.

- \_\_\_\_\_, and Jan Vanous, *Soviet Subsidization of Trade with Eastern Europe: A Soviet Perspective*, Berkeley: University of California Institute of International Studies, 1983.
- Kazimierz Poznański, „Implicit Trade Subsidies: Discussion on New Methodology and New Evidence”, Troy, NY: Department of Economics, Rensselaer Polytechnic Institute, 1985.
- \_\_\_\_\_, „The Politics of Deetatization in the Soviet Type Economies”, Henry Jackson School of International Studies, University of Washington, 1988.
- \_\_\_\_\_ i Jadwiga Staniszkis, „The Political Economy of Soviet-East European Relations”, book manuscript, 1988.
- Laura Tyson, „The Debt Crisis and Adjustment Responses in Eastern Europe: A Comparative Perspective”, *International Organization*, vol. 40, no 2, 1986.

NAKŁADEM

ANEKSU

Zbigniew Brzeziński

## MYŚL I DZIAŁANIE W POLITYCE MIĘDZYNARODOWEJ

ARTYKUŁY: Potęga ZSSR i dylematy Zachodu;  
Przyszłość Jaltę; Polska wczoraj i dziś;  
Myśl i działanie w polityce międzynarodowej

Str. 72

cena: £3,00 – \$7,50

Maria Turlejska

(Łukasz Socha)

## TE POKOLENIA ŻAŁOBAMI CZARNE...

Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944-1954

Nagroda Kulturalna „Solidarności” za rok 1987

Rozdziały: Polityka zagraniczna Związku Radzieckiego a Polska (lato 1941-jesień 1944); O prawach i bezprawiu w Polsce lat 1944-1948; Skazani na śmierć i ich sędziowie;  
Z archiwum Bolesława Bieruta

Str. 456

cena: £9,00 – \$20,00

Robert Kaczmarek

## O Japonii

Nadzwyczajne osiągnięcia gospodarcze Japonii przyciągają namiętną uwagę reszty świata; w polskich środowiskach niezależnych rzucano hasło „drugiej Japonii”. Jesteśmy świadkami ekspansji już nie tylko towarów, ale japońskich struktur gospodarczych, co na dłuższą metę powinno spowodować wzrost roli politycznej Japonii w świecie. W pierwszym półroczu 1988 Japończycy wykupili w Stanach Zjednoczonych okolo stu przedsiębiorstw za łączną kwotę dziewięciu miliardów dolarów. We Francji nabywają feudalne zamki. Inwestują w zaniedbane tereny Szkocji. Przedstawiają interesujące propozycje Mongolii wkrótce po uchwaleniu i tam *pieriestrojki*. Ale także w coraz większym stopniu pomagają Trzeciemu Światu, wyprzedzając w 1988 roku Amerykanów ogólną wartością subwencji. Japonia, gigant gospodarczy, szuka sposobów opuszczenia klub politycznych karłów. Jedną z dróg ku temu prowadzi przez zwiększenie wpływów w nowych rejonach, w szczególności rozwój stosunków z krajami obozu wschodniego.

Z tej strony, jak dotąd, brak jest poważnej oferty, a przede wszystkim warunków prawno-ustrojowych dla przyciągnięcia

kontrahentów. Niewykluczone jest jednak stopniowe uatrakcyjnienie polskiej gospodarki, po osiągnięciu stabilności społecznej i prawnej oraz wprowadzeniu mechanizmów rozsądku ekonomicznego. Wymaga to szybkiej zmiany systemu politycznego. Światowy układ sił jest w tej chwili bardzo dynamiczny, a przy tym lokalnie głęboko niezrównoważony, co stwarza koniunkturę nieznaną od końca drugiej wojny światowej. Niewykorzystanie jej byłoby marnotrawstwem przypominającym odrzucenie planu Marshalla. Problemy wewnętrzne, jakie zaabsorbują stopniowo całą energię ZSRR, jednocześnie się zachodu Europy, ekspansja Azji południowo-wschodniej, dynamiczna i pewna swoich atutów obrona Amerykanów, rosnące znaczenie gospodarki nad goniącą resztką sił ideologią, nowy charakter stosunków międzynarodowego zadłużenia, gdzie państwa – wierzyciele przyjęły do wiadomości, że obecne długi nigdy w całości spłacone nie będą – są to elementy nierównowagi, czy wręcz najgłębszych, strukturalnych zakłóceń, prowadzące do nowego rozdania kart w międzynarodowym podziale pracy i w układach politycznych. Sytuacja taka długo jednak trwać nie może, stąd potrzeba rozsądnego pośpiechu, jeśli się chce ją wykorzystać. Nie od dziś rolę lokomotywy pełnią Stany Zjednoczone, ale od paru lat temperaturę pary w kotłach podnoszą Japończycy.

### *Chiny: rynek XXI wieku i nic więcej?*

Argumenty Japończyków w stosunku do nabywcy chińskiego są natury zarówno gospodarczej, jak obyczajowej. Mogą oni pokonać konkurentów, zwłaszcza w przypadku gdyby pragmatyzm, jakim wybiórczo kierują się Chińczycy, uporawszy się z ideologią, wziął górę nad historycznymi uprzedzeniami. Zresztą w stosunku do państw zachodnich Chińczycy odczuwają uprzedzenia o wiele głębsze niż wobec Japonii.

Pierwszy krok został zrobiony we wrześniu 1988. Po ośmiu latach cierpliwych przetargów podpisano umowę, która otwiera Chinom drogę do nowoczesności, a Japończykom gwarantuje ochronę ich przedsiębiorstw na terenie Państwa Środka. Układ wyraźnie faworyzuje Japonię w stosunku do dwudziestu jeden państw, z którymi Chińczycy wcześniej zawarli układy. Zasluguje

to na uwagę tym bardziej, że traktat pokojowy i początek stosunków handlowych między Japonią i Chinami to wydarzenia świeżej daty – z roku 1972.

Następstwa umowy są na razie umiarkowane, ale giganty – Toshiba, Mitsubishi, Hitachi – są już obecne na rynku chińskim. Rychło inne przedsiębiorstwa powinny przepłynąć Morze Chińskie by budować, w pierwszym rzędzie, fabryki montażowe. Tak uczynili już fabrykanci zegarków Seiko i producenci drukarek Epson i Citizen.

Japończycy nie obawiają się przyszłej konkurencji Chińczyków. Oszczędnie dozowany pragmatyzm Pekinu, nawet jeśli znacznie ogranicza rolę ideologii w wybranych sektorach, nie narusza w istocie sztywnego systemu totalitarnego, co skutecznie zapobiega rozwojowi, jaki choćby z dała mógłby przypominać drogę któregoś z Tygrysów Azji południowo-wschodniej. Dla inwestora zagranicznego Chiny to wyłącznie tania siła robocza i słynne reformy Denga stwarzające możliwości wykorzystania jej do prostych operacji. Strefy wolnościowe, głównie Shenzhen na granicy Hong-Kongu, przyciągają liczne przedsiębiorstwa zagraniczne nastawione wyłącznie na montaż. Wszystkie etapy produkcji wymagające wysokich kwalifikacji, czy rozwiniętych technologii, wykonywane są w Hong-Kongu. Podobne tendencje nosi w zarodku umowa z Japonią.

Chiny mają ogromne potrzeby zaspokojenia rynku wewnętrznego. Część przyszłej produkcji będą przy tym musiały przeznaczyć na opłacenie eksportu dla nabycia z kolei maszyn potrzebnych do dalszej planowej produkcji. Władze nie widzą natomiast żadnej potrzeby rozwoju własnego rynku, prywatnego kapitału i inicjatywy. Tym sposobem Deng przygotowuje ogromne zaplecze handlowe i materiałowe dla Japonii przyszłego wieku. Jedynym krajem, którego konkurencji Japończycy się obawiają, jest czterdziestomilionowa Korea; ale nie miliardowe Chiny.

Seul zresztą już i w Chinach ugryzł ich boleśnie: w trzy miesiące po zawarciu owej wyjątkowo dla Japończyków korzystnej umowy, zjednoczenie elektroniczne prowincji Zhej-iang utworzyło z południowo-koreańskim olbrzymem Daewoo spółkę celem produkowania w Korei 1-2 miliona tub telewizyjnych rocznie dla Chin.



Sółka Zi- j- iang zasługuje na uwagę także dlatego, że stanowi pierwszy przypadek komunistycznej inwestycji w Korei.

### *Zatrzymać Kuryle czy unowocześnić Syberię?*

Z Rosjanami mają Japończycy jeden, za to pierwszorzędny interes: wyspy Kurylskie. Cena, jaką byliby skłonni zapłacić za ich odzyskanie, może mieć niebagatelny wpływ na wewnętrzny kształt Imperium, a więc i na sytuację Polski.

Pod pewnymi względami Japonia jest wymarzonym partnerem dla ZSRR. Nie tylko jej racją bytu jest eksport rozwiniętych technologii, lecz na dodatek troskliwie dba ona o szczelne zamknięcie własnego rynku; nie potrzebuje widać innych dóbr w zamian i nie wydrenuje skromnych środków eksportowych ZSRR. Zwykle interesują ją tylko dolary i na przykład w ostatnich trzech latach, jej nadwyżka handlowa stale przekraczała 90 miliardów dolarów. Krótko mówiąc, ma ona w nadmiarze wszystko, czego Rosjanie potrzebują i co mogą otrzymać za zwrot Japończykom japońskiej ziemi.

Ci ostatni nie tracą nadziei na odzyskanie trzydziestu dwóch wysepek o łącznej powierzchni 10 tys. km<sup>2</sup>. Zdarzył się wszak precedens: w roku 1972 Amerykanie, którzy w odróżnieniu od Rosjan mieli z drugiej wojny ciężkie porachunki z Japończykami, Okinawę im jednak zwrócili.

Za przyjęciem przez Rosjan tego targu przemawiają zwłaszcza imperatywy finansowe. Dochody państwa zmniejszyły się ostatnio, a przyczyny tego zubożenia mogą trwać przez długie lata.

Po pierwsze, po roku 1986 rynek naftowy cechuje niepewność jutra i nie można oczekiwać trwale wysokiej ceny baryłki. Po drugie, ograniczenia wynikające z rozporządzeń antyalkoholowych Gorbaczowa spowodowały masowy wzrost spożycia bimbrowa i może to być trend nieodwracalny nawet w przypadku, gdyby dla ratowania skarbu przywrócić bezwarunkową łatwość nabywania wódki w ZSRR. Po trzecie, tendencje inflacyjne – a zwłaszcza szybszy wzrost płac niż wydajności – będą przez długi czas główną, jeśli nie jedyną cechą ekonomiczną *nierestnojk*i wobec wewnętrznych sprzeczności najgłębiej nawet zreformowanego systemu sowieckiego. Warunkiem koniecznym – choć z pewno-

ścią niewystarczającym – rozwoju gospodarki jest zmiana systemu cen i osiągnięcie wymieniałości rubla, do czego jednak potrzebne są duże nadwyżki prawdziwego pieniądza, choćby dla złagodzenia surowych kosztów społecznych takiej operacji.

Niebezpieczeństwo zwrotu Kuryłów związane jest oczywiście z prawdopodobieństwem łańcuchowego procesu żądań terytorialnych ze wszystkich stron.

Trudno wyrokować, co z tego będzie. Na razie obie strony przekazują sobie niejasne sygnały mogące równie dobrze być zaproszeniem do rzeczowych przetargów, co próbą uśpienia uwagi partnera. W marcu 1989 Szewarnadze zaproponował referendum na temat ważnych spraw radzieckiej polityki zagranicznej. Oznacza to, że Politbiuro rozważało o potrzebę alibi dla kluczowych decyzji.

Tymczasem, w listopadzie 1988, zawarto umowę o budowie przez Japonię ogromnego zespołu przetworu ropy na Syberii. Koszt wyniesie pięć miliardów dolarów.

Nie mamy tu jednak do czynienia z wyłącznością japońską. Pół roku wcześniej Rosjanie zamówili u włoskiego koncernu ENI budowę rafinerii nad morzem Kaspijskim o wartości sześciu miliardów dolarów.

Przedstawia to skalę konkurencji, jaka rozwinąć się może wokół unowocześnienia gospodarki ZSRR, który wszak zawsze uchodził za dobrego płatnika.

### *Japończycy w Europie*

Pan Onishi, prezydent oddziału Matsushita – Panasonic France, zatrudnia 287 osób, w tym 13 Japończyków. Obrót firmy w roku 1987 – miliard franków, w 1992 oczekuje się potrojenia tej kwoty. Zapytany przez dziennikarza *Electronique Actualité* czy podobny rozwój nie odbywa się kosztem francuskich przedsiębiorstw, pan Onishi odparł: „Naszym celem jest uniedzynarodowienie firmy... Będziemy produkować coraz więcej w oparciu o części europejskie... Jeśli zachowamy dobre stosunki z Francuzami, będziemy mogli pomóc społeczeństwu francuskiemu...”

W maju ub. r. Komisja brukselska obłożyła podatkiem sięgającym 33.4% japońskie drukarki matrycowe, zarzucając ich producentom sprzedaż poniżej kosztów własnych. Uderzony najmoc-

niej Seiko Epson, twórca standardu w średniej klasie wyrobów, głośno protestował utrzymując, że nie ma mowy o dumpingu, lecz o skutecznym zarządzaniu i mistrzowskim opanowaniu technologii, co pozwala im znacznie obniżyć koszty własne. Wszelako wobec zastrzeżeń Wspólnoty Seiko wyraził wolę zwiększenia własnych zleceń dla firm europejskich i ogólnie harmonijnej współpracy z innymi krajami.

Wszystko japońskie w tych historyjkach: poczucie misji i potrzeba obecności, bezkonkurencyjność w wybranych sektorach i pragmatyzm, agresywna polityka handlowa i niezawrotna głośność wobec przeszkód politycznych.

Początki przypadają na wczesne lata siedemdziesiąte, gdy kilka firm japońskich utworzyło oddziały handlowe w RFN i Wielkiej Brytanii. W latach osiemdziesiątych wzrost wartości yena umożliwił i zarazem wymusił inwestycje produkcyjne w Europie: z takim yenem można pozostać konkurencyjnym nawet ponosząc europejskie ciężary płacowe i socjalne znacznie wyższe niż japońskie. Z drugiej strony z takim yenem musi się inwestować poza granicami Japonii, by powstrzymać wzrost cen własnych wyrobów na obcych rynkach. Najlepiej w tych warunkach wytwarzać w pobliżu rynków zbytu, zaś dla utrzymania kontroli zysku i zarządzania należy zachować wysoki udział japońskiej wartości dodanej. Europejskie oddziały są więc nastawione na montaż części z Japonii. Udział europejski wynosi od kilku (informatyka, sprzęt hi-fi) do sześćdziesięciu procent (samochody), co oznacza przyznanie Europie głównie roli śrubokręta. Jako wydarzenie wymienia się ostatnio powstanie w Paryżu pięcioosobowego zespołu projektowania obwodów specyficznych (ASIC) utworzonego w obrębie francuskiej filii światowego numeru jeden w dziedzinie półprzewodników – NEC. W Stanach i w Azji ma on takich ośrodków już kilkanaście. W Düesseldorfie Mitsubishi otworzył ośrodek badań, a Matsushita wkrótce uczyni to samo.

Wśród fabrykantów japońskich NEC wyróżnia się planami szybkiego umiędzynarodowienia swego interesu. Dał temu wyraz rok temu, budując w Szkocji wytwórnię pamięci dynamicznych wysokiej integracji 1 Megabit. W przyszłości będzie ona wytwarzać projektowane właśnie w Paryżu mikroprocesory ASIC. Oznacza to przekazanie oddziałowi europejskiemu samowystar-

czalności technologicznej, co jest dużą nowością. Skądinąd po krachu giełdowym w 1987 r. Japończycy powodowani względami bezpieczeństwa finansowego dążą do rozdzielenia rachunków centrali i oddziałów, lecz usamodzielnienie technologiczne filii, które tak sprawnie przykręcają te śrubki, to historia jeszcze odległa. NEC, który uczynił pierwszy krok, dał dowód dojrzałości swej światowej strategii, dostosowanej do wyłaniających się stosunków międzynarodowego podziału pracy. Zmiana polityki Japończyków jest trzeźwą reakcją na to, co się w świecie dzieje. Nieprzypadkowo zatem następny w kolejce do usamodzielnienia europejskich oddziałów jest Sony, który wraz z rozwojem odrębnej europejskiej normy telewizyjnej wysokiej gęstości obrazu nie ma innego wyjścia jak utworzenie ośrodków badań w Europie.

Władze polityczne EWG od niedawna mocno nalegają na zwiększenie technologicznej autonomii japońskich filii, czy jednak samo życzenie wystarczy? Osiągnięcia Japończyków są wynikiem stosunków pracy nieznanym Europejczykom. Z sondażu dokonanego w 1986 roku przez Japan Exchange Trade Organisation wyłania się obraz norm europejskich: niska motywacja do pracy, płynność kadr, kiepska jakość dostarczanych materiałów, niezrozumiałe drogi kredytu, nie przestrzegane terminy, itd.

Warto przy tym pamiętać, że rozwój inwestycji japońskich zapoczątkowany bywa wysiłkiem władz lokalnych, które mają na uwadze ich skuteczność w tworzeniu miejsc pracy. Wytwórnię środków powielania Canon sprowadziło do Bretanii w 1983 r. miejscowe stowarzyszenie rozwoju Quest Atlantique. Zgodnie z kontraktem Francuzi mieli kosztem miliona franków poprawić dojazd do przyszłej fabryki. Japończycy ze swej strony zobowiązali się do stworzenia 171 bezpośrednich miejsc pracy i 360 w systemie podzleceń.

Stosunkowo łagodna postawa Europy, gdy porównać ją z protekcyjnizmem wewnątrz Japonii, wynika z niechęci polityków do zatknięcia źródelka tych nowych miejsc pracy. W opisywanym wyżej przypadku sprawność nowej filii przekroczyła ustowę: w 1986 r. wytwórnia w Bretanii zatrudniała bezpośrednio 140 osób, łącznie zaś ze zleceniami pracować będzie dla niej 2 000 osób. Surowe normy wymagane przez Japończyków sięją papłoch wśród okolicznych Francuzów, ale nie mają oni wyboru. Odwrot-

na stronie medalu jest utrata miejsc pracy gdzie indziej. Niektórzy przypuszczają, że dwudziestu tysiącom stanowisk stworzonym przez Japończyków we Francji przeciwstawić trzeba liczbę kilkakrotnie wyższą nowych bezrobotnych z fabryk, które nie wytrzymały konkurencji.

Wartość japońskich inwestycji w Europie sięga tylko kilku procent ogółu inwestycji zagranicznych – we Francji 3% – za to dotyczą one dziedzin strategicznych. Europa jest szczególnie wrażliwa na japońską dynamikę w nowoczesnych technologiach. Najgłębsze, strukturalne przyczyny różnic pomiędzy Europą, Japonią i Stanami dostrzec można w przemyśle elektronicznym. Dyuanizm w tej dziedzinie zapewniła gęsta sieć małych, ruchliwych firm wokół kalifornijskiej Silicon Valley. Odwaga pomysłów naukowych szła tam w parze z pomysłowością w wyszukiwaniu partnerów finansowych. Dzisiaj niektóre z tych firm to olbrzymy.

W Japonii doszło do zbieżnego wysiłku władz i społeczeństwa dla zbudowania przemysłu elektronicznego, wysiłku w jakim liczy się tylko rozsądek i rachunek gospodarczy.

W Europie tymczasem dominują wielkie, ociężałe firmy, jeszcze bardziej nieruchomiejące dzięki stabilnym zarównieniom rządowym. Ku zadowoleniu zatrudnionych tam funkcjonariuszy przynoszą one dochód na rynku wewnętrznym, zostawiając innym scenę międzynarodową, która toleruje tylko wysokie normy. W tych warunkach zadanie Azji południowo-wschodniej było ułatwione, a Europa znajduje jako odpowiedź głównie broń polityczną – to jest bariery ochronne.

Zdając sobie sprawę z wszystkich korzyści japońskich inicjatyw, nie sposób jednak nie odpowiadać tą samą bronią na ich wojowniczość handlową, jeśli chce się zapobiec zniknięciu rodzimego przemysłu. W przemyśle samochodowym, na przykład, Europejczycy chcą się ubezpieczyć na zapas. W roku 1995 elektronika stanowić może 20% wartości samochodu, wobec kilku procent dzisiaj. Diagnostyka stanu wrażliwych części, zabezpieczenie przeciwwypadkowe, wybór najlepszej drogi, bilans kosztów podróży, klimatyzacja... zastosowanie czujników i komputerów całkowicie zmieni sposób i komfort jazdy w nadchodzącym dziesięcioleciu. Otóż za dziesięć lat ponad połowa produkcji światowej sprzedawana będzie w Europie zachodniej. Stawka jest

więc ogromna, a współzawodnictwo dzikie. Wzrost udziału elektroniki faworyzował będzie Japończyków. Wspólnota przygotowuje zatem na rok 1993 ustawodawstwo, które ogranicza udział Japonii na rynku europejskim do 9% (z 11% dzisiaj), domaga się zwiększenia europejskiej obecności w Japonii z 2% do 5% i zmienia normę pojęciową „samochodu europejskiego” z wymaganych dziś 60% części produkowanych w Europie, na 80%. Jak dotąd protekcjonizm europejski jest słabym odbłaskiem japońskich praktyk bezwarunkowego wykluczania konkurencji zagranicznej z własnego rynku. Surowe w stosunku do obcych prawo inwestycyjne skutecznie blokuje im rozwój lub wręcz dostęp do terytorium Japonii, co się zaś tyczy eksportu, to przeszkodę stanowią miejscowe obyczaje. Zdaniem pana Perriere, francuskiego przemysłowca „mowa Japończyka jest prosta: «ten produkt mnie interesuje, jest (nań) rynek. Mogę kupić od was licencję. Jeśli mi jej nie sprzedacie, skopiuję wasz produkt, wytoczą mi proces, jaki przegram, wówczas zapłacę co będzie trzeba. Wybierajcie. W każdym razie wejdziemy (z nim) na rynek...» (*Electronique Actualité/Economie Finances*, luty 1989).

Reakcje obronne Europy mają oczywiście sens tylko wówczas, jeśli towarzyszą im skoordynowane wysiłki dla przezwyciężenia własnych słabości. Do grzechów głównych należą: niewystarczająca odkrywczność, za małe fundusze badawcze, niskie zainteresowanie dla wdrożeń przemysłowych, warunki podatkowe niesprzyjające przedsiębiorczości, sztywność stosunków pracy, niedołęstwo handlowe, bezwarunkowy priorytet zabezpieczeń społecznych nad konkurencyjnością przedsiębiorstwa, niska etyka pracy... Przynajmniej w dziedzinie programów badań Wspólnota Europejska zdobywa się na duże wysiłki, zresztą po swojemu, to znaczy poprzez skoordynowane programy napędzane po części zamówieniami rządowymi. W paru dziedzinach przynosi to efekty: rakiety Ariane, francuskie szybkie koleje, rozwój programowania, telewizja wysokiej jakości obrazu... W każdym razie Japonia będzie musiała dostosować się do warunków Wspólnoty najeżonej barierami i możliwe jest przeniesienie części konfrontacji pomiędzy nimi na teren Europy wschodniej, gdzie, jeśli dobrze pójdzie, miejscami będziemy mieli już rynek. Rynek bowiem może istnieć lokalnie, ale nie do pomyślenia jest rynek częściowy.

Albo rynek, albo nędza. Rynek nie wyklucza skądinąd interwencji centralnych: wszyscy je stosują.

Obrona Europy to jednak nie tylko bariery ochronne i zablokowane wydatki naukowe. To także stowarzyszenia na wielką skalę, ponad głowami Japończyków – głównie z zagrożonymi w paru dziedzinach Stanami.

### *Stany Zjednoczone i japońskie wyzwanie*

Pomiędzy rokiem 1984 i 1988 udział Japonii w światowej produkcji półprzewodników wzrósł z 35% do 41%. Odbyło się to kosztem USA, których udział spadł z 41% na 33%. Zmiana na stanowisku lidera dokonała się w trybie kawalerskiego ataku na silnie rozwijającą się dziedzinę obwodów scalonych pamięci dynamicznych DRAM, wytwarzanych przed pięciu laty niemal wyłącznie w USA. Rynek amerykański jest otwarty, wejść może kto chce. Począwszy od 1984 roku Japończycy dostarczali nam masowo obwody DRAM poniżej kosztów własnych, stopniowo wykańczając miejscowych producentów. Dziś Japończycy są monopolistami (90% światowej produkcji DRAM) i mogą dyktować ceny, jakie chcą.

W elektronice optycznej produkcja japońska wzrosła w ubiegłym roku o jedną czwartą. To dziedzina płyt laserowych i kopiarek optycznych, a także nowych systemów przekazu danych, ważnych w podstawowych zastosowaniach wojskowych. Stany dzieli dziś od Japonii taka przepaść, że dla ratowania sytuacji Biały Dom rozważa powołanie konsorcjum optoelektronicznego, kolejnego po istniejącym od kilkunastu miesięcy Sematechu.

W styczniu tego roku siedemnaście firm utworzyło program intensywnych studiów nad amerykańską normą telewizji wysokiej jakości, dla zapobieżenia wejścia na rynek normy japońskiej, przygotowywanej od piętnastu lat. Oznaczałoby to śmiertelne zagrożenie dla elektroniki USA.

Rozmiar zjawiska ujawniają statystyki. W 1988 roku pomiędzy dziesięcioma pierwszymi dostawcami półprzewodników, trzech pierwszych to Japończycy: NEC, Toshiba, Hitachi. Trzy następne miejsca zajmują Amerykanie: Motorola, TI, Intel. Potem znów dwóch Japończyków – Matsushita, Fujitsu, następnie Europej-

czyli Philips, który zresztą do 1993 opuścił to towarzystwo, ustępując miejsca w pierwszej dziesiątce Koreańczykowi Samsung. Dziesiąty wreszcie jest Mitsubishi.

W zestawieniu ogólnym Stany utrzymują jeszcze pierwsze miejsce z 37% światowej produkcji elektroniki, w stosunku do 27% dla Japonii, ale czy na długo. W roku 1980 cyfry te wynosiły dla USA 47%, a dla Japonii 15%.

W dziedzinie sprzętu elektronicznego powszechnego użytku, po zgodnej akcji wszystkich Tygrysów azjatyckich, została na rynku tyłka jedna firma amerykańska Zenith, a i to dzięki zajęciu się głównie produkcją komputerów.

Następstwem osiągnięć technicznych i handlowych w elektronice jest potęga finansowa Japonii, jakiej miarą mogą być notowania giełdowe. Dokonajmy porównania ze Stanami. Z wyłączeniem telekomunikacji i wojskowości Wall Street liczy około dwudziestu firm elektronicznych powyżej 3 miliardów dolarów, z IBM (70 mld dolarów) i General Electric (40 mld dolarów) na czele. Razem dwudziestka warta jest 250 mld dolarów. Jeśli dorzucić telekomunikację (150 mld \$) i elektronikę wojskową (poniżej 30 mld \$), to otrzymano około 430 miliardów dolarów.

Po drugiej stronie Pacyfiku, na tokijskiej giełdzie Kabuto-Cho pierwsze miejsce zajmuje światowy rekordzista wszystkich kategorii NTT (telekomunikacja – 250 mld dolarów). Dalsza dwudziestka ważących ponad 3 mld dolarów warta jest razem 260 mld dolarów, co w sumie daje 510 mld \$; giełdowa wartość olbrzymów elektroniki japońskiej przekracza ciężar konkurentów amerykańskich.

Ważna jest także dynamika tych liczb. W ciągu dziesięciu lat wskaźniki Kabuto-Cho wzrosły siedem razy. Wartość akcji Hitachi, Toshiba i NEC uległa pomnożeniu przez osiem. W tym samym czasie akcje IBM podniosły się dwukrotnie, a wyjątkowy wzrost Apple nastąpił po szeregu spadkach, co oznacza, że zarobił tylko akcjonariusz bardzo wytrwały. W przypadku towarzystw japońskich zaś wystarczy nabyć akcje – tak uczyniło już 20 milionów obywateli – i spokojnie przyglądać się ich niepowstrzymanemu wzrostowi. W trakcie spokojnego przyglądania się, sięgamy wzrokiem daleko poza granice kraju, zwłaszcza odkąd w 1987 Tokio stało się pierwszym rynkiem pieniężnym świata, wyprzedzając Wall Street o 10%.



Ciężka finansowa jest niezbędną częścią normalnej gospodarki jako miejsce ustawicznej selekcji dla zarządzania i skuteczności przedsiębiorstwa. Wielkość przemieszczających się fortun, szybkość i złożoność operacji sprzyja przy tym spekulacjom. Pojęcie „szybkiego pieniądza” nabrało dramatycznego znaczenia w ostatnich dwóch latach w związku z wprowadzeniem informatyki i programów automatycznej oceny przez komputery. Te niewinne urządzenia obarcza się częściową winą za krach z października 1987. Bez wchodzenia w zawiłą analizę spekulacyjnego głównie zjawiska zauważamy jedynie, że następstwem krachu jest decentralizacja finansowa japońskich firm, co nie powinno szkodzić zdrowiu światowej gospodarki.

Przeciwko spekulacyjnym zagrożeniom każdy broni się jak może, szukając zarazem okazji połączycia długiego. Przed takim losem nie chroni dziś ani wielkość przedsiębiorstwa – w ubiegłym roku firma KKR wykupiła na Wall Street Nabisco za 25 miliardów dolarów – ani jego zdrowie finansowe. Łatwo podkopać, na przykład zastawiając u chętnego nabywcy obligacje przedsiębiorstwa za sztucznie rozdętą ceną. Korzystając z wyjątkowej otwartości rynku amerykańskiego Japończycy stopniowo wykupują gospodarkę swego byłego okupanta.

Władze amerykańskie uznały, że sytuacja dojrzała do rozwiązań systematycznych. Pierwsza reakcja była spóźniona. Po długim namyśle rząd Reagana ograniczył w połowie lat osiemdziesiątych ilość pamięci dynamicznych, jakie Japończycy mogą sprzedawać na rynku amerykańskim. Nastąpiło to jednak już po przestawieniu się niemal wszystkich miejscowych producentów DRAM na co innego.

W 1986 r. nakłoniono japońskie ministerstwo handlu i przemysłu, słynne MITI, do podpisania umowy regulującej podaż i dolną cenę japońskich półprzewodników. Z marzu objęto działaniem umowy także i kraje europejskie, a poza tym Japonia zobowiązała się zakupywać więcej w Stanach. Sądząc po reakcjach amerykańskich, do 1988 nie przestępowano granic tej umowy, ale z pewnością nie może sobie pozwolić na to i druga meta. Z drugiej strony IBM wypowiedział się ostatnio przeciwko przedłużeniu tej umowy, twierdząc że nie chodzi już o japoński dumping, lecz o zwiększenie skuteczności przemysłu amerykańskiego. Praktycznie

IBM chce wejść na rynek japoński i nie zanymać rynek amerykański.

Zatem – obrona przez atak. Powstają liczne małe przedsiębiorstwa, tak zwane start-up, niekiedy w opuszczonych hangarach niedawnych bankrutów, i produkcja pałeczek rusza z pomocą federalną lub stanową. Kilkanaście miesięcy temu rząd, pospółu z czternastoma wielkimi przedsiębiorstwami – między nimi IBM, AT&T, Intel, Motorola, Hewlett-Packard, powołał konsorcjum zwane Sematech. Celem porozumienia jest rozwój techniki integracji, a jego budżet wynosi 200 mln dolarów rocznie, z czego połowa z funduszy federalnych.

Sematech stał się sprawą amerykańskiego honoru i etyki zawodowej. Jego szef R.N. Noyce, w latach powojennych jeden z kilku pracowników legendarnego laboratorium Shockley'a, gdzie wrzyskło się zaczęło w elektronice, mówi dziś: „Wyników naszych prac nie zatrzymamy u siebie... na otwartości społeczeństwa wszyscy skorzystaliśmy. My się rozwijamy i nasi konkurenci też. Naszym zadaniem jest zatem przyspieszać rozwój, rozwijać się szybciej niż oni. Wszyscy, którzy chcieli zatrzymać informacje w obrębie jednego narodu, przegrwali... (ale) jeśli Stany zapewniają swoim obywatelom godziwe życie, dlaczego Japonia nie może?...” (*IEEE Spectrum*, wrzesień 1980).

Otóż właśnie przyczyną ich niezwykłej skuteczności: nie opłacać swoim i nie angażują się w długie odkrycia i kadencje towarów. Kopiowanie amerykańskich odkryć nie kosztuje, a przy tym jeśli Japończycy nie chcą być jak ludzie...

Jest w tym stereotypnie dużo prawdy, ale do pełnego obrazu dołączmy parę tonów.

W reklamie jednej z firm amerykańskich czytam: „To nie my obmyśliłiśmy wystrój naszych sklepów, to nie i ludzie takiego zażądali!” – a na zdjęciu ogromna ilość produktów z... setkami chorągwi amerykańskich. Nie jest to tylko USA powypakki wyjątkowy. W naturze Amerykanów leży nieochwytliwość i pragnienie postępu. Instynkt wyzwalający i odświeżający jest w nich silniejszy niż w innych. W tym samym czasie, kiedy Amerykanie jest najępsze, Chiny i Japonia są w drodze do odzyskania utraconych pozycji. Czy nie są oni pierwsi, czy nie są oni pierwszymi sukcesami w produkcji towarów? Czy nie

dlatego rząd Reagana „spóźnił” się ze środkami represyjnymi w stosunku do zbyt tanich japońskich obwodów DRAM?

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że wspomniane, sportowe rzecz można odruchy – a także wymogi bezpieczeństwa państwom go – a nie utrata dziedzin produkcyjnych, są rzeczywistymi motywami rekonkwisty amerykańskiej. W gospodarce rzeczy USA zadają sobie pytanie o własną tożsamość przetransformowaną w nadchodzącym stuleciu, gdzie niewykluczone jest przekazanie czynności prostego wytwarzania reszcie świata o taniej sile roboczej. W Stanach zachowano by pozostałą część pracy: rozwój technologii, badania, usługi, zarządzanie, czyste przetwarzanie, współżycie ze środowiskiem, w tym wydajne użytkowanie ziemi. Przeniesieniu uległyby procesy ustabilizowane, technicznie dojrzałe i nie będące w zasadzie nośnikami postępu na skalę światową, za to dla zainteresowanego kraju stanowiące technologiczną i organizacyjną szansę.

Podajmy, że ze swej strony Japończycy uprawiają kartę międzynarodowego podziału pracy, gdzie np. Koreańczykom przyznają podobno rolę monterów. Można być pewnym, że ci ostatni zgryzają japońskim projektodawcom wiele niespodzianek.

Chyba tylko względy wojskowe powstrzymają Amerykanów przed wyzbyciem się znacznej części przemysłu wytwórczego. Wprawdzie słychać głosy, że USA nie miałyby kłopotów z nabyciem dowolnych produktów japońskich w razie wojny, ale inni zauważają, że sojusze wojskowe nie mają cech trwałości, jak o tym świadczą choćby losy amerykańskich stosunków z okresu ostatniej wojny z sojusznikiem ZSRR i wrogią Japonią...

Ale wysiłek wojskowy stanowi drobną część narodowej pracy – w Stanach 7% produktu brutto. Ogromny wzrost spożycia indywidualnego w świecie powoduje, że inne dziedziny – wojskowość, zamówienia publiczne – ani nie wywołują postępu, ani nie nakreślają koniunktur. Liczą się przede wszystkim ogromne ilości towarów konsumpcyjnych, te zaś mogą być produkowane gdzie indziej. Wraz z globalizacją przemysłów wytwarzających te dobra następuje stopniowy wzrost poziomu siły roboczej w krajach nacych – stąd okres kopiowania i niezależnego wytwarzania na peryferiach produktu poczętego w centrum nie przekracza dziś 6-12 miesięcy. Szansa więc i rola centrum to stały rozwój techniki. Ale

przyjemność centrum – to zakup tanich wyrobów spływających z zewnątrz, na razie z Azji południowo-wschodniej.

Tymczasem Japonii nie można traktować jako peryferii. Czas wyłącznego naśladowania produktów minął, od paru lat kraj ten inwestuje w badania. W 1989 roku innowacje japońskie mogą już mieć praktyczne znaczenie. Na przykład w lutym 1989 Hitashi po dziewięciu latach prób przedstawił mikroprocesor czterobitowy, pracujący na zasadzie nadprzewodnictwa złącz Josephsona. Szybkość nowego mikrokomputera – 250 milionów działań na sekundę, kilkanaście razy większa od znanych dzisiaj, pod warunkiem, co prawda, zanurzenia złącz w bardzo niskiej temperaturze.

W marcu Toshiba wyprodukował pamięć o zapisie elektrycznym Ecprom 4 Megabity, co oznacza, że w komputerach miejsce dysków twardej mogą małe obwody scalone.

Także w marcu MITI ogłosiło pięciolciami plan rozwoju nowej fazy rozumowania logicznego, tzw. *fuzzy logic*, zapoczątkowanego naturalnie w USA dwadzieścia lat temu. Chodzi o logikę wielowartościową, mogącą odegrać dużą rolę w sztucznych inteligencjach.

Dotychczasowy udział Japonii w badaniach podstawowych nie przynosi jej chwały. Podliczmy ich w kategorii laureatów Nobla. Między rokiem 1960 a 1987 w dziedzinie fizyki, chemii i medycyny łącznie uczeni amerykańscy zebrali 115 nagród, europejscy 86, a japońscy... cztery.

Liczba japońskich inżynierów i uczonych potroiła się od 1965 i osiągnęła w 1986 połowę liczby amerykańskich, w liczbach względnych zapewnia im to niemal równość. Natomiast samych uczonych mają Japończycy mniej, 28% liczby amerykańskich. W przydatczającej się części uczeni ci specjalizują się w naukach komputerowych: 320 tysięcy na 390 tysięcy. Obrazuje to koncentrację na wybranych dziedzinach. Japończycy mogą w nich wygrać jeszcze szereg następnych konfrontacji z Amerykanami, ale będą to zwycięstwa ograniczone.

Coraz większą część świata zaangażowana będzie w te konfrontacje, wnosząc swoją część i dokonując zakupów. Prawa w tym śmięcie dyktują oczywiście wielcy, tworząc między sobą koniunkturalne związki: USA z Europą przeciw Japonii w obwodach powłoki, Japonia ze Stanami przeciw Europie w elektronice

s: smochodowej, Europa z Japonią przeciwko barierom amerykańskim w półprzewodnikach...

Układy, o jakich mowa, nie mogą przekształcić się w trwałe bloki, podlegają bowiem stałej osmozie ponadnarodowych konieczności handlu i produkcji.

W każdym razie na przyszłość technologii na Stanów Zjednoczonych patrzeć można bez obaw. Jak mówił szef Sematechu, nigdy nie wyszły one zde na własnej otwartości i stymulowaniu rozwoju innych. Przewaga technologiczna i finansowa Japonii nad USA ma zasięg ograniczony. Produkcji japońscy górują w biurowym, elektronice szerokiego użytku i w pewnych rodzajach obwodów scalonych. Konkurencyjni są w przemyśle samochodowym i okrętowym, choć tutaj przyduszą ich już Koreańczycy. Trudniejsze dziedziny nowoczesnych technologii, jak elektronika przemysłowa, informatyka wysokiego poziomu, karty, aparatura przemysłowa i czujniki nadal są głównie w rękach Amerykanów. Przy tym japońskie korporacje zbliżają się do swych rozwojowych granic wobec technologicznej dominacji moceńskiej oraz inwazji wschodnich i południowych konkurentów. Także obraz potęgi pieniężnej Japonii wymaga umiarkowania. Po pierwsze obraz obfryzowanej elity finansowej nie ujawnia całej sieci mniejszych, nienotowanych na giełdzie, a bardzo ruchliwych przedsiębiorstw tworzących niezauważalną tkankę gospodarki amerykańskiej. Takich firm w Japonii brak. Po drugie, między gigantami obu krajów istnieją zasadnicze różnice swobody finansowej. Według World Electronics Companies Inc., który klasyfikuje 150 największych przedsiębiorstw świata, najliczniej w tej grupie reprezentowane są Stany. Z pominięciem norweskiej grupy Norsk Data, która w ub. roku osiągnęła 18% zysku, czoła listy oluniają firmy amerykańskie, na ogół wykazujące kilkakrotnie wyższe zyski od japońskich. Ci ostatni za to są bezkonkurencyjni w wydajności, bijąc Amerykanów dwukrotnie - 166 tys. dolarów sprzedaży rocznej - za 100 tys. amerykańskich dolarów w USA. Oznacza to jednak, że japońskie firmy, jak musi, w Ameryka tak, jak chcą.

Japonia może dostrzec, że w tym kierunku nie ma szansę wyprzedzić Amerykę. W tym celu nie może doprowadzić jednak swobodę wielkiej produkcji.

Po wojnie 35% Japończyków nie miało gdzie mieszkać, yen był bez wartości. Amerykanie umożliwili im odbudowę gospodarczą i pewną konwersję kulturową, ale sami zajęci byli głównie współzawodnictwem wojskowym i geopolitycznym z ZSRR. W tym czasie ich ulubione dziecko wyrosło na przeciwnika, a zarazem partnera gospodarczego. Dalszy rozwój stosunków pomiędzy nimi wyznacza nie tylko prawa rynku, wymogi strategii, ale także podobieństwa i różnice obu narodów. Podobieństwa to rzetelny stosunek do pracy, przywiązanie do sztandaru, pragnienie postępu. W odróżnieniu jednak od Amerykanów, Japończyk nie czuje się obywatelem wielkiego kraju, ma przekonanie o jego ograniczonych możliwościach, a przede wszystkim – nie żyje na kredyt.

O ile więc spokojna potęga jego kraju oszczędza Amerykaninowi wiele rozterek, o tyle dynamiczny rozwój Japonii doprowadził ją do punktu, w którym musi ona zadać sobie pytanie dotyczące sensu i celu jej nieopartowanego wysiłku, jaki wprawdzie podjęła, ale nie i nie ma do spełnienia ze wszystkich stron świata.

### *Jawa, Kambodża, Sri Lanka, Pakistan – pora na zakupy*

Część Japonii, głównie władzcy, cierpi z powodu odrębności swego narodu, tej odległości, która zapewniła im podziwianą skuteczność – i ostatecznie celem ich wysiłku zdaje się być upodobnienie do Amerykanów.

Niedawno w wieczornym dzioniku CBS usłyszałem retoryczne pytanie dziennikarza: co Japończycy mają do przekazania poza jerytanem japońskim? Lubiście coraz częściej widzieć młodych Japończyków w sklepach i na placach Paryża. Przed Centrum Pompidou i w kafełkach śpiewają amerykański rock, na boisku lasku Yankee's grają w futbol. Pasterkami na nich, a oni powtarzali rytualny ryk szalansera przed wyrzuceniem piłki i pohukiwali obłąkającym kwakaniem, jak oni!

Chociaż podobieństwa i różnice, podobieństwa okazują się w większym i ważniejszym odrazem odrębności.

Wieloletnia walka z amerykańskim standardem jest niezuciowym

leżność rodzinną i narodową, pomiędzy tymi dwiema kategoriami jest człowiekiem całkowicie swobodnym. Nie przywiązuje się ani do przedsiębiorstwa, ani do regionu, z dnia na dzień rzuci wszystko i przeniesie się z najbliższymi na drugi koniec kraju – albo przynajmniej jest pewien, że może tak zrobić w razie potrzeby. Japończyk zaś ma głębokie poczucie klanowości: identyfikuje się z rodziną, z korporacją szkolną, z przedsiębiorstwem, w jakim pracuje całe życie, wreszcie – szczyt nieruchomego porządku – z narodem, symbolizowanym przez słońce na sztandarze i przez cesarza, do niedawna uznawanego za żyjące bóstwo.

Rzetelna praca to dla jednego co najwyżej czterdzieści, dla drugiego do sześćdziesięciu godzin w sześciodniowym tygodniu roboczym. Oznacza to jakościową różnicę pomiędzy nimi w pojmowaniu pracy i jej miejsca w życiu człowieka.

Dążenie do postępu u Amerykanina wynika z chęci poprawienia sobie warunków życia. Cwiczy to konkurencyjność w pracy i w układach społecznych.

W japońskiej grupie zawodowej motywacyjną rolę odgrywa zobowiązanie wobec zespołu. W przedsiębiorstwie, gdzie patron jest ojcem, a grupa sposobem życia, po dyskusji następuje przyjęcie zadania i odtąd trzeba zrobić wszystko, by kolegów nie zawieść. Zmysł wojskowy społeczeństwa samurajów, gotowych za garstkę ryżu przekroczyć granice wytrzymałości dla obłony zbiorowego celu, spaja kodeks honorowy pracownika i godzi go z wymogami nisko opłacanej codziennej lojalności i wierności przedsiębiorstwu.

Dość słyhać gdzie niegdzie w Japonii. Szliśmy tak na wojnę, chodziliśmy do pracy. Dość! Czy jest to początek buntu przeciwko ciężarom własnej kultury? Czy może posłuszna reakcja na szeroko zakrojoną kampanię rządową, jakiej celem jest przekonanie obywateli o bezpłodności życia wypełnionego wyłącznie pracą? Zorientowano się, że największym bogactwem kraju jest człowiek, ten mechanizm produkcyjny wtłoczony od szóstego roku życia w system dramatycznego współzawodnictwa w szkole, na uniwersytecie, w pracy wreszcie. Hość samobójstw wśród młodzieży na tle niepowodzeń szkolnych jest w Japonii najwyższe na świecie. Poruszenie władz, opinii. Kłótnie i awantury! Kłótnie i awantury więcej w rodzinie! Odpczywiają!

Japończycy bowiem sprawiają wrażenie ludzi, którzy nie mogą przestać pracować. Ich machina produkcyjno-handlowa toczy się coraz szybciej ku nowym celom w świecie.

W 1988 roku sprzedaż japońskich towarów w Azji południowo-wschodniej wzrosła o 30%, w USA o 13%, w Europie o 17%. Inwestycje bezpośrednio za granicą przekraczały dwa miliardy dolarów miesięcznie. Znacznie posunęło się skupienie gospodarcze regionu wokół potęgi japońskiej: wartość kapitałów zainwestowanych w krajach sąsiednich przekroczyła w 1988 roku 30 mld \$. Ogólne wyniki gospodarcze są, od lat, lepsze od osiągnięć innych krajów demokratycznych, które wszak rok ubiegły zaliczają do bardzo korzystnych. Ale kto może się wykazać wzrostem produktu brutto o 5.7% przy inflacji 1% i bezrobociu 2.5%? Na tym promiennym niebie widać tylko jedną chmurę: nieustępującą od kilku lat ogromną nadwyżkę handlową sięgającą 95 miliardów dolarów. Dla uniknięcia poważnych kłopotów międzynarodowych rząd musi przekonać obywateli, by kupowali więcej towarów zagranicznych.

Przejawem nowych czasów jest bardzo wyraźne przestawienie się na spożycie wewnętrzne, które w ubiegłym roku szybciej niż eksport nakreślało koniunkturę. W tym roku widoczne to będzie jeszcze wyraźniej w związku z wprowadzeniem nowego systemu podatkowego, który przypomina system amerykański. Japończycy płacić będą mniejsze podatki – górny pułap zmniejszono z 42% do 37,5% dla obywateli, a dla przedsiębiorstw z 60% do 50%. Tym sposobem odebrane z kas państwowych 20 miliardów dolarów wstrzyknięte zostanie do gospodarki.

Japonia pozostaje przy tym rajem inwestora publicznego. Budowniczy zaangażowani są w tytaniczne projekty: most nad zatoką tokijską, nowy port lotniczy w Osace, nowy most nad morzem Wewnętrznym, w sumie 250 wielkich projektów wartości 200 miliardów dolarów. W roku 1988 ukończono tunel podwodny łączący wyspy Hokkaido i Honsiu (53 km) oraz most Sikkoku-Honsiu. Wyspy archipelagu tworzą odtąd jedność.

W morzu pieniędzy, jakie wydaje się na roboty publiczne, doskonale współżyje sumienna praca robotników z mafijnym sposobem zafatwiania zleceń. Konsensus, zgoda narodowa: łapówki, jakie biorą liczni politycy, do premiera włącznie, nie budzą sprze-



ciwu – chyba że osiągną nieprzyzwoite rozmiary, jak te które ostatnio ujawniono – wszyscy z nich żyją, to nie są łapówki, to patron dba o swoich, a ci pracują dla niego.

W rozsądnej Japonii istnieje potężny sektor publiczny, gdzie żaden mechanizm rynkowy nie reguluje cen. Są one zatem rozdęte ponad wszelką miarę dzięki politycznej korpucji. Z drugiej strony wielkie, bezilne na rynku międzynarodowym firmy stosują u siebie te same zasady konkurencji, czego wynikiem bywają ceny wyzywająco niskie. Wówczas interweniuje... rząd, nakłaniając barcowników do podniesienia cen w pobliże granic przyzwoitości i w zgodzie z piątym przykazaniem.

Można tłumaczyć te sprzeczności na różne sposoby, każdy z nich wreszcie własną częstkę racji. Jedno wszakże rzuca się w oczy, a mianowicie materialne przyczyny japońskiej zędoży, wyrażające się chęcią wyjścia z niedostatku. Do pełnego obrazu Japonii należą także maleńkie mieszkania, niskie zabezpieczenia społeczne, do niedawna słabe spożycie, a przy króciutkich urlopach ciężka, o połowę niż u nas dłuższa praca dla wyjścia z nędzy.

Raptowny wzrost spożycia w ostatnich latach i rozwój zainteresowania potrzebami człowieka, pojawienie się inwestycji badawczych, a nie tylko naśladowczych, stopniowe otwieranie własnego rynku i bardziej dojrzała faza ekspansji przemysłowej w świecie wskazują, że o podnoszącej się z nędzy, ascetycznej, wyprzedającej swą pracę za bezcen dla zdobycia rynków Japonii można już mówić w czasie przeszłym.

Robert Kaczmarek

NAKLADEM

ANEKSU

Wacław Solwski

**ŻÓŁTA TRÓJKA**

Opowiadania

najstarszego pisarza polskiego o losach ludzkich

Str. 182

cena: £5,00 – \$11,00

# amerykańscy neokonserwatyści

Seymour Martin Lipset

## Neokonserwatyzm: mit i rzeczywistość \*

Neokonserwatyzm – zarówno ideologiczny, jak polityczny – należy do tych pojęć słownika politycznego, które bardzo często są błędnie rozumiane. Przyczyna tego jest prosta: pojęcie konserwatyizmu nigdy nie odnosiło się do żadnej doktryny mającej określone grono zwolenników. Powstało jako etykieta polityczna uwłaczająca oznaczonym nią oponentom, którzy w większości wcale nie ucieszyli się tym, że tak ich nazwano.

Trend neokonserwatywny w polityce amerykańskiej jest raczej „tendencją” niż „ruchem”. Nigdy nie był spójnym zbiorem poglądów, a ostatnio niemal zniknął ze sceny politycznej. Spora część najnowszego piśmiennictwa utożsamia go błędnie z pravicowym, felseferystycznym amerykańskim konserwatyзмом, który w sferze ideologii wiąże się z nawiskami Friedmana i Reagana.

W rzeczywistości pojęcie konserwatyizmu wyrosło ze sporów wewnątrz amerykańskiego ruchu socjalistycznego, a zostało

\* *Society*, lipiec-sierpień 1988 r.

po raz pierwszy zastosowane w celu zdyskredytowania przeciwnika – podobnie jak przy końcu lat dwudziestych komuniści, chcąc zdyskredytować socjaldemokratów, nazwali ich socjalfaszystami. Zrozumienie neokonserwatyizmu wymaga zastanowienia się nad klęską polityczną amerykańskiego socjalizmu i wynikłymi z niej ostrymi, sekciarskimi konfliktami wewnątrz amerykańskiej lewicy.

### *Tendencje ideologiczne*

Najpierw krótkie wyjaśnienie amerykańskich znaczeń pojęć ideologicznych. Słowa „konserwatywny” i „liberalny” znaczą w USA zupełnie co innego niż w Europie i Kanadzie. Wielu autorów – na przykład Herbert George Wells, Louis Hartz, George Grant, Max Balogh – podkreślało, że konserwatystów w Stanach Zjednoczonych nie ma w ogóle, są tylko liberałowie. Wells w książce *The Future of America*, wydanej w 1906 roku, pisząc o słabości amerykańskich partii robotniczych i socjalistycznych zauważył także, że w USA nie ma partii konserwatywnej tego typu, jaki występuje w Europie. Wykazywał również, że dwie główne partie amerykańskie – republikanie i demokraci – odpowiadają lewemu i prawemu skrzydłu brytyjskiej Partii Liberalnej i bronił poglądu, że amerykański etos polityczny to klasyczny liberalizm w osiemnasto- i dziewiętnastowiecznym sensie tego słowa. Tezę tę pół wieku później rozwinął Louis Hartz w dziele *The Liberal Tradition in America*.

Pojęcie liberalizmu w swym oryginalnym znaczeniu podbudowane było niechęcią do instytucji państwa. Konstytuowały je: sprzeciw wobec merkantylizmu i przymierza tronu z ołtarzem, poparcie dla wolności politycznych, gospodarczych i obywatelskich oraz egalitaryzm w znaczeniu Tocqueville'a – równości szans i równości wobec prawa, niezależnie od różnic statusu czy dochodu. Tak rozumiany liberalizm jest wciąż źródłem politycznych celów amerykańskiej prawicy i lewicy. Natomiast konserwatyzm w znaczeniu europejskim i kanadyjskim wyrósł z obrony przymierza państwa i Kościoła, religii i arystokracji. Torysi byli zwolennikami silnego państwa, stabilnego Kościoła, merkantylizmu, wspólnoty i szlachectwa – tradycyjnych wartości hierarchicznego społeczeństwa dworskiego.

Rewolucja amerykańska dała początek ideologii nieufnej wobec państwa, antymonarchicznej, antyklerykalnej i zarazem życzliwej wobec mezykratycznej konkurencji; była to ideologia w głębi populistyczna. Amerykańskie credo polityczne wyrażało zasadniczą podejrzliwość wobec instytucji państwa. Twórcy państwa amerykańskiego powołali do życia rząd, który nie miał nawet władzy wykonawczej i który w ogóle nie był w stanie funkcjonować. Nim przyszedł rok 1789, zrozumieli oni potrzebę władzy wykonawczej. Wtedy ustanowili subtelny system polityczny mający zapewnić kontrolę władzy wykonawczej i uniemożliwić dominację rządu centralnego. Dla ograniczenia władzy państwa stworzono też Kartę Praw. Jak wykazał Fryderyk Engels, rozpowszechnienie liberalizmu w Stanach Zjednoczonych można też wiązać z faktem, iż kraj ten jest najczystszy przykładem kraju burżuazyjnego, stworzonego przez społeczeństwo nie mające tradycji feudalnych ani merkantylistycznych. Instytucje i wartości burżuazyjne występują w Ameryce w swej najbardziej pierwotnej formie, gdyż jest to jedyny politycznie ważny, rozwinięty przemysłowo kraj bez feudalnych tradycji. Amerykanów cechuje podejście do polityki, które w Europie nazywane jest liberalnym i które sprowadza się do przekonań równościowych i niechętnych władzy państwowej. Dlatego też Amerykanie popierali zawsze różne formy dziewiętnastowiecznego liberalizmu, a nie socjalizm i nie konserwatyzm.

Ten zespół wartości politycznych wywarł silny wpływ na amerykańską lewicę i ruch robotniczy. W Stanach Zjednoczonych nie tylko nie ma żadnej liczącej się partii socjalistycznej, ale i przynależność do związków zawodowych jest rzadsza niż w innych krajach – w 1988 roku obejmowały one 15% pracujących poza rolnictwem. Jeszcze wymowniejszy jest fakt, że ruch związkowy jest stale antysocjalistyczny i silnie jest w nim obecna niechęć wobec instytucji państwa. Najważniejsza i największa amerykańska centrala związkowa – Amerykańska Federacja Pracy (American Federation of Labor – AFL) była syndykalistyczna od chwili powstania w 1866 roku do połączenia z mniejszym od niej Kongresem Organizacji Przemysłowych (Congress of Industrial Organizations – CIO) w 1955 roku. Najsilniejsza i rydka centrala lewicowa w historii USA – Przemysłowi Robotnicy Świata (Indu-

strial Workers of the World – IWW) – była anarcho-syndykalistyczna.

Historycy amerykańskiego ruchu związkowego – zarówno europejscy jak amerykańscy – uważają AFL za konserwatywną w porównaniu ze związkami nieamerykańskimi, ale jest to błędne ujęcie. Samuel Gompers, przewodniczący AFL przez większość jej czterdziestu pierwszych lat, nie był konserwatystą. Twierdził, że co państwo daje, państwo może odebrać i że robotnicy powinni polegać na sobie, a nie na państwie. Uważał też, że przemysł państwowy byłby dla robotników znacznie trudniejszym przeciwnikiem niż prywatni przedsiębiorcy, gdyż po prostu państwo jest silniejsze niż prywatny pracodawca.

Dlatego – jego zdaniem – sytuacja robotników jest w krajach kapitalistycznych lepsza niż tam, gdzie własność jest publiczna, a związki zawodowe w systemie kapitalistycznym mogą lepiej bronić robotników.

AFL przed i po pierwszej wojnie światowej była bardziej bojowa niż europejskie związki zawodowe. Wynikało to z ogólnie wyższego w Ameryce uznania dla walki. Federacja ta strajkowała chętniej niż związki europejskie i stosowała agresywniejsze metody. AFL, a także IWW, były w porównaniu do europejskich związków zawodowych bardziej skłonne do przemocy wobec łamistrajków i do niszczenia własności pracodawcy. Przed Wielkim Kryzysem amerykański ruch robotniczy był bojowy i syndykalistyczny. We wczesnych latach trzydziestych związki amerykańskie jako pierwsze zastosowały taktykę strajku okupacyjnego, którą potem przejęli Francuzi.

Ta syndykalistyczna i anarcho-syndykalistyczna tradycja amerykańskiego ruchu robotniczego tłumaczy silny antykomunizm i antysowietyzm większości amerykańskich związków zawodowych po drugiej wojnie światowej, a także ich poparcie dla zwolenników twardej linii w amerykańskiej polityce zagranicznej. Fakty te były niezrozumiałe dla obserwatorów zagranicznych, także radzieckich, ale stają się całkowicie zrozumiałe, jeśli uwzględnić tradycyjną nieufność wobec państwa, którą związkowcy amerykańscy dzielą z innymi Amerykanami.

W Anglii i w Niemczech konserwatyści z Disraelim i Bismarckiem na czele rozpoczęli budowę państwa dobrobytu. Wiejsko-

arystokratyczni torysi nie lubili kapitalistów i uważali ich za egoistycznych materialistów. Wierzyli raczej w dworską hierarchię wartości i w odpowiedzialność elit za społeczeństwo. Możliwość wyrzucenia robotnika bez ostrzeżenia z pracy, gdy z powodu choroby, wieku lub stanu przedsiębiorstwa nie jest już potrzebny, a także zespół wartości tworzących kapitalizm uważali oni za odrażające. Marks w *Kapitale* a Engels w *Położeniu klasy robotniczej w Anglii* opisali szczegółowo ciężką sytuację robotników w kapitalistycznej Anglii, najbardziej w tym czasie zaawansowanym kraju kapitalistycznym. Obie te prace pełne są cytatów z oficjalnych raportów stwierdzających, jak zła jest sytuacja robotników. Ale kto je pisał? Pisali je torysi, konserwatyści, którzy wciąż uznawali wartości arystokratyczne, monarchię, wspólnotę i szlachectwo. Byli oni nie mniej niż marksiści oburzeni na sytuację robotników, gdyż uważali, że przedsiębiorca ma obowiązek opieki nad zatrudnionymi.

H.G. Wells, Louis Grant, Gad Horowitz i inni autorzy, którzy interesowali się tym, dlaczego w USA nie ma socjalizmu, twierdzili, że silne rządy socjalistyczne istnieją w krajach mających tradycję silnej władzy państwowej; innymi słowy – socjaliści i torysi to dwie postacie tego samego zjawiska. Harold Macmillan powiedział kiedyś, że torysi to paternalistyczni socjaliści. Jego ostatnie przemówienie w Izbie Lordów – gdy miał już 90 lat – było ostrym atakiem na Margaret Thatcher za traktowanie strajkujących w 1984 roku górników. Macmillan powiedział wówczas, że są to n a s i ludzie, lojalni obywatele, którzy dostarczali węgiel wówczas, gdy kraj go potrzebował: podczas wojny. Będąc klasycznym torysem, uznał on politykę pani Thatcher za niemoralną. Poglądy Macmillana to kwintesencja toryzmu. Margaret Thatcher zaś jest klasycznym reprezentantem liberalizmu, reaganizmu lub friedmanizmu. Nie jest natomiast konserwatystką w europejskim sensie tego słowa.

George Grant, kanadyjski filozof i teolog konserwatywny, podobnie jak Macmillan jest zdecydowanym przeciwnikiem liberalizmu brytyjskiego, który utożsamia ze Stanami Zjednoczonymi. W książce *The Lament for the Nation* podkreśla on więź między socjalizmem a brytyjsko-kanadyjskim typem konserwatyzmu. Obie te kierunki starają się „wykorzystać siłę państwa do

osiągania celów ważnych dla narodu". Jest on przekonany o wyższości kultury kanadyjskiej nad amerykańską dzięki temu, że ta pierwsza zawiera silny nurt torysowsko-socjalistyczny. Inny Kanadyjczyk, Gad Horowitz, socjalista, w dziele *Canadian Dimensions* (1965) wskazuje na „łączącą konserwatyzm i socjalizm orientację ku wspólności”. Stwierdza też, że „socjalizm ma więcej wspólnego z toryzmem niż z liberalizmem, gdyż ten ostatni jest zachłannym indywidualizmem, natomiast socjalizm i toryzm to odmiany kolektywizmu”.

Socjalizm nie przemówił do Amerykanów, gdyż proponował zwiększenie władzy państwa. W Europie mógł on przyciągnąć wielu, gdyż uznanie dla instytucji państwa jest tam zakorzenione w tradycjach narodowych. Tam, gdzie interwencjonizm jest uznawany, tendencje egalitarystyczne przyjmują formę etatystyczną, czyli socjalistyczną. Ale w Stanach Zjednoczonych, gdzie istnieje duża nieufność wobec państwa, lewica jest antyetatystyczna. Najpoważniejsza w ostatnich latach próba stworzenia ruchu radykalnego w USA – Nowa Lewica z lat sześćdziesiątych – bliższa była anarchizmowi niż socjalizmowi, zarówno w swej ideologii, jak w praktycznej działalności organizacyjnej. Spośród Europejczyków największe uznanie Nowej Lewicy zyskała Róża Luksemburg, która – mimo iż była marksistką – uważała władzę państwową i państwową za niebezpieczną.

Wielki Kryzys lat trzydziestych wpłynął silnie na amerykańską niechęć wobec państwa. Richard Hofstadter zauważył, że kryzys ten nadal „zabarwienie socjaldemokratyczne” amerykańskiej polityce i ruchowi związkowemu. Rooseveltowska polityka Nowego Ładu zachęcała państwo do podjęcia się planowania, regulowania i opieki społecznej, choć odrzucała projekty nacjonalizacji przemysłu i była otwarcie antysocjalistyczna; podobne poglądy głosił czołowy działacz i jeden z założycieli centrali związkowej CIO, John L. Lewis, który popierał republikanów i w latach dwudziestych, i w czterdziestych. Ale klasycznie liberalne, leseferystyczne i indywidualistyczne doktryny pozostały żywe na prawicy, wśród republikanów i konserwatystów, a podczas wojennego prosperity ich pozycja w świadomości Amerykanów została odbudowana. Skutkiem tego było sześć zwycięstw republikanów w dziesięciu wyborach od 1952 roku poczynając i gwał-

towny upadek ruchu związkowego: w połowie lat pięćdziesiątych do związków należało około  $\frac{1}{3}$  robotników, a w połowie lat osiemdziesiątych – mniej niż  $\frac{1}{6}$ .

### *Intelektualiści a polityka*

Powyższe omówienie amerykańskich wartości i ideologii politycznych jest ważne dla naszego głównego tematu – neokonserwatyizmu – ze względu na pewne tendencje w środowisku intelektualistów. Jedynie w nim doktryny lewicowe poczyniły pewne postępy. Amerykańscy intelektualiści (czyli Indzie zajmujący się pracą twórczą) i znaczne grupy inteligencji (czyli tych, którzy wykorzystują zdobyte umysłu) były wyobcowane z głównego nurtu nieszczańskiego społeczeństwa i niektórzy z nich zwrócili się ku alternatywie socjalistycznej. W pracy *Anti-intellectualism in the United States*, w 1964 roku, Richard Hofstadter stwierdził, że intelektualiści amerykańscy byli na lewicy przynajmniej przez trzy ostatnie ćwierćwiecza. Wielu zaś wśród nielewicowej mniejszości – tacy jak Henry Adams, William James, T.S. Elliot – było również ludźmi wyobcowanymi z amerykańskiego świata biznesu i wartości materialistycznych. Z początkiem lat pięćdziesiątych Lionel Trilling podkreślał, że sprzyjali oni „kulturze alternatywnej”, wrogiej wobec kapitalizmu. Byli progresistami, liberalami, socjalistami i „zielonymi”. Jeden ze stałych elementów amerykańskiego życia politycznego, antymaterialistyczny ruch zachowania przyrody, zawsze przyciągał inteligencję.

Wielki Kryzys spowodował przesunięcie amerykańskich intelektualistów ku lewicy. W 1932 roku czterystu pisarzy, artystów i pracowników nauki – wśród nich wielu wybitnych – podpisało deklarację popierającą komunistycznych kandydatów do urzędów prezydenta i wiceprezydenta – Fostera i Forda. Badania przeprowadzone już po wojnie stwierdziły, że pracownicy nauki, szczególnie zaś humaniści, są skłonni do popierania polityków lewicowych bardziej niż jakakolwiek inna grupa społeczna. Wydziały uniwersyteckie nieproporcjonalnie silnie popierają mniejsze partie lewicowe. Nie oznacza to, że lewicowy radykalizm dominuje w środowiskach naukowych, ale jest on tam silniejszy niż gdziekolwiek indziej. W 1948 roku lewicowa, trzecia partia



zdobyła tylko 2% głosów w całym kraju, ale wśród pracowników nauki poparło ją 15%. Co ważniejsze, im wyżej stoi intelektualista w hierarchii uniwersyteckiej, im jest wybitniejszy i im większe ma sukcesy, tym bardziej skłania się ku lewicy. Friedrich Hayek, odwiedzwszy Stany Zjednoczone w 1949 roku, potwierdził istnienie tego zjawiska; wiele późniejszych badań prowadziło do tego samego wniosku. Pracownicy najlepszych uczelni – takich jak Harvard, Chicago, Berkeley, Yale, Stanford – są znacznie bardziej lewicowi niż pracownicy uczelni mniej znanych. Naukowcy mający wiele publikacji i będący aktywnie zaangażowani w badania naukowe są bardziej skłonni do radykalizmu politycznego niż ci, którzy zajmują się przede wszystkim nauczaniem.

Niedawne badania przeprowadzone wśród dziennikarzy potwierdziły tę regułę: ci, którzy pracują dla głównych agencji i pism, są wyraźnie bardziej lewicowi niż pozostali.

W Stanach Zjednoczonych, które jako całość skłaniają się ku gospodarce wolnorynkowej, istnieją silne lewicowe tendencje w ramach elity intelektualnej. Grupa ta działa jednak w próżni politycznej, gdyż partie socjalistyczne i komunistyczne są w USA niezmiernie słabe. Niektórzy intelektualiści należą do niewielkich partii radykalnych, większość nie należy nigdzie. Dlatego – inaczej niż w Europie – ich czystość ideologiczna rzadko była poddawana próbie pragmatycznego uprawiania polityki. W większości krajów europejskich intelektualiści, którzy poszukiwali możliwości działań praktycznych, mogli wielokrotnie przyłączyć się do masowych ruchów socjalistycznych lub komunistycznych. Nigdy coś takiego nie zdarzyło się w USA. Lewicowych intelektualistów mają Stany Zjednoczone w nadmiarze, nie mają jednak żadnej masowej lewicowej partii politycznej. Tym samym lewicowi intelektualiści nie mają możliwości przełożenia swych idei na praktykę polityczną.

### *Konflikt, wewnątrz lewicy*

Skłonność do czystości ideologicznej jest w amerykańskich środowiskach lewicowych większa niż w innych krajach. Przed 1945 rokiem trockizm był w USA silniejszy niż w Europie. *Partisan Review*, który przez długie lata był głównym amerykańskim

pismem literackim, wydawany był przez sympatyków trockizmu. W początkach lat trzydziestych sympatyzowała też z trockizmem pokaźna liczba intelektualistów. Ich ultralewicowość ukształtowała się w sporach prowadzonych w środowiskach amerykańskiej inteligencji na temat marksizmu, socjalizmu, Związku Radzieckiego, hiszpańskiej wojny domowej i innych spraw. Trockizm przyciągał swą rewolucyjnością, nieskorumpowaną przez praktykę sprawowania władzy ani przez konieczność kompromisu z realiami wyborczymi, które tak silnie osłabiły atrakcyjność socjaldemokracji. Prócz trockistów, których liczebność po wybuchu drugiej wojny światowej zaczęła maleć, istniał energiczny niezależny ruch lewicowy określający się jako rewolucyjny. Była to Amerykańska Partia Socjalistyczna, kierowana przez Normana Thomasa, która swą lewicowością znacznie przewyższała europejskie partie Drugiej Międzynarodówki lat trzydziestych i czterdziestych. Antystalinizm tej partii był wyrafinowaną formą radykalnej opozycji amerykańskich intelektualistów wobec Drugiej Międzynarodówki. Partia komunistyczna pozostała co prawda przez cały okres Nowego Ładu najsilniejszą politycznie i najliczniejszą partią lewicy, ale dla wielu intelektualistów była owa mniej atrakcyjna niż trockizm czy rewolucyjny socjalizm, a jedną z przyczyn tego było poparcie Roosevelta przez komunistyczny Front Ludowy.

W latach trzydziestych toczyła się niewiarygodnie ostra walka między komunistami i niekomunistami w amerykańskiej lewicy. Chodziło o ocenę Związku Radzieckiego. Antykomunistyczni radykałowie uważali, że stalinizm nie tylko ciemnieży Rosję, ale i zdradził światową rewolucję socjalistyczną. Gillion Peele w *Revival and Reaction* stwierdził, że „w latach trzydziestych głównym podziałem w amerykańskich sferach intelektualnych był podział wewnątrz lewicy”, który zaowocował „taką spuścizną idei i świadomością różnicy zdań, które badacze i politycy rzadko spotykają w swej karierze”. Pokolenie radykałów ukształtowało się w przekonaniu, że komuniści są odpowiedzialni za wzrost znaczenia Hitlera, że współpracowali z nim w okresie strajków 1931-32 roku i że podkopali pozycję pruskiego rządu socjaldemokratycznego. Jeszcze przed dojściem hitlerowców do władzy komuniści potępiali socjalistów nazywając ich socjalfaszystami i obiektywnymi sprzy-

inierzeńcami faszyzmu. Antykomunistyczna lewica była przekonana, że stalinieści sabotowali hiszpańską wojnę domową i że bardziej interesowało ich zniszczenie antystalinowskiej lewicy hiszpańskiej niż pokonanie generała Franco. Kolejnym etapem był pakt Hitler-Stalin w 1939 roku, który przyczynił się do wybuchu drugiej wojny światowej. W 1940 roku radziecki minister spraw zagranicznych Mołotow odwiedził Berlin i powiedział, że faszyzm to kwestia gustu. Aż do ataku niemieckiego, Związek Radziecki dążył do współpracy z Niemcami na terenie podbitej przez nich Europy. Francuska Partia Komunistyczna zwróciła się na przykład do Niemców w 1940 roku z prośbą o zezwolenie na wydawanie dziennika *l'Humanité*. W 1941 r., po ataku Hitlera na ZSRR, amerykańscy komuniści otwarcie poparli – wysunięte przez rząd Roosevelta – oskarżenie trockistowskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej o prowadzenie działalności podpadającej pod Smith Act – prawo uchwalone przeciwko komunizmowi.

Odrzucenie stalinizmu przez amerykańską lewicę spowodowało też zróżnicowanie postaw wobec maccarthyizmu na początku lat pięćdziesiątych. Otwarte poparcie człowieka lewicy dla senatora McCarthy'ego było czymś niewyobrażalnym, ale niektórzy antystalinowscy radykalowie wykazywali zrozumienie dla jego stanowiska. Ganiłi, co prawda, jego metody i taktykę, ale przecież zwalczał on komunistów! Ci zaś ułatwiali zadanie McCarthy'emu bardzo rzadko broniąc swych konstytucyjnych praw do wolności słowa, do bycia komunistą, posiadania organizacji i prowadzenia agitacji. Gdy atakowali ich członkowie komisji śledczych wyznaczonych przez Kongres, komuniści akcentowali swój liberalizm i oskarżali śledczych o próbę zastraszenia bojowników o postęp. Socjaliści i związkowcy z IWW, aresztowani podczas pierwszej wojny światowej, bronili swych praw obywatelskich nie zaprzeczając swoim poglądom. Tak postępowali również trockiści w 1941 roku i Nowa Lewica w okresie wojny wietnamskiej. Komuniści natomiast nigdy nie bronili wobec McCarthy'ego i jego współpracowników swego prawa do bycia rewolucjonistami. Podczas przesłuchań rozważany był najczęściej problem, czy X jest komunistą, a nie, czy ma on do tego prawo! W tej sytuacji wielu antystalinowskim lewicowcom trudno było bronić luźni, których uważali za oddanych stalinowców.

Antystalinowcy lewicowi intelektualisci po drugiej wojnie światowej dalej uważali się za socjalistów lub liberałów. Zimną wojnę po stronie zachodu prowadzili liberalowie i socjaldemokraci, w tym Harry Truman, Clement Attlee, Erni Bevan, Kurt Schumacher, Guy Mollet i Haakon Lie. Gdy Henry Wallace wystąpił z rządu Trumana i przyłączył się do komunistów, tworząc w 1948 roku Partię Postępową, niewielu liberałów i działaczy związkowych poszło w jego ślady.

Powojenny wzrost nastrojów antystalinowskich wynikał z takich wydarzeń politycznych jak przewrót w Czechosłowacji w 1948 roku, jawne antysemickie procesy, wzrost poparcia Stalina dla antysemityzmu w ZSRR, zlikwidowanie resztek demokracji i stłumienie ruchu socjalistycznego w krajach Europy wschodniej, blokada Berlina, wojna koreańska. Niekomunistyczni intelektualiści – z prawicy i z lewicy – zjednoczyli się na krótko w Kongresie Wolności Kultury, instytucji powołanej dla przeciwstawienia się wpływowi komunizmu w świecie intelektualnym. W 1955 roku w Mediolanie odbyło się najważniejsze spotkanie Kongresu, gdzie wielu czołowych działaczy demokratycznych lewicy i prawicy uznało konieczność przeciwstawienia się komunistycznemu totalitaryzmowi.

Ta zgoda prysła w latach sześćdziesiątych wraz z wojną wietnamską i powstaniem radykalnego, głównie studenckiego ruchu antywojennego, który odrzucał moralistyczny antykomunizm antystalinowskiej lewicy. Nastąpił ostry podział wśród liberałów i socjaldemokratów. Główne ugrupowanie Nowej Lewicy, „Studenci na rzecz Społeczeństwa Demokratycznego” (Students for a Democratic Society, SDS) wyrosło z SLID, studenckiej sekcji Ligi Demokracji Przemysłowej (League for Industrial Democracy). Liga ta, powstała w 1905 roku, zrzeszała intelektualistów i przedstawicieli wolnych zawodów, którzy popierali związki zawodowe i, ogólnie, zasady socjaldemokratyczne. W połowie lat sześćdziesiątych jej sekcja studencka przesunęła się ku lewicy i chciała współpracować ze wszystkimi grupami radykalnymi, także z komunistami. Wówczas starsi socjaliści z LID pod przywództwem Michaela Harringtona podjęli próbę zdyscyplinowania młodzieży i odsunięcia jej od komunizmu. Studenci potraktowali to jako szczytę na niewinnych komunistów, zerwali z LID i stworzyli

SDS, który z miejsca wystąpił ostro przeciwko antykomunizmowi i Harringtonowi.

Podział ten nie ograniczył się do młodzieży. Narastał też konflikt między Nową Lewicą a starymi trockistami i socjaldemokratami, wśród których było wielu zawziętych antykomunistów. Max Schactman, założyciel dysydenckiego ruchu rewolucyjnego, który w 1940 roku zerwał z trockistami z powodu ich poparcia dla agresji ZSRR na Finlandię i sprzeciwiał się drugiej wojnie światowej uważając ją za imperialistyczną, w połowie lat sześćdziesiątych opowiedział się za amerykańską interwencją w Wietnamie. W początkach tej wojny większość amerykańskiej niekomunistycznej lewicy popierała zaangażowanie Ameryki w Wietnamie, traktując je jako sprzeciw wolnego świata wobec komunizmu, który chce podbić kraj niekomunistyczny. Między południowo-wietnamskimi związkami zawodowymi i AFL-CIO istniała ścisła współpraca. W miarę trwania wojny lewicowcy, którzy się jej nie sprzeciwiali, stawali się coraz bardziej osamotnieni, a środowiska lewicowe i liberalne coraz mocniej angażowały się w ruch antywojenny. Stopniowo nabierał on charakteru masowego i ci, którzy chcieli pozostać przy socjalizmie lub radykalnej lewicy, stanęli przed wyborem: potępić wojnę lub zostać uznanym za reakcjonistę przez pokolenie młodych radykałów. Partia Socjalistyczna, w której byli także trockistowscy dysydenci, rozpadła się. Jej lewica utworzyła Partię Demokratyczno-Socjalistyczną, prawica zaś – Socjaldemokratyczną Partię USA. Ta ostatnia poparła zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, natomiast lewica sprzeciwiła mu się, choć odrzuciła także konfrontacyjną taktykę radykałów z Nowej Lewicy i sprzeciwiła się ich poparciu dla Hanoi i Wiet-kongu.

Równoległe do konfliktów wewnątrz niekomunistycznej lewicy przebiegały spory wewnątrz Partii Demokratycznej i w środowiskach liberalnych. Ugrupowania wywodzące się z Nowego Ładu, dotychczas jako tżko zjednoczone przez silnie antykomunistyczną politykę zagraniczną Harry Trumana i Johna Kennedy'ego, zaczęły się rozpadać. Skrzydło Nowej Polityki, prowadzone przez senatorów Eugene McCarthy'ego, George'a McGoverna i Roberta Kennedy'ego sprzeciwiło się wojnie, zalecało rozmowy ze Związkiem Radzieckim na temat kontroli zbrojeń i o innych sprawach.

Inni, w tym Lyndon Johnson, Hubert Humphrey i Henry Jackson, a także najważniejsi przywódcy AFL-CIO, pozostali w opozycji do komunizmu i dalej popierali wojnę wietnamską.

W ten sposób lewica i liberalowie ostro się podzielili. Część znanych intelektualistów, związana z lewicą antystalinowską, była przeobrażona wzrostem wpływów Nowej Lewicy i Nowej Polityki, które uważali za sprzyjanie komunizmowi. Szczególnie krytycznie odnosili się oni do ruchu studenckiego i mieli nawet skłonność do widzenia licznych epizodycznych ruchów politycznych lat sześćdziesiątych jako siatki organizacji podkopujących opór wobec komunizmu. Postawa ta stopniowo doprowadziła ich do koncentracji na walce z anty-antykomunizmem. Nadal popierali też politykę państwa dobrobytu i zabezpieczeń społecznych oraz silne związki zawodowe. Uważając demokrację za cel sam w sobie i będąc przywiązanymi do tradycyjnych wartości akademickich twierdzili oni, że konfrontacyjna postawa Nowej Lewicy i ruchów antywojennych wobec uczelni i wobec systemu politycznego jest nieuzasadniona i gra na korzyść antydemokratycznych ekstremistów, zarówno z prawa jak i z lewa. Nowa Lewica uznała ich oczywiście za i negatów. Ku swemu zdziwieniu, ludzie ci zostali lepiej przyjęci przez antykomunistyczną starą gwardię konserwatystów i republikanów niż przez swych niedawnych politycznych przyjaciół, którzy – ich zdaniem – wykazywali nadmiar ugodowości w polityce zagranicznej.

### *Powstanie neokonserwatyzmu*

Twardzi antystalinieści byli uważani za część liberalnej lewicy aż do chwili, gdy Michael Harrington – przywódca Demokratycznych Socjalistów, jednej z dwóch głównych grup wywodzących się z Partii Socjalistycznej – użył terminu „neokonserwatyzm”. Miał on posłużyć do dyskredytacji prawego skrzydła socjalistów – Socjaldemokracji USA – i popierających ich intelektualistów. Harrington określił ich jako neokonserwatystów; ludzi, którzy obiektywnie ruchowi konserwatywnemu sprzyjają lub nawet doń należą. Harringtonowi chodziło po prostu o to, by w ten sposób powiadomić studentów z Nowej Lewicy, iż istnieje poważna różnica między nim samym a socjaldemokratycznymi jałozgrobami, których wkrótce nazwał neokonserwatystami.

To, co działo się później z neokonserwatywnym „ruchem”, jest dobrym przykładem dynamiki znanego w socjologii zjawiska „naznaczania”. Naznaczenie kogoś, nadanie mu jakiejś nazwy czy przyklejenie etykiety wywołuje reakcję wobec naznaczonego; wszystko jedno, czy jest to etykieta „psychotyk”, „komunista”, czy „konserwatysta”. W tym przypadku określenie pewnej grupy terminem „neokonserwatyści” spowodowało odcisnięcie od niej wielu sympatyków, dla których słowo „konserwatyzm” brzmiało odpychająco. Jednocześnie tradycyjni pravicowcy, od dawna nie-szczęśliwi z powodu niewielkiego poparcia wśród intelektualistów, chętnie powitali w swym gronie grupę wybitnych pisarzy i naukowców, którzy – jak głosiła etykieta – przeszli na ich stronę.

Nowy termin szybko się przyjął i neokonserwatyzm rozgościł się na amerykańskiej scenie politycznej. Wiele osób w Stanach Zjednoczonych i poza nimi przyjęło, że neokonserwatyści reprezentują twardą, pravicową linię zarówno w polityce zagranicznej jak i wewnętrznej. W rzeczywistości niemal wszyscy oni nie przestali popierać państwa dobrobytu i polityki Nowego Ładu. Wśród neokonserwatystów znaleźli się Hubert Humphrey, Henry Jackson i Pat Moynihan z Partii Demokratycznej, George Meany i Lane Kirkland ze związków zawodowych oraz socjaldemokraci pod przywództwem Sidney’ a Hooka i Bayarda Rustina. Szybko jednak zapomniano o tych politycznych genealogiach, gdy tradycyjnie konserwatywni intelektualiści, republikańscy politycy i wiele ludzi ze świata biznesu przychylnie zareagowało na wieść, iż pewna liczba wybitnych intelektualistów, którzy kiedyś byli na lewicy, teraz jest konserwatystami.

Neokonserwatyści zostali więc odrzuceni przez swych dawnych przyjaciół i powitani przez dawnych przeciwników. Ci ostatni reagowali na neokonserwatystów szczególnie dobrze wówczas, gdy chodziło o kwestie, w których zgadzali się oni z konserwatystami – takie jak polityka zagraniczna lub sprzeciw wobec specjalnych praw i przywilejów dla wybranych grup. Neokonserwatyści pojawili się w konserwatywnych pismach i na konserwatywnych zebraniach; zaczęto ich wykorzystywać w konserwatywnych gremiach doradczych. Największą pasją neokonserwatystów był sprzeciw wobec ZSRR i komunizmu, a największą troską fakt, że większość amerykańskich liberałów przyjęła wobec tego kraju po-

stawę ustępliwą. Dlatego chętnie powitali sojusz z konserwatywnymi zwolennikami twardej linii w polityce zagranicznej. Ale Humphrey, Jackson i Moynihan pozostali przywódcami politycznymi neokonserwatystów. Dwaj ostatni przewodzili Koalicji na Rzecz Demokratycznej Większości (Coalition for A Democratic Majority, CDM) którą można uznać za organizację neokonserwatystów. Powstała ona w 1973 roku i zmierzała do odciążenia demokratów od linii reprezentowanej przez McGoverna.

Republikanie próbowali pozyskać neokonserwatystów. Richard Nixon w 1969 roku wyznaczył Daniela Patricka Moynihana na stanowisko swego doradcy do spraw krajowych, następnie zaś mianował go ambasadorem kolejno w Indiach i w ONZ. Próbował też namówić Henry Jacksona na objęcie stanowiska sekretarza stanu do spraw obrony. W 1972 roku republikanie naciskali na neokonserwatywnych intelektualistów, by poparli Nixona jako kandydata na prezydenta i tym samym kontrkandydata demokracji, George'a McGoverna, który jako żarliwy „gołąb” w sprawach polityki zagranicznej był dla nich prawdziwym nieszczęściem. Niewielu jednak – poza Irvingiem Kristolem – dało się na to namówić. Większość zbojkotowała wybory, choć Daniel Bell i Nathan Glazer, kolejni – wraz z Kristolem – współwydawcy miesięcznika *The Public Interest*, publicznie agitowali za McGovernem. Socjaldemokracja USA oraz centrala związkowa AFL-CIO z Georgem Meany na czele też powstrzymały się od udziału w wyborach.

W 1976 roku większość neokonserwatystów popierała Henry Jacksona jako kandydata na prezydenta z ramienia demokratów. Wygrał jednak Jimmy Carter, który co prawda cztery lata wcześniej popierał Jacksona przeciwko McGovernowi, ale jako prezydent rozczarował antykomunistyczną lewicę. Jego decyzje personalne na poziomie poniżej rządu wysunęły na czoło ludzi mających poglądy McGoverna na politykę zagraniczną i Alpha Nadera na sprawy wewnętrzne. CDM, która po wycofaniu się Jacksona popierała Cartera, przedstawiła temu ostatniemu listę sześćdziesięciu proponowanych nominacji. Tylko jedna osoba z tej listy uzyskała nominację: Peter Rosenblatt otrzymał stanowisko specjalnego przedstawiciela USA w Mikronezji. Wśród nieuwzględnionych byli Jean Kirkpatrick, Richard Perle, Max Kampelman, Nathan Glazer.



Republikanie postanowili wykorzystać niezadowolenie neokonserwatystów. Bill Brock, przewodniczący Republikańskiego Komitetu Narodowego (Republican National Committee) zapraszał ich kolejno na obiady, ale nie odniósł większych sukcesów. Za jego sugestią Jeane Kirkpatrick napisała do republikańskiego pisma *Common Sense* artykuł zatytułowany „Dlaczego nie jesteśmy Republikanami?” Wyjaśniła w nim, że Partia Republikańska jest narzędziem WASP-ów (skrót od White-Anglo-Saxon-Protestants) – współwłaścicieli przedsiębiorstw, członków elitarnych klubów, ludzi będących przeciwnikami zabezpieczeń społecznych i nie interesujących się czarnymi i biednymi.

Do 1980 roku wielu neokonserwatystów zdążyło nabrać wrogości do Jimmy Cartera mając mu za złe zbytnią uległość w polityce zagranicznej. Wówczas zainteresował się nimi Ronald Reagan. Zaproponował on Jeane Kirkpatrick (która, jak i jej mąż, Evran, była blisko Humphreya) i innym neokonserwatystom udział w swej kampanii wyborczej. Po zwycięstwie Reagana wielu spośród nich otrzymało ważne stanowiska. Nominacje w Departamentach Stanu i Obrony otrzymali: Richard Perle (główny współpracownik Jacksona), Jeane Kirkpatrick, Carl Gershman (przywódca Socjaldemokratów USA), Elliott Abrams (zięć Normana Podhoretza, wydawcy *Commentary*) i Max Kapelman (uprzednio szef sztabu Humphreya). Richard Pipes, doradca Jacksona, podjął pracę w Narodowej Radzie Bezpieczeństwa (National Security Council). Inni – jak Podhoretz lub Ben Wattenberg (uprzednio współpracownik Johnsona) – otrzymali stanowiska doradcze w aparacie spraw międzynarodowych. Michael Novak został wyznaczony delegatem USA do Komisji Praw Człowieka ONZ. William Bennett pełnił kolejno funkcje przewodniczącego Narodowego Funduszu Nauk Humanistycznych (National Endowment for the Humanities) i sekretarza do spraw oświaty; na tym ostatnim stanowisku asystowali mu Chester Finn i William Kristol. Gertrude Himmelfarb otrzymała nominację na prezydenta Rady Narodowego Funduszu Nauk Humanistycznych. Artykuł opublikowany w 1987 roku w *The New Republic* interpretował wszystkie te fakty jako przejęcie przez trockistów kontroli nad administracją Reagana.

Jak widać, Reagan zaferował neokonserwatystom stanowiska w polityce zagranicznej, obronie, oświacie i polityce naukowej.

aden neokonserwatysta nie został wyznaczony na stanowisko związane z gospodarką czy polityką społeczną – w departamentach skarbu, handlu, rolnictwa, pracy, zdrowia, pomocy społecznej. Przyczyna tego jest oczywista: niemal wszyscy neokonserwatyści pozostali liberałami i demokratami w sprawach wewnętrznych – przynajmniej w początkach pierwszej kadencji Reagana. Nawet Irving Kristol, który w 1972 roku poparł Nixona, a wkrótce potem sam został Republikaninem, podkreślał, że pozostaje zwolennikiem różnych programów społecznych i nie zgadza się z Friedmanem, Hayekiem i Reaganem w kwestii państwa. Swoje stanowisko Kristol tak określił w artykule „Co to jest neokonserwatyzm?” (*Newsweek*, 1976): „Neokonserwatyzm zupełnie nie jest wrogiem idei państwa opiekuńczego... Akceptuje on reformy społeczne o tyle, o ile konieczne zabezpieczenia człowieka we współczesnym, zmiennym i zurbanizowanym świecie przeprowadzane są przy minimum biurokratycznej ingerencji w sprawy jednostki... Krótko mówiąc, neokonserwatyzm jest za welfare state, ale nie za państwem paternalistycznym”. Aprobowane przez Kristola reformy społeczne, to „zabezpieczenie na starość i na wypadek bezrobocia, pewne formy ubezpieczeń zdrowotnych, pomocy dla rodziny, itp.”

Kristol oświadczył też, że chętnie akceptuje określenie go jako neokonserwatysty, czego jednak „nie mógłby powiedzieć o niektórych swych kolegach”. Na przykład Daniel Patrick Moynihan uważa swe poglądy za współczesną wersję wilsonowskiego progresizmu, a Daniel Bell z Harvardu zapewnia, że zawsze był i pozostał pravicowym socjaldemokratą.

Zjednywanie neokonserwatystów przez Reagana i Brocka i – co istotniejsze – zmiana całej sceny politycznej doprowadziły pewną liczbę neokonserwatystów do obozu republikanów. Byli to na przykład Evron i Jean Kirkpatrick, Elliott Abrams, Peter Berger, William Bennett, Midge Decter, Gertrude Himmelfarb, Norman Podhoretz, Aaron Wildavsky. Ich akces został dobrze przyjęty przez przywództwo partii, ale tradycyjni, konserwatywni w amerykańskim stylu intelektualiści wyznający klasyczny leseferizm coraz silniej krytykowali swych nowych sprzymierzeńców jako ciało obce, powodujące erozję podstawowych zasad republikańskich. John Judis tak podsumował te krytyki w swym arty-

kule (*The New Republic*, 1986): „...tradycjoniści oskarżają neo-konserwatystów o to, że wyznając liberalizm państwa dobrobytu i kulturalny modernizm przyjęli jedynie szyld konserwatyzmu i wykorzystali go do czysto oportunistycznych celów”. Inny publicysta, E.J. Dionne, korespondent *New York Times'a* pisał w 1987 roku, że „starzy konserwatyści krytykują neokonserwatystów takich jak Irving Kristol lub Norman Podhoretz..., którzy są w większości byłymi demokratami... za wprowadzenie do konserwatyzmu idei liberalnych i usiłowanie przekształcenia go w rodzaj antykomunistycznego liberalizmu lat czterdziestych. pasującego bardziej do Harry S. Trumana niż do Roberta Tafta czy Barry M. Goldwatera”. (Ostatnio o tych sprawach pisał Dan Himmelfarb w artykule „Conservative Splits” *Commentary*, maj 1988).

Podsumowania Judisa i Dionne'a odnoszą się do serii artykułów publikowanych w tradycyjnych pismach konserwatywnych w latach 1986 i 1987: *The Intercollegiate Review* (wiosna 1986). *The National Review* (20 czerwca 1986), *The American Spectator* (październik 1987). Można w nich przeczytać, że „interwencjonistyczni demokraci przechwycili kontrolę nad konserwatywnymi pismami i instytucjami” (Paul Gottfried), że „neokonserwatyści pozostają lewicą. Przejęli oni większość haseł z okresów New Deal'u, Fair Deal'u i Great Society. Są także zwolennikami interwencjonizmu... oraz przymusowego egalitaryzmu”. (M.E. Bradford), że „...byli demokraci w rodzaju... Irvinga Kristola chcą, jak się wydaje, odbudować Partię Demokratyczną w kształcie z lat 50-ych i 60-ych. Partia silnego rządu i antykomunizmu – oto marzenie senatora Henry Jacksona!” (Tom Bethell). Wcześniej na łamach *National Review* (5 III 1982) George Gilder krytykował neokonserwatystów za to, że odmówili konserwatystom poparcia w takich sprawach jak wprowadzenie do konstytucji poprawki dotyczącej równych praw obywateli, przerywania ciąży, wychowania seksualnego, pornografii, modlitwy w szkołach i prawa homoseksualistów. Podobne zarzuty pod adresem neokonserwatystów sformułowali ostatnio Paul Gottfried i Thomas Fleming w książce *The Conservative Movement*.

Jeanne Kirkpatrick wstąpiła do Partii Republikańskiej w 1985 roku, ale zachowała poglądy liberalne na wiele spraw wewnętrznych. W *National Review* (listopad 1987) wyjaśniła też, że

odrzuca ofertę kandydowania na prezydenta, gdyż zdaje sobie sprawę, że „szybko powstałyby problemy wynikające z jej poglądów na sprawy gospodarcze i społeczne”. Jako potwierdzenie jej racji ukazał się w *Manchester Union Leader* list współpracownika kandydata konserwatystów, Jacka Kempa, w którym autor dowodził punkt po punkcie liberalizmu jej poglądów na różne sprawy.

Większość konserwatystów pozostała demokratami. W numerze *The Public Interest* wydanym w dwudziestą rocznicę istnienia pisma, w 1985 roku, konserwatywny socjolog Robert Nisbet zauważył, że „tylko niewielka część czołowych autorów *The Public Interest* głosowała na Reagana”. Jediną ważniejszą organizacją neokonserwatystów pozostaje Koalicja na rzecz Demokratycznej Większości, która woli, by uważano ją za organizację liberalną. Wśród neokonserwatystów znajdujemy nie tylko intelektualistów, są także politycy Partii Demokratycznej, na przykład James Wright – przewodniczący Izby Reprezentantów, Tom Foley – przywódca większości w Izbie Reprezentantów, Sam Nunn – przewodniczący senackiej komisji sił zbrojnych, Daniel Inouye – przewodniczący senackiej komisji wywiadu, Dante Fascell – przewodniczący komisji sił zbrojnych w Izbie Reprezentantów, senator Daniel Patrick Moynihan – główny działacz Partii Demokratycznej na rzecz polityki zabezpieczeń społecznych. Są wśród nich także czterej byli przewodniczący Amerykańskiego Towarzystwa Nauk Politycznych i wielu innych wybitnych naukowców, jak Nathan Glazer, Michael Novak, John P. Roche, Adam Ulam, Leon Wieseltier, Raymond Wolfinger, czy Martin Peretz, który jest zarówno profesorem Harvard University jak i wydawcą *The New Republic*. Koalicję na Rzecz Demokratycznej Większości popiera też wielu działaczy centrali związkowej AFL-CIO, w tym jej przewodniczący Lane Kirkland, a także Socjaldemokracja USA. Intelektualiści z CDM i działacze związkowi zacieśnili wzajemną współpracę do granic towarzystwa wzajemnej adoracji. Pod koniec lat 70-ych dwaj czołowi neokonserwatywni politolodzy przewodniczyli Komitetowi Reformy Prawa Pracy, powstałemu z inicjatywy AFL-CIO, a wśród członków tego komitetu wielu było członków CDM.

Neokonserwatyści podzielili się w sensie przynależności politycznej na demokratów i republikanów, ale byli w stanie kontynu-

ować współpracę. Od chwili swego powstania w 1965 roku, do 1972 roku, *The Public Interest* był wydawany wspólnie przez Irvinga Kristola, który w 1972 r. popierał Nixona, a w 1984 Reagana, i przez Daniela Bella, który w 1972 r. popierał McGoverna, a w 1984 r. – Mondale'a. Stanowisko Bella objął w 1973 r. Nathan Glazer, który również popierał McGoverna i Mondale'a. Do Komitetu Redakcyjnego tego pisma wchodzi zarówno republikanie (na przykład Robert Nisbet), jak i jeden z przywódców demokratów, Daniel Patrick Moynihan, który żywi bardzo liberalne poglądy w kwestiach wewnętrznych.

Kim więc są neokonserwatyści? W wielu dyskusjach na ich temat podkreśla się, że są to żydowscy intelektualści z Nowego Jorku. Ale intelektualistów żydowskich znaleźć można wszędzie, szczególnie wśród liberałów, a dawniej także wśród komunistów, socjalistów, czy trockistów. To, co łączy neokonserwatystów, to ich dawne zaangażowanie w walkę z komunizmem. Byli oni albo antystalinowcami działającymi w ruchach radykalnych, albo liberalnymi oponentami zdominowanych przez komunistów grup Partii Demokratycznej (w której komunizm był niegdys silny – na przykład w Minnesocie, Nowym Jorku, w stanie Waszyngton).

Podkreślam tu trwale przywiązanie większości neokonserwatystów do polityki Nowego Ładu. Ale w swym podejściu do spraw państwowo-ustrojowych stali się oni – podobnie jak większość liberałów i socjalistów – dość konserwatywni. Doświadczenia z konfrontacyjną taktyką Nowej Lewicy i z atakami na uniwersytety na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przekonały ich (i innych) o konieczności silniejszego zaakcentowania spraw porządku publicznego i szacunku dla autorytetu. Klęska socjalizmu w innych krajach i przeciwne zamiarom rezultaty wielu programów społecznych doprowadziły do zainteresowania „nieprzewidywanymi skutkami celowych działań społecznych” (Robert Merton). Jak pisałem przy końcu lat siedemdziesiątych „wiele reform społecznych ostatnich kilku dekad, które doprowadzić miały do zwiększenia równości i umożliwienia ludziom odbicia się od dna, przyniosło skutki nieoczekiwane i destruktywne dla osób, którym miały pomóc”. Rząd powinien więc działać „z pokorą, ostrożnie i ze świadomością złożoności spraw”. Setki artykułów z *The Public Interest* dokumentują słuszność tej opinii.

Poglądy neokonserwatystów "trudno precyzyjnie zakwalifikować, gdyż ten „izm" narodził się jako próba naznaczenia zróżnicowanej grupy przeciwników politycznych. Nikt nie stworzył doktryny, która uzyskałaby miano neokonserwatywnej. Dan Hoffmann, jeden z redaktorów *The Public Interest*, zaprzecza, by neokonserwatyści zmienili swe poglądy ideologiczne. Twierdzi on, że to amerykański liberalizm przesunął się ku lewicy. Neokonserwatyści są przekonani, że lewica „nadala sobie etykietkę liberalną, a prawdziwy liberalizm nazwała neokonserwatyzyzmem". Daniel Bell, podsurrelowując poglądy polityczne ludzi sobie podobnych, stwierdził: „...Jestem socjalistą w gospodarce, liberałem w polityce i konserwatystą w kulturze". Innymi słowy, wierzy on w państwo opiekuńcze, w merytokrację i indywidualizm oraz w stosowanie „zasady autorytetu" i tradycji w ocenie zjawisk kulturalnych (por. rozdział na temat Bella w pracy Petera Steinfelda *The Neoconservatives*, 1979). Nic dziwnego, że Irving Kristol w książce *Reflections of a Neoconservative* (1983) podał Bella za przykład „teoretyka tego, co można nazwać naszym skrzydłem socjaldemokratycznym". A i sam Kristol, ojciec chrzestny republikańskiego odłamu neokonserwatyzyzmu, gromił w 1981 roku korektę programów rządowych programów wewnętrznych i określił jego administrację jako typowo „republikańską, na zawsze wyrzekającą się wszelkich interesujących inicjatyw w polityce społecznej, ponieważ każda taka inicjatywa pociąga za sobą koszty". Nalegał też na zaakceptowanie szeregu programów społecznych, mimo iż „będą kosztować i zwiększą deficyt budżetowy". Konkretnie zaś chodziło o dwie formy pomocy dla ludzi starych: zniesienie limitu zarobków dla osób otrzymujących renty państwowe i wprowadzenie zasiłków dla osób żyjących poniżej granicy nędzy. W *The Wall Street Journal* pytał retorycznie: „Dlaczego by nie podnieść państwowego funduszu ubezpieczeń tnak, by administracja Reagana mogła dumnie ogłosić, że zlikwidowała biedę wśród ludzi starych?"

Neokonserwatywni weterani wojen politycznych lat sześćdziesiątych, choć słabiej niż niegdyś, nadal uznają priorytet sprawy powstrzymania ekspansji komunizmu. Radykalne czasopismo *Mother Jones* (październik 1987) opisało działalność polityczną młodej, demokratycznej „bandy czterech". Tężej spośród nich -

Bruce Cameron, Robert Leikin i Bernard Aronson byli aktywnymi przeciwnikami wojny wietnamskiej i działaczami innych radykalnych i liberalnych ruchów; czwarty – Penne Kemble – jest przywódcą socjaldemokratów. Obecnie grają oni główne role w waszyngtońskich debatach w sprawie Nikaragui i pomagają w pozyskiwaniu głosów kongresmanów Partii Demokratycznej na rzecz udzielenia pomocy kontrasmom.

W zasadzie jednak neokonserwatyzm już nie istnieje. Termin ten stracił swój sens, odkąd komentatorzy polityczni zaczęli go stosować do wszystkich konserwatystów (także i poza granicami USA), którzy w polityce wewnętrznej są przeciwnikami interwencjonizmu państwowego, a w zagranicznej – zwolennikami twardej linii. Takie zastosowanie terminu „neokonserwatyzm” jest błędne, wychodzi bowiem poza znaczenie pierwotne, zgodnie z którym neokonserwatyści to silnie antykomunistyczna i krajna lewica, popierająca programy społeczne państwa dobrobytu i krytykująca friedmanowską gospodarkę wolnorynkową. Jak na ironię, stanowisko neokonserwatystów bliskie jest klasycznemu toryzmowi w rozumieniu brytyjskim lub kanadyjskim. W Anglii Margaret Thatcher wraz ze swą Partią Konserwatywną przesunęła się na pozycje klasycznego, antyetatystycznego liberalizmu, a poglądów torysów bronią tam w tej chwili socjaldemokraci oraz mniejszość konserwatystów pod wodzą Edwarda Heatha. Gdyby w Wielkiej Brytanii istnieli neokonserwatyści, popieraliby oni głównie Partię Socjaldemokratyczną, która powstała z prawego skrzydła Partii Pracy i w okresie swego krótkiego istnienia zbliżyła się do poglądów amerykańskich neokonserwatystów (z wyjątkiem poglądów na związki zawodowe) bardziej chyba niż jakakolwiek inna partia polityczna w świecie. Jest ona też o wiele bardziej antysowiecka niż konserwatywna mniejszość Heatha. Brytyjska Partia Socjaldemokratyczna to już nie socjaliści; przypominają oni raczej amerykańskich zwolenników Nowego Ładu z dodatkowym silnym antykomunizmem.

Neokonserwatyści i konserwatyści różnią się też znacznie charakterem swego antykomunizmu. Dan Himmelfarb napisał w *Commentary*: „Neokonserwatyści są antykomunistami, ponieważ komunizm jest wrogiem wolności i demokracji, zaś paleokonserwatyści, czyli stara prawica, mają komunizmowi do zarzucenia

wrogość wobec religii, tradycji, hierarchii. Dla neokonserwatystów różnica między Wschodem i Zachodem to nie różnica między ateizmem i wiarą (jak dla paleokonserwatystów), ani też różnica między socjalizmem i kapitalizmem (jak dla niektórych liberałów), lecz różnica między totalitaryzmem i wolnością”.

### *Nieco o przyszłości*

Najbliższa przyszłość neokonserwatyzmu związana będzie z biegiem spraw politycznych. Wzrost wagi spraw bliskowschodnich i skuteczności palestyńskiego protestu doprowadził do podziału w gronie neokonserwatystów. Bell, Glazer, Wildavsky i piszący te słowa poparli politykę izraelskich gołębi; Decter, Hook, Kristol i Podhoretz są raczej za twardą linią wobec Palestyńczyków.

Różnorakie alianse partyjne będą w dalszym ciągu podkopywać jedność grupy zwanej neokonserwatystami Ci, którzy przystali do republikanów, już tam pozostaną, gdyż nie mogą wrócić do demokratów. Niektórzy, jak Norman Podhoretz lub Midge Decter, stali się konserwatywni pod wieloma względami – również w takich sprawach jak prawa dla kobiet czy homoseksualistów. Inni – jak Jeane Kirkpatrick – są wciąż w sprawach wewnętrznych względnie liberalni.

Trudniej przewidzieć przyszłość tych neokonserwatystów, którzy przystali do demokratów. Zgoda wśród nich (podobnie jak wśród autorów ich pisma, *The New Republic*) dotyczy tylko spraw Związku Radzieckiego i jego satelitów. W sprawach wewnętrznych, tak społecznych jak gospodarczych, różnią się mocno między sobą, a w sumie są bardziej konserwatywni niż liberalni demokraci – przykładem sprawa specjalnych przywilejów dla mniejszości i dla kobiet. Jak większość demokratów (z liberalizującymi włącznie) są już oni mniej przywiązani do interwencjonizmu gospodarczego i do wydawania dużych pieniędzy na programy społeczne. Za najważniejsze nadal uważają sprawy zagraniczne i obronne. Sprzeciwiają się radykalnym „gołębiom”, którzy w 1988 r. próbowali zdobyć nominację do wyborów prezydenckich (Michael Dukakis, Jesse Jackson, Gary Hart, Paul Simon). Bardziej odpowiada im to skrzydło demokratów, które przykłada większą



wagę do spraw obrony (senator Sam Nunn, Bill Bradley). Ci jednak nie zamierzali ubiegać się o urząd prezydencki i w rezultacie senator Albert Gore Jr. z Tennessee pozostał kandydatem najbliższym stanowisku neokonserwatystów.

W liście apelującym o wpłacanie pieniędzy na jego fundusz wyborczy scharakteryzowano go dwoma hasłami: „Gore zajmuje twarde stanowisko w sprawach obrony” i „Gore jest równie liberalny, jak inni kandydaci demokratów”. Nic dziwnego, że pismo *The New Republic* (7 marzec 1988) opublikowało czterostronicowy artykuł wstępny zatytułowany „Al Gore na prezydenta!” Niestety, Gore poza Południem miał słabe poparcie.

Biorąc pod uwagę, że George Bush, ucieleśnienie republikańskich standartów, jest ideologicznie bardziej umiarkowany niż Reagan, zaś Jesse Jackson – postać dla neokonserwatystów nie do przyjęcia z powodu swych poglądów na sprawy zagraniczne – będzie niewątpliwie wpływał na Partię Demokratyczną, należy spodziewać się nasępnych przejść neokonserwatystów do obozu republikańców.

Jeśli nowe odprężenie okaże się stabilne, a gorbaczowowska polityka jawności będzie się rozwijać, sytuacja polityczna w Stanach Zjednoczonych zmieni się. Przywódca radziecki przyznał się do klęski gospodarczej swego kraju. Zaproponował radykalne zmiany polityki gospodarczej, które określił jako „pokojową rewolucję”. Ma on silną wewnętrzną opozycję i musi szybko wykazać się efektami. Do tego potrzebny jest wzrost obrotów handlowych z Zachodem i redukcja wydatków na zbrojenia, a to z kolei wymaga polepszenia stosunków z Zachodem. Trudno powiedzieć, czy uda mu się to osiągnąć, choć zdarzyły się już pewne fakty budzące nadzieję, jak podpisanie traktatu o redukcji rakiet średniego zasięgu. Jeśli te zmiany nastąpią, konflikt ideologiczny między ZSRR i USA zmaleje, co wpłynie na politykę zagraniczną i obroną Stanów Zjednoczonych. Badania opinii przeprowadzone po podpisaniu traktatu o redukcji rakiet wykazują silne polepszenie ocen Związku Radzieckiego zarówno wśród republikańców, jak wśród demokratów. Nawet Ronald Reagan w przemówieniu z 4 maja 1988 „chwalił Związek Radziecki za zmiany w zakresie praw człowieka i przyznał się do potężni

Ameryki w takich sprawach jak niesprawiedliwości rasowe, czy istnienie ludzi bezdomnych" (cyt. za *New York Times*'em).

Polityka wobec Ameryki Środkowej może w takim przypadku pozostać jedynym ważniejszym tematem dzielącym republikanów i demokratów. W każdym razie, pojęcie neokonserwatyzmu nie odegra większej roli w przyszłej polityce amerykańskiej.

Seymour Martin Lipset

Tłum.: Marek Tabin

NAKŁADEM ANEKSU

## OBECNOŚĆ

Leszkowi Kołakowskiemu

w 60 rocznicę urodzin

zbiór esejów, artykułów i wspomnień

DZIAŁY: Rozmowy o filozofii; Rozmowy o dziedzictwie;

Rozmowy o teraźniejszości; Rozmowy o życiu i życiorysach

Str. 372

cena: £7,50 - \$15,00

Barbara N. Łopieńska i Ewa Szymańska

## STARE NUMERY

PO PROSTU 1953-1957

Historia tygodnika oczyma członków zespołu redakcyjnego – od mało znanego pisma studentów Politechniki Warszawskiej do wpływowej platformy zwolenników radykalnych reform w okresie Października i likwidacji *Po prostu* w 1957 r.

Str. 130 + zdjęcia

Cena: £3,50 - \$8,00

Brigitte Berger, Peter L. Berger

## Nasz konserwatyzm \*

Konserwatyści spierają się między sobą tak samo, jak zwolennicy innych ideologii, ale dopiero od niedawna ich dyskusje przyciągają uwagę także osób spoza ich kręgu.

Do czasu ukazania się książki George'a Nasha *The Conservative Intellectual Movement in America*, w 1976 roku, istniały co najmniej dwie główne filozoficzne orientacje, które on nazwał tradycjonalistami i 'ibertynami'<sup>1</sup>.

Tradycjonalisci zawsze spierali się o to, k t ó r a tradycja jest dla konserwatyizmu amerykańskiego najważniejsza i w ten sposób tworzyły się następne podziały. W latach 70-ych obraz skomplikował się jeszcze bardziej: pojawili się neokonserwatyści. Większość z nich, to uciekinierzy z obozu liberalizmu, który w tamtym okresie dostał obłąd. Pojawiła się także Nowa Prawica i to w dwóch odmianach: religijnej (głównie ewangelickiej) i świeckiej.

\* *Commentary*, październik 1986.

<sup>1</sup> Trzecia wyróżniona przez Nasha grupa, antykomunistów, wtopiła się pod względem filozoficznym w pozostałe dwie i dlatego pozostawiamy ją poza zakresem rozważań.

Ze wszystkich konserwatywnych grup intelektualnych chyba tylko nowa prawica ma mocne oparcie o ruch masowy, o „insurekcję burżuazyjną” – jak ją trafnie określił Richard John Neuhaus – która dwukrotnie wyniosła Ronalda Reagana do Białego Domu. Fakt ten ma zresztą znaczenie dla w s z y s t k i c h konserwatywnych intelektualistów. George Nash trochę się może pospieszył, pisząc w *Policy Review*, że okres Reagana „uksztaltował konserwatywną klasę rządzącą”. Z pewnością jednak od 1980 roku konserwatywni intelektualiści czują się nieco mniej osamotnieni.

Zastanawiając się nad podziałami wewnętrznymi w tym gronie warto pamiętać, że większość konserwatystów uważa historię za proces prowadzący od pewnego lepszego stanu w przeszłości do określonego gorszego stanu terażniejszego. Innymi słowy, w pewnym momencie historii stało się coś złego, a stan obecny jest rezultatem tamtej katastrofy. Poszczególne grupy amerykańskich konserwatystów różnią się między sobą poglądem na to, co było tą katastrofą. I tak konserwatyści katoliccy – jedna z grup tradycyjnych – za szczyt historii uważają średniowiecze. Od niego zaczął się upadek, który doprowadził do dzisiejszego zamieszania. Wieki średnie to spory okres czasu i poszczególni konserwatyści katoliccy mogą sobie z niego wykrawać różne ulubione fragmenty, odcinając się jednocześnie od innych, mniej pociągających momentów owego Złotego Wieku chrześcijańskiej cywilizacji, jak na przykład masakrowania heretyków. W każdym razie, pewien typ idealny społeczeństwa średniowiecznego – a czasem też społeczeństwo to w całym jego bogactwie – służy za przedmiot porównań ze smutną rzeczywistością współczesnego Zachodu. Wśród katolików anglojęzycznych wizję taką reprezentują – mniej czy bardziej wprost – G.K. Chesterton i Hilaire Black. Istnieje też anglikańska odmiana tego gatunku; dla T.S. Eliota staczenie się ku nieprawości zaczęło się w siedemnastym, a nie w trzynastym wieku. Mamy i naszą własną, amerykańską odmianę południowych agrariuszy – Southern Agrarians – dla których historyczną granicę między społeczeństwem zdrowym i bagnem współczesnych patologii wyznacza Wojna Domowa. (Może nawet niewolnictwo nie zasłużyło sobie na tak złą prasę?). Wreszcie, nie opuszczając obozu tradycjonalistów, znajdujemy uczniów

Leo Straussa, dla których droga w dół zaczęła się od upadku greckiego polis. (Czyż Leo Strauss dlatego jest tak popularny wśród myślicieli żydowskich, że umieszcza punkt szczytowy historii przed nadejściem samochwalczej cywilizacji chrześcijańskiej?)

Dla libertynów wiek złoty, to koniec dziewiętnastego wieku, okres drapieżnego kapitalizmu. Nowa Prawica, a szczególnie jej ewangelickie odgałęzienie, także zerka ku dziewiętnastemu wiekowi, ale dla niej ideałem jest Ameryka małych miasteczek. Lektura pism neokonserwatystów pozwala bardzo szybko zlokalizować ich punkt katastrofy: są to lata sześćdziesiąte naszego wieku. Nic dziwnego, że konserwatyści tradycyjni spoglądają na nich z ironią: spóźniają się przecież co najmniej o wiek, albo i o sześć wieków.

Z punktu widzenia tradycyjistów Nowa Prawica i libertyni również są spóźnieni, ale to jeszcze najmniejszy z ich grzechów. Zdaniem tradycyjistów wizja Nowej Prawicy jest mgliście sympatyczna, ale niewymownie płaska. Libertyni zaś uważają tradycyjistów – którzy nie są z zasady prokapitalistyczni – za ogólnie bezużytecznych; mają zresztą u nich taką samą reputację.

Ocena kapitalizmu różni również neokonserwatystów i libertynów. Postawę neokonserwatystów doskonale odzwierciedla tytuł książki Irvinga Kristola *Po dwakroć hurra na cześć kapitalizmu* (Two Cheers for Capitalism). Natomiast, można być pewnym, że każdy dobry libertyński uczeń F.A. Hayeka lub Milтона Friedmana znalazłby powody do co najmniej trzech takich wiatatów, a następcy Ayu Randa, których wciąż można spotkać, wiatatowaliby co najmniej sześć razy.

Kwestia zakresu władzy państwowej różni libertynów od innych grup konserwatywnych jeszcze bardziej niż opinie na temat kapitalizmu. Radykalnie wrodozy wobec władzy państwowej jako takiej skłonni byli żądać legalizacji narkotyków i ostrych cięć budżetu obronnego (Pentagon jest przecież instytucją państwową!) W ten sposób doszło do konfliktu libertynów zarówno z tradycyjistami, jak z neokonserwatystami.

Ale nie libertynom, lecz właśnie neokonserwatystom dostaje się ostatnio od tradycyjistów. Na spotkaniu konserwatywnych intelektualistów w kwietniu 1986 roku część tradycyjnali-

stów dowodziła, że neokonserwatyści w ogóle nie są konserwatystami; w głębi duszy są oni wciąż dziećmi liberalizmu i jego metafizycznych iluzji. Są to raczej – zdaniem tradycjonalistów – nowocześni pragmatycy, nie mający oparcia w żadnej doktrynie filozoficznej i nie uznający wartości chrześcijańskich, które jako jedyne mogą być stale żywotną bazą poglądów konserwatywnych.

Ten równie nieprzyjemny, co fundamentalny zarzut jest o tyle słuszny, że mimo pewnych zastrzeżeń filozoficznych większość neokonserwatystów czułaby się dobrze w Ameryce dwudziestego wieku, gdyby nie polityczna i kulturalna spuścizna lat sześćdziesiątych. Większość konserwatystów tradycyjalnych natomiast tak czy inaczej nie lubi amerykańskiego dwudziestego wieku, choć zgadza się, że lata sześćdziesiąte były początkiem szczególnie nikczemnego etapu rozwoju współczesnych patologii.

Nic może tak dobrze nie ilustruje tej różnicy jak fakt, że Russell Kirk, senior tradycyjalnych konserwatystów, mieszka w małym miasteczku Mecosta w stanie Michigan, podczas gdy większość znaczących neokonserwatystów mieszka w Nowym Jorku. Jest to chyba ważniejsze niż po wielokroć cytowane spostrzeżenie, iż wśród neokonserwatystów więcej jest Żydów niż wśród konserwatystów tradycyjalnych. (Przy okazji warto zaznaczyć, że wśród neokonserwatystów jest znacznie więcej nie-Żydów, niż się to na ogół sądzi.)

Chodzi tu bowiem po prostu o problem nowoczesności – ale nie tej, którą uosabiają urządzenia techniczne. Większość tradycyjalnych konserwatystów pogodziła się już przecież z telefonem, komputerem i chirurgią serca. Chodzi raczej o nowoczesną świadomość, której zasadniczym składnikiem jest poczucie względności<sup>2</sup>; świadomość, że wszystkie poglądy i systemy wartości zależą od specyficznych okoliczności historycznych i społecznych.

Innym istotnym elementem nowoczesnej świadomości jest postawa pragmatyczna, przekonanie, że świat można naprawić i, konsekwentnie, traktowanie większości lub wręcz wszystkich problemów jako problemów do rozwiązania. Oba te składniki: rela-

---

<sup>2</sup> Wpływ codziennego posługiwania się telefonem i komputerem na posiadanie nowoczesnej świadomości omawiamy szczegółowo w naszej książce, *The Homeless Mind*, 1973.

tywizm i postawa pragmatyczna zostały już teoretycznie przeanalizowane, szczególnie w naukach społecznych. Nie jest więc przypadkiem, że tak wielu neokonserwatystów wywodzi się z nauk społecznych lub przynajmniej sympatyzuje z ich wysiłkami, natomiast konserwatyści tradycyjni są generalnie wrogo nastawieni do tych nauk, a szczególnie do socjologii, którą – słusznie! – uważają za dyscyplinę nowoczesną *par excellence*.

Poczucie względności świetnie przedstawił w klasyczny sposób Pascal mówiąc, że co jest słuszne po jednej stronie Pirenejów, jest błędem po drugiej stronie. Nie ma to bynajmniej oznaczać, iż prawda nie istnieje, a już zupełnie nie należy o taki pogląd podejrzewać Pascala. Ale poczucie względności utrudnia traktowanie przekonań jako danych i oczywistych, co zawsze było charakterystyczne dla przekonań wypływających z tradycji. Kto doświadczył tej względności, może nawet mieć bardzo zdecydowane poglądy, ale zawsze pozostanie świadom, że je *wybrał*.

Dla tradycyjnistów poglądy są dane. Istotą modernizacji natomiast jest ruch umysłu od przeznaczenia do wyboru. Być nowoczesnym, choćby i krytycznie, to uznać ten ruch. Można by – pozostając w zgodzie z zasadami socjologii – poszukiwać wyjaśnienia tego ruchu w instytucjonalnej rzeczywistości współczesnego społeczeństwa, nie w platonicznym królestwie idei funkcjonujących niezależnie od kontekstu społecznego. Współczesna historia, nauki społeczne, filozofia, psychologia i literatura w nieskończoność rozważają doświadczenie względności norm na poziomie refleksji teoretycznej. Dla tradycyjnistów całe to teoretyzowanie jest częścią i przejawem umysłowej degeneracji współczesności; rzekomą diagnozą, która jest w istocie samą chorobą.

Postawa pragmatyczna jest, być może, nieco mniej fundamentalnym składnikiem nowoczesności niż doświadczenie względności. Wywodzi się ona prawdopodobnie z działalności technicznej i naukowej, która formuje „umysł inżynierski” („instynkt fachowości” Thornsteina Veblena). Teoretycznie, może ona współistnieć z tradycyjnym poglądem na świat. W rzeczywistości jednak, szczególnie w połączeniu z poczuciem względności, ta „postawa majsterkowicza” zakłada gotowość eksperymentowania, kompromisu, szukania rozwiązań sprawdzających się, choć nie-

koniecznie opartych o odwieczne prawdy. Rozważań teoretycznych nad tą postawą jest w naukach społecznych również wiele, ale dla tradycjonalistów i te analizy są dowodem umysłowej i moralnej degeneracji współczesności.

Niektórzy tradycjonaści uważają takie połączenie nawyków poznawczych i normatywnych za „użyteczność”, ale jest to błędne zastosowanie tego pojęcia. Szkoła filozoficzna o tej nazwie była niezbyt interesującym epizodem w historii myśli współczesnej. Niemniej, sam termin wskazuje na coś istotnego. Nowoczesna świadomość względności i pragmatycznej podatności świata na aktywność ludzką odrzuca traktowanie wartości jako absolutnych. Właśnie to jest dla tradycjonalistów czymś obcym, a w dodatku odpychającym. Przeciw takiej postawie tradycjonalista ma odwieczne prawdy swej umiłowanej tradycji. Możemy mówić mu, że ulega iluzjom, że w y b r a ł swoją tradycję i że cokolwiek by uczynił, nic już nie może go cofnąć do spokojnej pewności ludzi dawnego, tradycyjnego świata. Ale jego spojrzenie na świat nowoczesny – niezależnie od tego czy jest iluzją – z konieczności wiedzie do negatywnego osądu tych wszystkich, którzy uznali, że poszukiwanie pewności jest nie kończącym się procesem.

Myśląc o naszym własnym miejscu w panoramie amerykańskiego konserwatyzmu, świadomi jesteśmy socjologicznych odrębności naszych życiorysów. Obydwoje pochodzimy z Europy Środkowej, którą opuściliśmy jako ludzie młodzi, ale już dorośli. Entuzjastycznie przyłączyliśmy się do Ameryki, co niewątpliwie wynikało z naszego dziecięcego doświadczenia wojny i totalitaryzmu. Właśnie Nowy Jork był naszym pierwszym amerykańskim miastem i choć okoliczności sprawiły, że w końcu mieszkamy gdzie indziej, to zachowaliśmy gorące przywiązanie do ducha tego miasta i do tego miejsca. Jesteśmy chrześcijanami. Jesteśmy socjologami. Mimo wszystkich tych odrębności, nasze życiorysy nie są aż tak szczególne, byśmy nie mogli porozumieć się z ludźmi o innej przeszłości. Co więc my sami o sobie myślimy mówiąc, że jesteśmy konserwatystami i że znajdujemy dla siebie miejsce w tym obozie i w tej siatce podziałów, która go aktualnie charakteryzuje?

Zacznijmy od pytania o ogólny pogląd na historię i na człowieka, który można nazwać poglądem konserwatywnym. Podstawą jego jest odrzucenie idei postępu w historii i przekonanie o



istnieniu pewnych niezmiennych cech natury ludzkiej. Taki pogląd czyni człowieka sceptycznym wobec wszystkich projektów radykalnych zmian, wszystkich form utopizmu, a szczególnie tych, które dążą do stworzenia „nowego człowieka” (lub „nowej ludzkości”, jako że według niektórych przyszłość ma być bezpłciowa).

Odrzucenie idei postępu nie oznacza, że historia jest nocą, w której wszystko jest moralnie szare. Nie ma postępu, ale są postępy. Nowoczesność to stan daleki od zwieńczenia ewolucji człowieka. W pewnych dziedzinach zdarzają się nawet cofnięcia – przykładem utrata poczucia transcendencji przez wielu współczesnych. Ale nowoczesność przyniosła też pewne postępy – na przykład ruch od despotyzmu ku demokracji iub zastąpienie „biologicznego *Ancien Régime'u*” (Fernand Braudel), w którym większość narodzonych dzieci umierała, przez warunki, w których większość dzieci osiąga dorosłość. Postępem jest też nowoczesne z ducha przekonanie o istnieniu praw jednostki, nawet takich, które mogą być wykorzystane przeciwko społeczności, w której ona żyje.

Taki pogląd na historię utrudnia wybór jakiegoś szczególnego zdarzenia-katastrofy, z którego wynika całe obecne zło. W pewnym sensie katastrofą jest cała historia, długie pasmo brutalności i szaleństwa, z rzadka przeplatane współczuciem i rozsądkiem. Pięknie i nie tak ostro ujął to Leopold von Ranke: „Każdy wiek jest tuż koło Boga” – czyli każdy wiek ma swoje wyzwania intelektualne i moralne, swoje katastrofy, a le i swoje odkrycia. Żyć odpowiedzialnie – to zrozumieć te wyzwania i stawić im czoła. Postawa taka nie wyklucza sympatii, czy nawet nostalgii za przeszłością. Wyklucza jednak uznanie przeszłości (lub może, dokładniej: pewnego konkretnego okresu przeszłości) za absolutny wzorzec wszelkich oświecień i może bez trudu współistnieć z najważniejszym doświadczeniem współczesności – doświadczeniem względności.

Konserwatyzm zarysowany na tyle ogólnie dałby się pogodzić z wieloma różnymi prądami konserwatywno-utopijnymi. W bliskim nam konserwatyźmie istnieje też jednak aspekt bardziej polityczny. Termin „konserwatyźm” stosuje się w tym przypadku dosłownie. Tu i teraz, w dzisiejszym świecie, uważamy za właściwe

bronie podstawowych instytucji społeczeństwa amerykańskiego. Chodzi tu o zespół instytucji, który można by z grubsza określić jako „kapitalizm demokratyczny”. Oczywiście, konserwatyzm polityczny tego rodzaju może współistnieć z postawą krytyczną – nawet bardzo krytyczną – wobec poszczególnych instytucji lub sposobu ich funkcjonowania. Nasza identyfikacja polityczna zakłada jednak wyższość moralną demokracji i kapitalizmu nad wszelkimi innymi możliwościami istniejącymi w Ameryce lub gdziekolwiek. Z tego przekonania wyciągamy cały szereg wniosków dotyczących polityki wewnętrznej i zagranicznej. Niektóre z nich odróżniają nas od środowiska liberałów, inne nie, a przynajmniej niekoniecznie. Natomiast tak zdefiniowany konserwatyzm polityczny oddziela nas zdecydowanie od świata lewicy (starej, nowej i wszystkich pośrednich).

Odchylenie lewicowe, które wystąpiło w latach 60-ych wśród amerykańskich intelektualistów i zakorzeniło się następnie w amerykańskich uczelniach, było szokiem dla nas jako nauczycieli akademickich o poglądach konserwatywnych. W tym właśnie, dość przecież ograniczonym sensie podziеляmy z neokonserwatystami poczucie katastrofy, które określa ich grupę. Ale nie oznacza to, że z nowojorskimi intelektualistami mamy też wspólne zaplecze ideologiczne. Nawet w okresie naszej aktywnej walki przeciwko wojnie wietnamskiej nie byliśmy lewicą, choć współpracowaliśmy z nią w ruchu antywojennym. „Liberałami” byliśmy wówczas jedynie w tym sensie, że przed końcem lat 60-ych odpowiadał nam profil polityczny Partii Demokratycznej.

Innymi słowy, nasze samookreślenie polityczne jest reakcją na orgię utępijnych mrzonek, która zajęła miejsce elitarnej kultury i liberalizmu politycznego. Pozostaliśmy przy swym zdaniu, gdy orgia wprowadziła nieco ucichła, ale mrzonki okrzepły w instytucjach w środowiskach decydujących o kulturze i polityce. Nic dziwnego, że najłatwiej jest nam porozumieć się z neokonserwatystami. Nie podziеляmy rzekomych pewników uznawanych przez inne grupy konserwatywne. Jeśli ktoś woli, jesteśmy konserwatystami nie z wiary, lecz przez sceptycyzm.

Przejdźmy teraz do bardziej szczegółowego przedstawienia naszych poglądów w trzech dziedzinach, w których ludzie będący

na prawo od centrum różnią się między sobą. Są to: moralność, religia i polityka.

Tradycjoniści wszelkiego rodzaju nie przestają powtarzać, że istnieją wartości absolutne. Nie mamy zamiaru spierać się z tym poglądem. Naszym zdaniem problem polega na tym, że nie bardzo wiadomo, jakie są to wartości absolutne. Nie jesteśmy w stanie – pozostając w granicach uczciwości – zaakceptować w całości żadnej określonej tradycji moralnej jako oczywistego przejawu woli Boskiej, prawa naturalnego, czy rozumu. Uważamy natomiast, że historia jest bezustannym odkrywaniem, zaciemnianiem i ponownym wyjawianiem intuicji moralnych. Niektórych jesteśmy pewni – tego na przykład, że jednostka ludzka ma wartość nieskończoną, a działania i instytucje, które temu zaprzeczają, są moralnie odrażające. Mimo tego nie jesteśmy w stanie bez zastrzeżeń przyjąć żadnej określonej tradycji niosącej ze sobą to przekonanie. Nie jest to ani przejawem „utilitaryzmu”, ani też apodyktycznej pewności, którą tak lubią manifestować tradycjoniści. Napiwszy się ze źródła relatywizmu, nie potrafimy już udawać, że tego nie uczyniliśmy.

Jest to więc postawa bardziej negatywna niż pozytywna; wynikają z niej raczej zakazy niż nakazy. Nie wyklucza ona ostrych sądów moralnych, ale nie godzi się na bezwarunkową akceptację żadnej rzeczywistości (a tym samym uwarunkowanej historycznie i społecznie) instytucji. Na poziomie praktycznym, człowiek o tej postawie interesuje się bardziej skutkami działań niż zasadami.

W swym klasycznym esej „Polityka jako powołanie”<sup>\*</sup> Max Weber odróżnia ctykę przekonań (*Gesinnungsethik*) od etyki odpowiedzialności (*Verantwortungsethik*). Zwolennik pierwszej instynktownie niemal przyrównuje każdą konkretną sytuację do niezmiennego i nieomylnego zbioru wartości, po czym działa zgodnie z nimi, bez względu na konsekwencje (*fiat iustitia, pereat mundus* – niech dzieje się sprawiedliwość, nawet gdyby miał zginąć świat). Tradycjoniści inteligentni i współczujący potrafią, oczywiście, co jakiś czas zdusić w sobie ten instynkt, pozostaje on jednak zasadą ich działania. Natomiast „ctyka odpowiedzialno-

<sup>\*</sup> Wyd. polskie w: Max Weber, *Polityka jako zawód i powołanie*, Biblioteka Kwartalnika Politycznego „Krytyka”, Warszawa 1987 (przyp. red.).

ści", to bezustanne kalkulowanie, porównywanie skutków różnych działań (zamierzonych i dających się wyobrazić – niezamierzonych), skłonność do kompromisu z mniejszym złem, choćby za cenę moralnego zła. Dobrze określił to stanowisko Mark Twain: „Jeśli nie wiesz, co robić, czyń to, co słuszne”.

Weźmy na przykład sprawy, co do których większość konserwatystów jest zgodna: moralna odraza do komunizmu i moralna problematyczność zachodniego „państwa dobrobytu”. Zwolennik etyki przekonań odrzuci bezapelacyjnie pierwszy i będzie skłonny do całkowitego zdemontowania drugiego. Natomiast etyka odpowiedzialności będzie zalecała dużą ostrożność, gdy chodzi o „państwo dobrobytu”.

Dlatego też, choć nie mamy złudzeń co do moralnego charakteru rządów komunistycznych w Chinach, jako zwolennicy etyki odpowiedzialności popieraliśmy amerykańskie zbliżenie z Chinami ze względu na jego konsekwencje dla stosunków z o wiele groźniejszym Związkiem Radzieckim. Z podobnych przyczyn, choć jesteśmy głęboko sceptyczni co do rezultatów szwedzkiego modelu państwa dobrobytu – na przykład z powodu szkody jaką wyrządza indywidualnemu poczuciu odpowiedzialności – uważamy, że próby gwałtownego reformowania go wiązałyby się ze znacznymi kosztami ludzkimi i politycznymi i dlatego jesteśmy raczej zwolennikami stopniowego eksperymentowania z tym niezwykle złożonym układem instytucji.

Warto przy tym zauważyć, że tego rodzaju postawa moralna jest nie do pogodzenia z żadnym absolutyzmem, ani lewicowym, ani prawicowym. Przyjmuje ona bowiem, że celem polityki nie jest zbawienie ludzi, lecz osiągnięcie pewnych celów dotyczących świata ludzkiego, celów z konieczności ograniczonych.

I tak, mówiąc o zbawieniu, zbliżyliśmy się do sprawy religii. Uważamy, że tradycjoniści mają słuszość uważając sprawy religijne za podstawowy składnik postawy politycznej człowieka. Mylą się jednak głęboko sądząc, że chodzi przede wszystkim o różnicę między wiarą i niewiarą. Owszem, ateizm i agnostycyzm istnieją i odgrywają dużą rolę w życiu politycznym współczesnego świata. Dla dzisiejszej Ameryki jednak – a jest ona według wszelkich dowodów najbardziej religijnym krajem wśród wysoko roz-

winiętych – ważne jest przede wszystkim to, jaki rodzaj religijności wnosi się z sobą do polityki.

Naszą religią jest luteranizm w jego liberalnej odmianie. Termin „liberalny” odnosi się w tym przypadku nie do polityki lecz do teologii, do tego nurtu współczesnej myśli protestanckiej, który od czasów Friedricha Schleiermachera stosuje metodę historyczną do badania tradycji chrześcijańskiej). Dwa podstawowe dla tego wyznania dogmaty mają olbrzymie znaczenie dla spraw, które tu rozważamy.

Ze wszystkich wyznań chrześcijańskich luteranizm jest chyba najbardziej konsekwentnie antyutopijny. Jego niechęć do wszelkich perfekcjonistycznych projektów wynika z dwóch podstawowych założeń: z przekonania, że zbawienie jest rezultatem wiary, a nie wysiłków jednostki oraz z jego doktryny dwóch królestw. Najistotniejszym elementem rebelii Lutera przeciwko Rzymowi była jego koncepcja zbawienia, które jest wyłącznie następstwem Bożej łaski; człowiek może jedynie przyjąć ją z wiarą. Łaska nie jest rezultatem wysiłków człowieka dążącego do czystości. Z przekonania tego wynika cała luterska etyka: realistyczna, nieradykalna, świadoma faktu, że życie moralne na tym padole jest zawsze dwuznaczne, a człowiekowi pozostaje jedynie czynienie swych powinności i wiara w Boże miłosierdzie.

Taka orientacja etyczna wyklucza przyjęcie jakiegokolwiek opancerzonego zbioru wartości. Prowadzi natomiast prosto do weberowskiej etyki odpowiedzialności (Weber był agnostykiem, ale można go nazwać „kulturalnym luteraninem”). Zaś doktryna dwóch królestw – łaski i prawa – stwierdza, że ten świat, razem z jego polityką, nie jest miejscem do realizowania przez człowieka celów ostatecznych. Gdy wypełni się czas, nastanie królestwo Boże na ziemi – zanim zaś to nastąpi, człowiek powinien jedynie strzec pewnych podstawowych zasad sprawiedliwości, która i tak pozostanie zawsze niepełna i skażona.

Przekonania te mogą brzmieć obco dla ludzi o innej tradycji religijnej. Naprawdę ostatnią rzeczą, na której nam zależy, jest propaganda na rzecz luteranizmu. Wydaje się nam natomiast, że inne wyznania chrześcijańskie – katolickie, anglikańskie, kalwińskie, prawosławne – również zawierają podstawowe elementy przeciwne dogmatyzmowi moralnemu i politycznemu perfekcjoniz-

mowi (choć wiemy oczywiście, że w etyce chrześcijańskiej obecny jest także wątek millenarystyczny). Judaizm również ma silne zabezpieczenia przeciwko absolutyzmowi i utopizmowi politycznemu. W końcu przecież Żydów od chrześcijan oddzieliło przekonanie, iż Mesjasz jeszcze nie przyszedł i dopóki Żydzi pozostają bliś o owej tradycji religijnej, dopóty religia skłania ich (z pewnymi wyjątkami – na przykład sabataizmu<sup>3</sup>) do bardzo trzeźwych poglądów na możliwości polityki.

Z pewnością odrzucimy wszelką sugestię, że nasza własna postawa polityczna rozeszła się z religią. Przeciwnie – uważamy, że do działalności politycznej upoważnia nas nasze chrześcijańskie poczucie odpowiedzialności wobec świata. Uważamy, że być obywatelem, to wypełniać powołanie wypływające z wiary. Spełnianie go bywa zakłócone, gdy etyka i postawa polityczna jednostki nie uwzględniają skutków jej działań. Najważniejszym społecznym przykazaniem jest miłość bliźniego – rozumiemy, iż dotyczy ono tych wszystkich, którzy pozostają w zasięgu naszego działania. „Etyka odpowiedzialności” przedkłada zainteresowanie sytuacją bliźnich nad troskę o własną duchową lub moralną doskonałość. Współczesne doświadczenie względności i współczesną postawę pragmatyczną często przypisuje się ludziom niereligijnym; godzą się one doskonale z naszym *religijnym* rozumieniem istoty świata i naszym pojmowaniem moralnych obowiązków chrześcijanina. Natomiast absolutyzm moralny, uznawany przez większość tradycyjnych konserwatystów, uważamy za nieefektywny politycznie i – co ważniejsze – za oparty na fundamentalnym błędzie teologicznym, który Luter pejoratywnie nazwał „cnotą pracy nad sobą”.

Wreszcie, istnieje też problem sojuszy politycznych. Inaczej przedstawia się on w przypadku spraw zagranicznych a inaczej w odniesieniu do spraw wewnętrznych. Uważamy, że jednym z najważniejszych zadań politycznych i moralnych naszego czasu jest walka z zagrożeniem wolności. Na arenie międzynarodowej walka ta oznacza przede wszystkim opór wobec totalitaryzmu sowieckiego. Gorzkie doświadczenia (szczególnie z czasów anty-

<sup>3</sup> Sekta założona przez mistyka-kabalistę Sabataja Cwi (1626-1676), który uznał się za Mesjasza (przyp. red.).

wojennego zaangażowania na przełomie lat 60-ych i 70-ych) nauczyły nas, że nie wolno wchodzić w alianse polityczne z tymi, którzy – w imię czegokolwiek – bronią totalitaryzmu lub zaprzeczają jego oczywistym cechom.

Mówiąc prościej, na arenie międzynarodowej sprawa walki o wolność i dobre obyczaje w stosunkach między społeczeństwami (bardziej niż między państwami) dzieli przede wszystkim demokratów i antydemokratów. Ponieważ stawka jest wysoka, uważamy za dopuszczalne sojusze z tymi wszystkimi, którzy stoją po stronie demokratycznej. Dotyczy to w sposób oczywisty rozległego, luźnego obozu socjaldemokratów, z którymi możemy się nie zgadzać w wielu kwestiach, rozumieją jednak oni, że największe zagrożenie płynie ze strony totalitaryzmu. Odrzucać natomiast należy sojusz z tymi wszystkimi, którzy są po stronie antydemokratycznej lub lekceważą ten podział. Niestety, taka jest właśnie większość lewicy, w tym także zatrważająco wielka liczba ludzi uważających się za liberalów.

W sprawach wewnętrznych jesteśmy mniej rygorystyczni. W Ameryce, jak i w innych krajach demokratycznych, główny podział przebiega przez centrum i dzieli lewicę od prawicy. Przedmiotem sporów jest rodzaj, zasięg i sposób realizacji zabezpieczeń społecznych różnego rodzaju. Nie uważamy, że waga moralna tych spraw jest równa moralnemu znaczeniu walki z totalitaryzmem. Uważamy, że w sprawach wewnętrznych dopuszczalne są wszelkie sojusze, jakie możliwe są na amerykańskiej scenie politycznej. Dlatego nie czujemy się dobrze, gdy grupy prawicowe wykazują w swej walce politycznej ten rodzaj zasadniczości, który pasuje raczej do spraw zagranicznych.

W obu tych dziedzinach – zagranicznej i wewnętrznej – łatwiej nam porozumieć się z neokonserwatystami niż z konserwatystami innych rodzajów. Sądzymy, że schyłek okresu Reagana postawił przed konserwatystami trudny problem. Mogą oni bowiem powrócić do statusu sekty ideologicznej, bezładnej grupy ludzi, którzy zgadzają się ze wszystkim, gratulują sobie wzajemnie moralnej doskonałości i są politycznie bez znaczenia. Ale mogą też zacząć budować na zwycięstwach ostatnich lat i przekształcić reaganowską koalicję – wciąż jeszcze słabą – w trwały element amerykańskiej polityki. Nie trudno wliczyć wiele waż-

nych problemów zagranicznych i wewnętrznych, co do których nie ma sporu w ramach tej koalicji. Tam, gdzie jest różnica zdań, zawsze można zawrzeć kompromis lub zmienić stanowisko – takie zmiany są w ustroju demokratycznym nieodłączną cechą polityki.

Sądźmy, że dzisiejszy konserwatyzm amerykański nie może sobie pozwolić na sekciarstwo i że intelektualści konserwatywni powinni to zrozumieć. Pójdziemy o krok dalej stwierdzając, że wyzwania współczesności są tak wielkie, iż sekciarstwo wśród konserwatystów byłoby postawą moralnie nieodpowiedzialną.

Brigitte Berger, Peter L. Berger

Tłum.: Marek Tabin

NAKŁADEM ANEKSU

Tadeusz Nyczek

## EMIGRANCI

W TOMIE: Bach na dachu Łubianki (Aleksander Wat);  
Od egzystencji do esencji (Jan Kott); Obrona tradycji  
(Sławomir Mrożek); Kot w mokrym ogrodzie  
(Adam Zagajewski); Strony obcości (Stanisław Barańczak).  
Str. 152 Cena: £4,00 – \$10,00

Stanisław Barańczak

## PRZED I PO

Szkice o poezji krajowej  
przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych  
Str. 176 Cena: £4,00 – \$10,00

Stanisław Nowicki

## PÓŁ WIEKU CZYŚCA

ROZMOWY Z TADEUSZEM KONWICKIM  
ROZDZIAŁY: Dolina – Wileńska wojna – Nowe życie –  
Narkotyk filmu – Świat zdegradowany – Kobieta i mę: czyzna  
– Gry i determinacje – Buchalteria niezak:żności – Pasja i męka  
Str. 248 + zdjęcia cena: £6,00 – \$13,50



## **Prymas Polski i jego doradcy**

*W warunkach sprawowania przez komunistów pełnej kontroli nad życiem politycznym Kościół był poza i ponad polityką, walcząc o prawa jednostki i narodu, również o prawo społeczeństwa do posiadania własnej, demokratycznej polityki. W sytuacji obecnych zmian narasta, jak się wydaje, presja i silniejsza staje się pokusa w części Kościoła, by bardziej aktywnie wpływać na sferę polityki. Kampania wyborcza ukazała pewne dylematy i możliwe pułapki nowej sytuacji.*

*Istotnym faktem było pojawienie się w czasie przygotowywania wyborów problemu przerywania ciąży. Przypomnijmy, iż kilkudziesięciu posłów poprzedniej kadencji wystąpiło z żądaniem anulowania ustawy o aborcji z 1956 roku; postulowali oni wprowadzenie zakazu przerywania ciąży, karanie lekarzy nie przestrzegających zakazu oraz kobiet poddających się zabiegom.*

*Nie ulega wątpliwości, iż temat ten został z pełną świadomością wprowadzony do kampanii wyborczej. Zarówno walczące o przetrwanie grupy katolików przyrządowych (PAX, PZKS, ChSS), jak i ludzie władzy, pragnęli udramatyzować istniejące w społeczeństwie różnice poglądów na temat aborcji, osłabiając w ten sposób wagę konfliktów politycznych, przeciwstawiających władze społeczeństwu.*

*Prymas Polski kardynał Józef Glemp opowiedział się za tymi kandydatami na posłów i senatorów, którzy są przeciwni przerywaniu ciąży. Następnie jednak wystąpił przeciwko wykorzystywaniu tego problemu w sferze politycznej. Wizja społeczeństwa podzielonego ze względu na stosunek do moralnego rygoryzmu uzbrojonego w kodeks karny musiała budzić niepokój.*

*Znaczącym faktem o innym zupełnie wymiarze było przyjęcie przez Prymasa w przededniu wyborów dwóch niezależnych i niewątpliwie zasłużonych kandydatów na posłów – Władysława Sity-Nowickiego i Kazimierza Świtonia – którzy należą do inicjatorów odbudowania chrześcijańsko-demokratycznej Partii Pracy. W sposób pośredni, ale i spektakularny przywódca Kościoła polskiego udzielił poparcia osobom, które wystąpiły przeciwko kandydatom „Solidarności” i bliskim doradcom Lecha Wałęsy: Jackowi Kuroniowi i Adamowi Michnikowi. Było to również publiczne votum nieufności wobec czołowych postaci liberalno-lewicowego nurtu opozycji. Gest znaczący, otwarte opowiedzenie się na rzecz pewnych polskich tradycji ideowych i politycznych, i przeciwko innym. Wyborcy nie poszli za wskazaniem Księdza Prymasa.*

*Publikowane poniżej uwagi Prymasa o projekcie dokumentu Prymasowskiej Rady Społecznej – którego tekstu niestety nie posiadamy – na temat „Poszanowania światopoglądów w państwie i społeczeństwie” przybliżają nam jego pojmowanie tolerancji, demokracji, miejsca Kościoła w państwie współczesnym.*

*Temu samemu dokumentowi poświęcone jest również oświadczenie profesora Macieja Giertycha, sekretarza Rady Prymasowskiej.*

*Książka Andrzeja Micewskiego o stosunkach między Kościołem a „Solidarnością” doczekała się w prasie katolickiej i w publikacjach „drugiego obiegu” szeregu krytycznych ocen. Powracamy do niej publikując uwagi Wiktora Kulerskiego.*

*Byłoby oczywiście nadużyciem indentyfikowanie opinii Macieja Giertycha czy Andrzeja Micewskiego z poglądami Księdza Prymasa. Obaj jednak zdają się być jego bliskimi doradcami, ich poglądy świadczą więc o intelektualnej atmosferze, w jakiej formują się opinie Prymasa Polski.*

---

*Zróżnicowanie stanowisk wśród członków hierarchii kościelnej w sprawach społecznych i politycznych, również co do roli i miejsca Kościoła w państwie i społeczeństwie, to temat ważny i pasjonujący. Prestiż funkcji, miejsce historycznie zajmowane w życiu narodu, każe szczególnie uważnie przysłuchiwać się słowom Prymasa.*

A. S.

**Prymas Polski**

**Uwagi o projekcie dokumentu  
Prymasowskiej Rady Społecznej na temat:  
„Poszanowanie światopoglądów  
w państwie i społeczeństwie”  
z dnia 6 czerwca 1988**

Dokument zawiera cały szereg dobrych i potrzebnych sformułowań – krytycznych odnośnie do niesprawiedliwych poczynań państwa socjalistycznego wobec obywateli wierzących i wobec szkoły. Są to jednak tylko fragmenty dokumentu. Całość jednak opracowania w stanie z 6 VI 1988 nie może być przyjęta.

1. Sformułowanie tematu. Podczas prezentacji tematów uważałem za słuszne napiętnować działania, jakie Partia, posługując się administracją państwową, wywiera na społeczeństwo, zwłaszcza w dziedzinie wychowania i kształcenia, przez narzucanie ideologii marksistowskiej, czyli „światopoglądu naukowego”. Takie działanie narusza prawa wierzących, których reprezentuje Kościół katolicki.

Tymczasem temat opracowania nie podjął obrony Kościoła wobec ateizmu państwowego, ale wybrał poszanowanie świato-

poglądów, a więc ustawiając religię i Kościół w szeregu światopoglądów, zgłaszając przy tym postulaty nie tylko do państwa, ale i do społeczeństwa. Takie sformułowanie tematu wprowadziło autorów opracowania na pozycje laicystyczno-zachodnie i oderwało od rzeczywistości polskiej, zmuszając do zajęcia się sprawami Kościoła marginesowo.

Punktem wyjścia do tych rozważań jest założenie, że społeczeństwo polskie składa się z wielu wyznań i światopoglądów, zaś katolicy stanowią jedną z wielu mniejszości.

2. Prawdopodobnie wizja amerykańskiego modelu poszanowania religii spowodowała opuszczenie w opracowaniu pojęcia narodu. Pojęcie narodu przy tym temacie jest bardzo ważne – i to nie tylko w ujęciu, jakim posługują się narodowi demokraci, ale jako wierność nauczaniu kardynała prymasa Wyszyńskiego. Naród jako ochrzczony, a więc przeniknięty Kościołem, oparł się skutecznie naciskowi ideologii komunistycznej. Właśnie taki naród ma prawo domagać się takich struktur państwa, które uwzględnią jego charakter i aspiracje. Żądanie neutralizacji niektórych instytucji jest żądaniem na tym etapie, nie możemy bowiem zakładać, że neutralność będzie w przyszłości odpowiadać postawom narodu.

Na te prawdy o narodzie ochrzczonym nie można kategorycznie ożegnąć się od pojęcia „Polak-katolik”. W ośmieszeniu tego wyrażenia celują *Argumenty*. Naturalnie, że nie można tego pojęcia absolutyzować, należy je dobrze współcześnie zrozumieć, a żadną miarą nie można przerzucać oddzielania Polaka od katolika na dziedzinę walki klasowej. Prawdziwy Polak będzie zawsze w jakimś sensie katolikiem, odnajdzie związki z Kościołem – tak jest w wypadku dzisiejszych naszych przywódców partyjnych. Jeśli nie są cynikami, to pozostał w nich albo sentyment, albo respekt dla Kościoła.

Wśród licznych ambasadorów PRL, ja'ich spotkałem, jeden przedstawił mi siostrzenicę, należącą do ruchu oaz. Powiedział, że on sam, niestety, nie jest taki porządny. Jest to przekonanie dość powszechne wśród uczciwych partyjnych – wiedzą, który jest nasz Kościół. Jakże dotknięci musieliby się poczuć Polacy w PRL, gdyby ich wiarę oddzielić od Kościoła katolickiego! Od pojęcia Polak-katolik jest jeden wyjątek: Polak-Żyd.

Polak-katolik nie jest stereotypem, jest cechą, która charakteryzuje większość Polaków na przestrzeni dziejów a także obecnie. Dużo Polaków zostało dziś objętych obojętnością religijną lub ignorancją religijną, jednak właśnie ci, z okazji „Mszy za Ojczyznę” udowadniają swoją identyfikację z katolicyzmem. Wizyty Ojca świętego także potwierdziły prawdziwość tej charakterystyki Polaków.

Tolerancja jest innym zagadnieniem. Tolerancja jest rezultatem wychowania i kultury i nie powinno się jej mieszać do sporów o prawa religii i Kościoła w Państwie.

Patrzanie na wzorce innych, zwłaszcza USA, może naprowadzać na błędne wnioski. Obywatele USA nie stanowią narodu. Nie są narodem Kanadyjczycy i Australijczycy. Nawet Anglicy, wychowani we wspólnocie Brytyjskiej, nie są narodem w tym sensie, w jakim my rozumiemy naród Polski, a więc nie identyfikują się z państwem.

3. Następnym elementem, który budzi zastrzeżenia a nawet sprzeciw, a na którym autorzy opracowania opierają tok swego dowodzenia jest pojęcie „wolności sumienia i wyznania”, bez definicji, co rozumieją pod tym wyrażeniem.

„Wolność sumienia i wyznania” jest pojęciem, którego używają współczesne konstytucje, a którym nie posługuje się nauka kościelna. Kościół mówi o wolności religijnej, i wolność religijna należy do praw ludzkich, a nie wolność sumienia i wyznania.

„Wolność sumienia i wyznania” jest sztandarowym hasłem państw socjalistycznych i służy do zwalczania religii. Wolność sumienia oznacza po prostu ateizm i prawo propagowania ateizmu, natomiast wolność wyznania oznacza wybór wśród wyznań i światopoglądów, ale bez możliwości ich propagowania.

Wobec różnych interpretacji tego wyrażenia używanie go w dokumencie Prymasowskiej Rady Społecznej jest niepożądane.

4. Podobne zastrzeżenia budzi na str. 3 (punkt 2) sprecyzowanie znaczenia „prywatności” religii i prawa do jej zamilczenia. Nie wiem, skąd się mogło wziąć „prawo do nieujawniania przekonań”. Po to Kościół bierzmuje wiernych, aby mężnie i zawsze wyznawali swoje przekonania religijne. Zamilczenie może być równe zaparciu – a to już grzech. Religia nie jest sprawą prywatną w żadnym sensie, jak chcą tego komuniści, w znaczeniu pozbawie-

nia jej wymiaru społecznego i publicznego, ale jest sprawą *osobistą*, która z istoty swojej staje się społeczną, bo chrzest włącza we wspólnotę Kościoła. Ciekawe, że na str. 8 tego opracowania umieszczono zdanie: „Nie będzie dla młodzieży wiarygodny ten, o którym wiadomo, że *ukrywa* swój prawdziwy światopogląd lub inne przekonania”.

5. Może zadziwiać, że opracowanie zrównując religię ze światopoglądami tak łatwo występuje w imieniu wszystkich wyznań. Na str. 3 czytamy: „W wymiarze społecznym wolność sumienia i wyznania oznacza swobodę działalności duszpasterskiej i kultowej wszystkich wyznań”. Naprawdę – to trudne do przyjęcia. Niektóre z wyznań np. Kościół polsko-katolicki lub prawosławny takiego wstawiennictwa sobie nie życzą. Czy tu także idzie o działalność Świadków Jehowy, o praktyki kultów wschodnich, o satanistów?

6. Nie można się zgodzić z twierdzeniem, że właściwe zrozumienie prawa do tej wolności doprowadziło w większości krajów Europy i świata do koncepcji państwa niewyznaniowego (zwanego świeckim lub laickim) (str. 4). Na str. 3 twierdzi się, że neutralność światopoglądowa państwa – to nowoczesność organizmu państwowego. Nawet gdyby faktycznie tak przedstawiał się świat, to ze strony Kościoła nie można aprobować państwa laickiego, jako nowoczesnego a więc idealnego. Faktycznie jednak tak nie jest. Większość państw świata nie ma charakteru laickiego. W Europie poza krajami ateistycznymi socjalizmu państwem laickim jest właściwie tylko Francja. Wiele krajów nie przeprowadziło wcale rozdziału Kościoła od państwa, np. państwa skandynawskie i wszędzie tam, gdzie jedno wyznanie jest dominujące. Państwa mahometańskie, nawet o typie socjalistycznym, są wyznaniowe (np. Algieria). Wyjątek stanowi Turcja. Można powiedzieć, że zachodnie demokracje zeświecczały, ale nie można powiedzieć, że są laickie. Rozdział Kościoła od państwa w Brazylii jest tylko teoretyczny. Gdy idzie natomiast o USA i Kanadę, to neutralność wyznaniowa, podyktowana wielością wspólnot wyznaniowych, odnosi się do Kościołów a nie do religii jako takiej. We wszystkich ważniejszych aktach publicznych państwowych wymieniany jest Bóg i uznawana jest modlitwa jako zwracanie się do Boga.

7. Pod koniec str. 5 i na początku str. 6 przyjmuje się jako pozytywne pojęcie „państwa niewyznaniowego”. Wydaje się, że lepiej unikać takiej personifikacji państwa. Lepiej mówić o Konstytucji uznającej lub nie uznającej wyznania. Natomiast państwo powinno być demokratyczne i uznawać wolę większości narodu. Demokracja na tym polega, że uznaje wolę większości, pozostawiając mniejszości możliwość starania się o zdobycie większości. Państwo demokratyczne może rozwiązać swój stosunek do Kościoła przez rozdział, to znaczy uznanie autonomii obydwóch społeczności w swoich dziedzinach, ale równocześnie przy ustaleniu linii współdziałania dla dobra wspólnego. Owe ustalenia, które mogą wyrażać się także w pomocy, nie należy odczytywać w kategorii przywilejów. Są to po prostu prawa wynikające z rozeznania realizacji dobra wspólnego.

Dziwię się, że w tym miejscu nie odwołano się do konstytucyjnej zasady rozdziału Kościoła od państwa. Zasada ta bardzo podnoszona jest w krajach socjalizmu, z odpowiednią interpretacją. Brzmi ona: rozdział Kościoła od państwa oznacza oddzielenie Kościoła od państwa, a nie państwa od Kościoła. W Polsce takiej interpretacji nie udało się w pełni przeprowadzić. Obecne prace nad normalizacją stosunków Kościół-państwo mają dać wykładnię tego, co nazywamy rozdziałem.

Z przykrością czyta się drugi ustęp strony 6, który poucza, że samo życie chrześcijańskie katolików winno doprowadzić do dominacji Ewangelii, a nie przywileje prawne. Czyżby zniesienie ustawy o przerywaniu ciąży, przyhamowanie rozwodów, zezwolenia na budowę obiektów kościelnych, odciążenie z podatków punktów katechetycznych i seminariów itd. można kwalifikować jako przywileje?

8. Na str. 2 czytamy: „Wytworzyła się sytuacja podobna do państwa wyznaniowego”. Nie, w państwie socjalistycznym, gdzie formalnie dominuje ideologia ateistyczna, nie ma podobieństwa do państwa wyznaniowego, bo w państwie wyznaniowym decyduje wyznanie większości, natomiast mniejszość ideologiczna w socjalizmie przypomina XVI-wieczną zasadę „cuius regio, eius religio”.

9. Zgodnie z tytułem tekst opracowania często mówi o równouprawnieniu wszystkich światopoglądów. Jeżeli ze światopogląd-



dów wyłączymy wyznania, reprezentowane przez Kościoły, a zwłaszcza przez Kościół katolicki, to tych światopoglądów tak dużo nie mamy. Właściwie pozostają na placu bezbożnicy (pospolici) i lewica laicka. Czy Kościół musi upominać się o prawa ateistów? A w ogóle to z lektury opracowania odnosi się wrażenie, że ateizm jest trwałym stanem części ludzkości i domaga się szacunku i ochrony. Nic bardziej fałszywego. Niewiara i ateizm są stanem nienormalnym człowieka, a tym bardziej społeczeństw, bo osadzonym w fałszu. Człowiek, a tym bardziej społeczeństwo bez Boga, stają się karykaturalni, bo oderwani od rzeczywistości Boga, który wyprzedza ich istnienie ziemskie i oczekuje po śmierci, a nadto jest gwarantem ich godności w życiu ziemskim. Nie wszyscy określający się jako niewierzący – takimi są. Prawdziwych niewierzących chrześcijanin winien szanować, kochać i nawrócić ich do Boga. Natomiast zorganizowanie niewierzących w instytucję światopoglądową nie może być przez Kościół popierane.

10. Nie wykluczając pluralizmu społecznego, Kościół jako najpełniej wyrażający uczucia Narodu, nie może zrezygnować z chrześcijańskiej wizji państwa i szkoły. Kościół wierzy głęboko, że zjawisko ateizmu, rozpowszechnione w drugiej połowie XX wieku, zostanie pokonane przez cywilizację miłości, jaka przez chrześcijaństwo będzie wypracowywana w przyszłych pokoleniach. Kościół w Polsce świadomy tej perspektywy podejmuje prace w Narodzie, by naród mógł stawiać się chrześcijańki i znajdować wyraz swojej duchowej postawy w stosunkach społecznych.

W tej chwili myślę, jak przyjęliby dokument Prymasowskiej Rady Społecznej „O poszanowaniu światopoglądów” wszyscy ci, a więc biskupi, kapłani, rodzice, młodzież, którzy nie tak dawno walczyli i ważyli o krzyże na ścianach szkolnych?

Rzym, 16 lipca 1988 r.

Józef Kardynał Glemp  
PRYMAS POLSKI

Maciej Giertych

## Oświadczenie

Moim zdaniem przedstawiony nam dokument pt. „Poszanowanie światopoglądów w państwie i społeczeństwie” jest w całości nie do przyjęcia i nie nadaje się do poprawiania. Spróbuję to uzasadnić.

1. Proponuje on zaniechanie modelu totalistycznego i zastąpienie go zachodnim liberalizmem w sferze wychowania, środków przekazu itd. Należy pamiętać, że zachodni liberalizm jest:

- a. materialistyczny, a do tego hedonistyczny,
- b. dał jak najgorsze rezultaty wychowawcze (areligijność, utrata busoli, rozpad rodziny, równouprawnienie zła, AIDS itd.),
- c. jest obcy naszej tradycji.

Stać nas na udoskonalenie modelu własnego, który nam odebrano i zastąpiono obcym. W Konstytucji 3 Maja pierwszy artykuł ustanawiał, że religią panującą *będzie wiara święta rzymsko-katolicka*. Konstytucja marcowa z 1921 zaczyna się od słów: *W Imię Boga Wszechmogącego!*. Artykuł 54 ustanawia, że Prezydent składa przysięgę zaczynając od słów: *Przysięgam Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedyńemu...*, a kończy słowami: *Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męka, Amen*. Składał tę przysięgę jeszcze Bierut.

2. Idealem proponowanym przez omawiany tekst jest *neutralność światopoglądowa, niewyznaniowość państwa*. Za postulatem neutralności światopoglądowej kryje się tzw. pluralizm etyczny, czyli równouprawnienie etyk.

a. Jest to model wolnomularski

b. Pluralizm etyk jest niemożliwy w jednym społeczeństwie – chyba że żyją w zupełnym apartaidzie. Życie zbiorowe zorganizowane musi być według jednej etyki i naszym zadaniem jest walczyć, by była to etyka katolicka. Nie istnieje nic takiego jak *etyka religijna* w ogóle.

c. Nie możemy przeczyć temu, co stwierdziliśmy w dokumencie o katolikach w życiu publicznym. W ostatnim zdaniu napisaliśmy: *Przemienianie świata, doczesnej rzeczywistości w duchu Ewangelii jest zadaniem, którego podjęcia nie można odmawiać*.

d. Wychowanie to przekazywanie wartości, w które się wierzy. Neutralnie wychowywać się nie da. Uczyć można neutralnie matematyki, z fizyką jest trudniej, a biologii się nie da, nie mówiąc już o historii czy literaturze.

3. Tekst odrzuca tolerancję płynącą z polskiej tradycji.

a. Obce wzory nie są nam potrzebne.

b. Historia uczy, że prawdziwa tolerancja jest możliwa tylko tam, gdzie władza kieruje się etyką katolicką.

c. Tolerancja wobec innowierców nie może oznaczać rezygnacji z własnych potrzeb religijnych. (Przed wojną w kwaterze żeńskiej ZHP dyskutowano czy usunąć *Zdrowaś Maryjo* z modlitwy na obozach, bo uczestniczą w nich protestantki, które tej modlitwy nie uznają. Polska tolerancja polega na pozwoleniu innowiercom modlić się po swojemu, ale nie na tym, by oni coś nam narzucali).

d. Równouprawnienie wyznań nie może polegać na tolerancji wobec wszystkiego (np. satanizmu).

e. Równość i neutralność wobec wszystkich jest nie do przyjęcia. Z innym szacunkiem odnosimy się do odważnego i tchórza, pracowitego i lenia, cnotliwej i ładacznicy. Na Zachodzie taką równość sobie wywalczono. Nam ona nie jest potrzebna.

f. W *Tygodniku Powszechnym* (13 XII 1987, nr 50 (2007) ks. Tischner w rozmowie z red. Turowiczem stawia śp. Prymasowi Wyszyńskiemu zarzut, że miał coś z *idei Polnka-katolika*. Przed-

stawiony nam tekst podobnie krytykuje tę ideę. Nie wstydzmy się naszego katolicyzmu.

Kto jak kto, ale Społeczna Rada Prymasowska winna stać na gruncie domagania się, by w Polsce życie zbiorowe było zorganizowane po katolicku.

Kórnik 17 V 1988

Prof. dr hab. Maciej Giertych

NAKŁADEM ANEKSU

Leszek Kołakowski

## GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

POWSTANIE-ROZWÓJ-ROZKŁAD

Drugie wydanie poprawione

Str. 1232

cena: £29,50 – \$59,00

Leszek Kołakowski

## JEŚLI BOGA NIE MA...

przekład autoryzowany

W TOMIE: O czym tu mowa; Bóg pokonanych przez życie; teodycea; Bóg rezonerów; Bóg mistyków. Eros i religia;

Sacrum i śmierć; Mówić o tym, co niewypowiadalne;

język i świętość. Potrzeba tabu; Konkluzja

Str. 160

cena: £4,00 – \$10,00

Leszek Kołakowski

## BAJKI RÓŻNE – OPOWIEŚCI BIBLIJNE

– ROZMOWY Z DIABŁEM

z ilustracjami ANDRZEJA DUDZIŃSKIEGO

Str. 262

cena: £7,00 – \$14,00

Leszek Kołakowski

## CZY DIABEŁ MOŻE BYĆ ZBAWIONY

I 27 INNYCH KAZAŃ

poświęconych kulturze, chrześcijaństwu, socjalizmowi i Polsce

Str. 338

cena: £7,50 – \$15,00

Wiktor Kulerski

## Troska nie od dzisiaj

Książka Andrzeja Micewskiego *Kościół wobec Solidarności i stanu wojennego* (Paris, Editions du Dialogue, 1987) doczekała się w obu najpoważniejszych krajowych tygodnikach katolickich obszernych, choć mocno ocenianych recenzji. Pisali o niej Maciej Kozłowski w *Tygodniku Powszechnym* z 12 czerwca 1988 („O Kościele i polityce raz jeszcze”); Aleksander Hall w *Przeglądzie Katolickim* z 17 lipca 1988 („Kościół wobec Solidarności”). Zgadając się z wieloma krytycznymi i zbieżnymi zresztą uwagami pozwolę sobie na wstępie do nich właśnie się odwołać.

Obaj recenzenci są zgodni co do trzech spraw podstawowej natury. Przede wszystkim sam Kościół został potraktowany przez Micewskiego nader selektywnie. Według Kozłowskiego autor książki „...ani jednym zdaniem nie wspomina o ogromnym ruchu, jakim w tym czasie stały się w całym kraju organizowane w setkach świątyń Dni czy Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej. Nie pisze o licznych spotkaniach, w ramach których ludzie gromadzili się dziesiątkami tysięcy, nie tylko by «słuchać słów prawdy», ale także – a może przede wszystkim – by być z sobą razem. Wielkimi dokonaniem Kościoła w tym czasie było zorganizowanie środowiskowych duszpasterstw, liczne inicjatywy samokształceniowe,

mecenat nad zagrożoną w samej swej istocie kulturą (...). I jeśli można mieć za złe różnym krytykom ich stanowisko wobec polskiego Kościoła i jego hierarchii, to nie tyle z uwagi na fakt politycznej oceny (...) co z racji braku osadzenia tych krytycznych uwag w szerokim kompleksie wielkiej społecznej pracy Kościoła, daleko ważniejszej niż doraźne polityczne interwencje czy akcje". Aleksander Hall dopowiada: "...bardzo istotnym ograniczeniem jest redukcja problematyki dotyczącej Kościoła: Andrzej Micewski koncentruje swoją uwagę na działaniach podejmowanych przez Episkopat Polski – w szczególności przez Księdza Prymasa i Sekretariat Episkopatu".

Na przedstawieniu Solidarności zaważyły uprzedzenia i stronniczość Micewskiego. Zdaniem Kozłowskiego „wobec «Solidarności» i związanych z nią ludzi jest Andrzej Micewski nad wyraz surowy, nieraz w swej surowości posuwając się poza granice przyjęte powszechnie w najbardziej nawet ostrej polemice (...) wszelkie działania «opozycji», jak konsekwentnie od 13 grudnia nazywa Micewski przywódców i sympatyków «Solidarności», zmierzające do odbudowy związku nazywa on «niepoważnymi», «nieprzemyślanymi» itd., zarzucając im, iż nie przyniosły zamierzonego skutku. Jednakże starania podejmowane przez hierarchię kościelną przeciw skutku również nie przyniosły i «Solidarność» ostatecznie została jako związek zlikwidowana". Podobne stanowisko reprezentuje Hall pisząc, iż "...pomyłką jest operowanie (...) schematem: dalekowzroczna, nacechowana odpowiedzialnością za naród postawa Kościoła – oraz ożywione może najlepszymi intencjami, ale beztrudnie, skłaniające się do postawy «wszystko albo nic» kierownictwo «Solidarności». Podobne zastrzeżenia budzi symetryczne niemal rozkładanie odpowiedzialności za pogłębienie kryzysu jesienią 1981 roku na władze i «Solidarność». (...) Oceny wystawiane przez Andrzeja Micewskiego mają jednak stanowczo zbyt powierzchowny charakter".

Wątpliwości obu recenzentów dotyczą również samego ujęcia tematu. Kozłowski stwierdza wprost, iż "...nie o analizę niedawnych wydarzeń chodzi, lecz o «danie odporu»..." Idzie za nim Hall pisząc: „Autor nadał swej pracy charakter obrony strategii narodowej realizowanej przez Episkopat Polski, w szczególności przez księdza Prymasa Józefa Glempa (...) naukanie książeczki charakteru

mowy obrończej zakończonej dramatycznym pytaniem: Czy Kościół był z narodem? (...) uważam za pomysł niezbyt szczęśliwy”.

Recenzenta z *Tygodnika Powszechnego* uderzył ponadto język Micewskiego. Zwraca uwagę na jego charakterystyczną „poetykę właściwą takim gatunkom piśmiennictwa, jak propagandowa ulotka czy wiecowa rezolucja”, na „znaną skądinąd frazeologię”, kiedy autor książki pisze np. o „jedynie słusznej linii” i „jedynie słusznej drodze polityki” Kościoła. Chyba retorycznie pyta także o wymieniane przez Micewskiego „sily tajemne i ukryte, które oczywiście istnieją na świecie”, a owe „różne sily polityczne przynoszące szkodę” i – jak wynika z kontekstów – niepolskie i niechrześcijańskie. A takimi, z lekka tylko zawoalowanymi adresami jest ona dosyć gęsto usiana.

Ważniejszymi są jednak inne zarzuty. Raz jeszcze oddajmy głos obu recenzentom. Oto uwagi Macieja Kozłowskiego: „Brak precyzji w formułowaniu sądów utrudnia, o ile wręcz nie uniemożliwia wszelką rzeczową dyskusję”; „Autor bowiem, obok cytowania wielu ważnych a nieznanych szerzej dokumentów, obok ciekawych spostrzeżeń i uwag o wydarzeniach, w których bądź sam uczestniczył, bądź obserwował je z bliska, nie stroni od powtarzania propagandowych sloganów, niewiele mających z rzeczywistością wspólnego”; „...dżentelmeni nie dyskutują o faktach. A te, jak choćby widać z omawianej tu książki, nadal stanowią często niewygodną materię zastępowaną sloganami”. Później Hall także napisał, że „...pozycja ułatwiła autorowi dostęp do ważnych źródeł i uczestników wydarzeń. Dzięki niej był nie tylko świadkiem, ale i uczestnikiem wielu spraw, o których pisze. Ale właśnie to usytuowanie stawia go w delikatnej sytuacji, nakłada na niego jako autora szczególną odpowiedzialność za sformułowania”.

W tym miejscu może nie dyskutując o faktach, należałoby jednak przedstawić tytułem przykładu jeden z nich, w kontekście relacji Micewskiego. Opisał, mianowicie, jak to „... w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku do Sekretariatu Episkopatu księdza biskupa Bronisława Dąbrowskiego zgłosili się przedstawiciele „Solidarności” Regionu Mazowsze. Widząc ruchy sił policyjnych obawiali się aresztowania działaczy Regionu Mazowsze. Biskup Dąbrowski postanowił interweniować telefonicznie u członka

Biura Politycznego sekretarza KC PZPR Kazimierza Barcikowskiego. Podniósł słuchawkę telefonu i stwierdził, że aparat jest głuchy, wyłączony. Biskup powiedział swoim gościom: „widzicie, panowie, że chodzi nie tylko o was, że sytuacja staje się bardzo poważna” (s. 67). Skąd tak absurdalna sytuacja: zastrachani działacze „Solidarności”, anonimowi do tego, skłaniają Sekretarza Episkopatu do natychmiastowej interwencji u Sekretarza Partii, przy czym odkrywa się нефункционowanie telefonu, oznaczające od razu ni mniej, ni więcej, jak tylko „bardzo poważną sytuację”?

Otóż, późnym popołudniem 12 grudnia ilość doniesień w najwyższym stopniu niepokojących oraz potwierdzeń wiadomości wcześniejszych, napływających do Zarządu Regionu Mazowsze osiągnęła kulminację. Oprócz informacji o wyruszeniu kolumn wojska i policji z miejsc stacjonowania, o nagłym, przymusowym poborze, mającym charakter branki do pomocniczych formacji policyjnych oraz wiadomości o rozdaniu broni funkcjonariuszom partyjnym, nadeszła chyba najważniejsza wówczas wiadomość o scenariuszu partyjnej manifestacji planowanej na 15 grudnia przed Politechniką Warszawską. Miały na nią napaść uzbrojone w kastety, pałki i łańcuchy grupy ucharakteryzowane na bojówki „Solidarności”. Rozgromienie manifestacji miało przynieść ofiary śmiertelne wśród jej uczestników. Wyselekcjonowani funkcjonariusze partyjni otrzymali zakaz udziału w manifestacji. Bezpośrednim następstwem jej prowokacyjnego, krwawego rozgromienia miał być odwet na „Solidarności”. Czołowi działacze Regionu – Zbigniew Bujak, Seweryn Jaworski, Henryk Wujec, Zbigniew Romaszewski, Janusz Onyszkiewicz przebywali w Gdańsku na posiedzeniu Komisji Krajowej. W tej sytuacji, po zamówieniu rozmowy telefonicznej z Gdańskiem napisałem odręczny list do ks. Prymasa informujący o przygotowywanej prowokacji. Z listem tym został skierowany do Kurii któryś z dyżurujących w siedzibie Zarządu działaczy, z poleceniem jak najszybszego doręczenia pisma do rąk własnych ks. Prymasowi, a w ostatecznym przypadku ks. Biskupowi Sekretarzowi Episkopatu. Nieco później w rozmowie telefonicznej został poinformowany o tym wszystkim Zbigniew Bujak. Następnie zdążyło nadejść potwierdzenie zwrotne, że list z powodu niemożności skontaktowania się z ks. Prymasem, został doręczony ks. biskupowi Bronisławowi Dąb-



rowskiemu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Micewski do swojego opisu wykorzystał właśnie ten fakt. A jeśli tak jest w 'stocie i jeśli autor książki w podobny sposób poczynił sobie z innymi przedstawionymi w niej faktami, to zaiste świętą rację ma Maciej Kozłowski pisząc: „...przyszli historycy – jeżeli oczywiście będą to historycy, a nie działacze frontu ideologicznego działający na «odcinku historii» – będą chcieli znać fakty. Zapewne więc sięgną po książkę *Kościół wobec Solidarności i stanu wojennego* jako po jedno z istotnych źródeł. Zalecałbym jednak w takim przypadku ostrożność”.

Przy lekturze książki Micewskiego nasuwa się jednak szereg jeszcze innych ważnych pytań. Skoro „...głos Kościoła współbrzmiał z najgorętszymi pragnieniami Polaków”, skoro społeczeństwo „rozumiało jego intencje dobrze” do tego „wsluchując się w głos Episkopatu z uwagą i zrozumieniem”, to co w takim razie dawało asumpt do wątpliwości, krytyki „chwilami ostrej i nielojalnej” (s. 11) i więcej nawet, bo do „niegodnych pomówień i kampanii prasowej” (s. 268). Jeśli „Kościół nie musi się bronić”, bowiem „przemawiają za niego fakty, dziesiątki kazań i homilii Prymasa i Biskupów, wielka ilość pism i memoriałów wysyłanych do rządu, niezliczone interwencje i postulaty zgłaszane przez Prymasa, Sekretarza Episkopatu i przedstawicieli Kościoła w Komisji Wspólnej z rządem” (s. 18), to skąd, po co i dlaczego wytaczanie takiej armaty. Uważna lektura bynajmniej nie rozwiewa wątpliwości, a tylko rodzi następne.

Niezorientowany czytelnik może za dobrą monetę przyjąć przesadę Micewskiego, kiedy pisze o „kampanii antykościelnej” na łamach *Kultury* paryskiej, o nie tylko „szemraniach”, ale „nawet intrygach” ze strony „opozycji politycznej” wynikających jakoby z faktu, że Kościół „nie zgodził się być instrumentem polityki i polityków. Gdy zaś część z nich zawiodła się w swoich rachubach, gdy po prostu poniosła klęskę, chciała naturalnie zdobyć dla siebie tarczę Kościoła i przy jego pomocy odzyskać to, co zostało lekkomyślnie stracone” (s. 17). Autor jednak na tym nie poprzestaje. Okazuje się, że „doradcy katolicki zostali zaangażowani w prace Związku bez dostatecznego wyposażenia w mandat Episkopatu, raczej na zasadzie swego prestiżu osobistego. Wreszcie jeszcze inni doradcy katolicki, działający od początku, już w czasie

strajku w stoczni, choć byli lojalni wobec Kościoła, działali na własną rękę, bardziej pod wpływem wewnętrznych układów w Związku niż sugestii Episkopatu" (s. 237). Oto na spotkaniu Prymasa z premierem i przewodniczącym Związku nie udało się podpisać projektowanej deklaracji, bowiem „Prymas był bezsilny, skoro nawet katolicy doradcy «Solidarności» byli jej przeciwni" (s. 55). Czy naprawdę do kategorii opozycji politycznej i przegranych polityków kwalifikuje się Prymasowska Rada Społeczna nastrojona tak entuzjastycznie wobec „Solidarności”, że aż niedocenająca ani ks. Prymasa, ani Andrzeja Micewskiego (s. 61/62). A przecież to nie wszystko. Na spotkaniu ks. Prymasa z duchowieństwem 7 i 8 grudnia 1982 r. padły pod Jego adresem tak liczne zarzuty o zbyt daleko idące kompromisy, odstępstwa od linii Ojca świętego, utratę wiarygodności a nawet kolaborację, że Prymas musiał okazać „wielkie opanowanie”, odpierać zarzuty, wyrażać zadowolenie ze szczerości księży i kończyć tonami pojednawczymi. Zarzuty były jakoby „suflowane” duchowieństwu przez „koła liberalne” (s. 141). Jak wreszcie na tym tle rozumieć dwa inne, nader dyplomatycznie potraktowane fragmenty książki dotyczące spotkań Prymasa z Ojcem świętym. Oto 23 kwietnia 1982 r. „Papież zwracał uwagę na znaczenie «Solidarności» w historii ruchu zawodowego. Mówił, że obraz robotników modlących się w stoczni był szokiem dla zachodniego świata prac”. Podkreślał międzynarodowe znaczenie «Solidarności». Podzielając te opinie ksiądz Prymas Glemp wskazywał na szybki rozwój związków, który spowodował ich dominację przez różne siły polityczne” (s. 119). 3 lipca 1983 r. „Ojciec święty podkreślił, że nie daje biskupom żadnych instrukcji, bo Episkopat jest dojrzały i nie da się wciągnąć w żadną politykę ani odciągnąć od ludu (...). Na koniec Ojciec święty raz jeszcze zwrócił uwagę na konieczność liczenia się z nastrojami społecznymi i łączności Kościoła z narodem”, co Micewski natychmiast skomentował dodając, że „postulat ten jest równie niewątpliwy, co trudny do przełożenia na język praktyki” (s. 194/195).

Jeśli krytyka, szemranie, a co najmniej wątpliwości rodziły się, jak widać, nie tylko wśród opozycji politycznej i zawieszonych polityków, ale znajdowały odbicie także wśród elity laikatatu a nawet wśród księży, to czyżby tylko w wyniku „suflowania”?

Czyżby środowiska te zasługiwały naprawdę na aż tak niską, by nie rzec – kompromitującą i dyskwalifikującą ocenę, nie potrafiąc słuchać i rozumieć choćby tylko tak, jak reszta społeczeństwa? Inne fragmenty książki nie wydają się potwierdzać takich przypuszczeń.

13 grudnia 1981 r. ks. Prymas wygłosił kazanie w kościele M.B. Łaskawej, a „...polskie radio zaczęło powtarzać jego treść co kilka godzin”, co wywołało niechęć społeczeństwa, w wyniku czego Prymas interweniował, aby przerwać ten proceder (s. 72). 15 grudnia Rada Główna Episkopatu wydała komunikat, który „strona rządowa” przyjęła „bardzo negatywnie”. Ks. Prymas zawiesił odczytywanie komunikatu z ambon wskutek przesadzonych informacji od władz na temat sytuacji w Kraju, a także w wyniku wywierania przez nie „presji na księży, żeby go nie czytali”. W miejscu Komunikatu Prymas wydał „Słowo Prymasa do wiernych”, w którym „...chwilowo rządzący docenili perswazję Kościoła wobec społeczeństwa” (s. 74-77).

W sprawie Obywatelskich Komitetów Ocalenia Narodowego Ks. Prymas w homilii z 24 stycznia transmitowanej przez radio z Kościoła Św. Krzyża dał pośrednią zachętę dla katolików świeckich do wstępowania do Komitetów Ocalenia Narodowego”, co stało się w wyniku „niedostatecznego poinformowania” Ks. Prymasa (str. 100). Następnie w liście z 4 lutego do Prezesa Rady Ministrów napisał: „Podzielamy istniejące w społeczeństwie wątpliwości co do samorzutnego powstawania tych Komitetów” (s. 106).

Po demonstracjach 1 i 3 majowych dopiero „Słowo Prymasa Polski do Młodzieży», podkreślające upokorzenia pobitych przez służby porządku publicznego i przeżywających poniżenie młodych ludzi, naprawiło nieporozumienie związane z wcześniejszym wystąpieniem, w którym Prymas w wyniku dezinformacji, mówił o rzucaniu przez młodzież kamieniami, co nastąpiło przecież w obronie przed agresywnością sił porządkowych” (s. 119).

„Spore emocje wśród inteligencji wywołało kazanie Prymasa Glempa do artystów scen warszawskich, wygłoszone 29 listopada 1982”. Prymas wczwał w nim artystów do przerywania bojkotu rządowych mass mediów. W odpowiedzi już 2 grudnia władze ogłosiły rozwiązanie Związku Artystów Scen Polskich. „Władze nie

wzięły w ogóle pod uwagę zgłoszonej w kazaniu Prymasa propozycji aktu dobrej woli” (s. 136).

Dopiero 3 stycznia 1983 r. na spotkaniu z lekarzami ks. Prymas powiedział: „...od wielu miesięcy nie mówię o porozumieniu i ugodzie narodowej, bo tak jak myśmy to rozumieli, to zostało odrzucone” (s. 149).

Ponad rok wcześniej, 13 grudnia na spotkaniu z ks. Arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim Lech Wałęsa potrafił powiedzieć zwyczajnie i po prostu „zostałem oszukany” (s. 68).

Micewski interpretując niektóre wypowiedzi i posunięcia księdza Prymasa często odwołuje się do jego niedoinformowania lub dezinformacji, choć nie powołuje się w tej materii na słowa samego Prymasa. Tam, gdzie dodatkowe wyjaśnienia i wytłumaczenie wydaje się szczególnie potrzebne – komentator i obrońca księdza Prymasa zawodzi w zupełności. Tak m.in. Micewski cytuje fragmenty kazania do misjonarzy i rekolekcjonistów z 28 stycznia 1982 r. W jednym z fragmentów dotyczących „Solidarności” czytamy: „Nie było nikogo, kto by potrafił przedstawić program. Ten program był zresztą niesłychanie trudny i dlatego zgłaszali się do „Solidarności” ludzie, którzy mieli już program gotowy. Program ten nie był jednak ani narodowy, ani kościelny, ani inspirowany chrześcijaństwem. Przypatrzmy się jaki procent wierzących był w „Solidarności” jako masie dziesięciomilionowej, a jaki procent katolików był w Prezydium, czy Komisji Krajowej. Cóż, zastanawiająca odwrotność proporcji” (s. 103). W komentarzu autor książki potrafił powiedzieć tyle tylko, że choć „słowa te mogą budzić emocje, ale prawdy w nich zawartej nie sposób obalić”, podczas gdy czytelnik tu właśnie powinien otrzymać wyjaśnienie, jak rozumieć i jak tłumaczyć ten fragment w kontekście faktów. Podczas I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność w Gdańsku zakończonego 7 października 1981 r. uchwalony został program „Rzeczpospolita Samorządna”. Obszerny ten dokument był przygotowany przez kilkudziesięciosobową Komisję Programową między dwoma turami Zjazdu, a następnie przedstawiony Zjazdowi, przedyskutowany, uzupełniony i poprawiony, po czym przyjęty przytłaczającą większością głosów. Program ten nie tylko w duchu, ale i w literze inspirowany był wyraźnie myślą chrześcijańską, a nawet encyklikami pa-

pieskimi, oraz odwoływał się do tradycji narodowej. Opracowanie tego programu nie było sprawą łatwą; do Komisji Programowej wpłynęły projekty programu przygotowane przez poszczególne regiony na Wałnych Zebraniach Delegatów, poprzedzających Zjazd. Co zaś tyczy procentu katolików w Komisji Krajowej i jej Prezydium, to kandydaci na członków często zapytywani byli przez wyborców o przynależność partyjną. Odpowiedź twierdząca dalece zmniejszała szansę wyboru. Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek kogokolwiek w „Solidarności” i na jakimkolwiek jej szczeblu pytał o wyznanie. Nawiasem mówiąc – może właśnie tamte pytania o przynależność partyjną padające podczas kampanii wyborczej dały asumpt do jednej z późniejszych wypowiedzi księdza Prymasa w wywiadzie udzielonym podczas pobytu w Ameryce Łacińskiej, kiedy to stwierdził, że w „Solidarności” (blisko 10 milionów członków!) większość stanowili członkowie partii? A jak to pogodzić z cytowanym wyżej fragmentem przemówienia do misjonarzy i rekolekcjonistów? W Prezydium Zarządu Regionu Mazowsze, uchodzącego za lewicujący i, by tak rzec, mało klerykałny, wśród jedenastu członków Prezydium było dziewięciu katolików i dwóch ateuszki, co wiem z tytułu bliskiej współpracy i przyjaźni, jako jeden z członków tegoż Prezydium. Jak zatem te wszystkie sprzeczności wyjaśnić? Micewski nam w tym nie pomaga.

Oto inny fragment kazania cytowanego przez Micewskiego: „Myślę, że komuś bardzo zależy na tym, żeby Polska była nie tylko ośrodkiem szerokiego zainteresowania, ale ośrodkiem jakiejś «detonacji wielkiej». Mam możliwość rozmowy z wieloma, których interesują sprawy Europy, sprawy świata. Przychodzą ludzie nie tylko z Polski. Ja się często pytam: jeżeli wy tak pragniecie wolności dla Polski, to dlaczego tylko dla niej? Dlaczego nie mówicie o związkach zawodowych w Albanii, w Bułgarii, Rumunii, lecz akurat tylko w Polsce?” (s. 101-102). Dlaczego ks. Prymas nie potraktował jako wyrazu „pragnienia wolności” dla Węgrów i Czechosłowaków tego odzewu, jaki wśród „ludzi nie tylko z Polski”, wywołały wydarzenia w tych krajach mające miejsce na Węgrzech w roku 1956 i w Czechosłowacji w roku 1968? A odzew opinii światowej na to, co dzieje się w Afganistanie? Dlaczego ks. Prymas wymienił Albanie, Bułgarię i Rumunię, w któ-

rych nie powstały choćby tylko załóżki niezależnych związków zawodowych, zamiast np ZSRR, gdzie próbował coś takiego stworzyć Chlebanow i o czym wówczas nieco mówiło się jednak? Tu znowu Micewski sprawia zawód czytelnikom, skazując ich na wątpliwości, które przecież tak gorliwie zwalcza.

Wygląda na to, że autor książki stawiając sobie ambitny cel, nie docenił trudności interpretacyjnych nastęrczanych przez niektóre wypowiedzi księdza Prymasa, albo też przecenił własne możliwości komentatorskie. Tak czy inaczej, otrzymaliśmy książkę jakby dwuwarstwową. Spod mieszanki natrętnych, miejscami wprost propagandowych sloganów, dowolnych opinii a nawet przeinaczeń podszytych z jednej strony zapędami hagiograficznymi, a z drugiej nader widocznymi uprzedzeniami i fobiami autora, wylania się materia faktów nie zawsze wygodnych i nie koniecznie takich, jakimi chciałby je widzieć Micewski. Swoją drogą, jeśli księdzu Prymasowi starczyło czasu i chęci, by przebrnąć przez książkę Micewskiego, to chyba w końcu musiał westchnąć do Pana Boga: Panie Boże, broń mnie od przyjaciół, bo od wrogów sam się obronię.

Wiktor Kulerski

NAKŁADEM ANEKSU

Małgorzata Szejnert

**SŁAWA I INFAMIA**

**Rozmowa z BOHDANEM KORZENIEWSKIM**

o teatrze i ludziach z nim związanych  
w czasach okupacji, stalinizmu, „Solidarności” i obecnie.

Str. 190

ceną: £5,00 – \$11,00

# książki

Stanisław Barańczak

## Horyzont absolutny

Václav Havel:

*Letters to Olga: June 1979 – September 1982*

przełożył z czeskiego Paul Wilson,  
Alfred A. Knopf, New York, ss. 397.

Za kilka stuleci któryś z historyków starożytnej kultury dwudziestego wieku wysunie zapewne tezę, że spośród gatunków literackich uprawianych w naszej epoce najwyższym stopniem wyrafinowania odznaczał się list z więzienia. Znacznie już oddalony od przesiąkniętego krwią poletka historii, na którym rosła nasza kultura, i zdolny do spoglądania na nią z bezpiecznego dystansu, taki przyszły badacz dostrzeże w jej poszczególnych wytworach zaledwie zastosowania teoretycznych zasad estetyki. I rzeczywiście: jeśli doskonałość estetyczną mierzyć stopniem zręczności, z jaką autor igra z narzuconymi ograniczeniami, wtedy list więźnia politycznego osadzonego w którymś z więzień dwudziestowiecznej Czechosłowacji, Argentyny, Chin, Kuby czy Południowej Afryki z pewnością bije na głowę najprecyzyjniej skonstruowane *cansos* prowansalskich trubadurów, japońskie *haiku*, albo klasyczne tra-

gedie. Nawet te krańcowo sformalizowane gatunki ustępują więziennej epistolografii pod względem ścisłości, z jaką utwór musi się stosować do szczegółowego systemu zakazów i nakazów, regulujących jego rozmiary, układ, styl, ton i treść. I jeszcze wyraźniej niż w innych podobnych wypadkach literacka maestria przejawia się w tym, jak autor radzi sobie z tymi regułami – jak ich przestrzega a zarazem przemycza w ich opakowaniu swoje własne przesłanie, jak daje się zamknąć w granicach obowiązującego modelu wypowiedzi, a jednak wypełnia ten schemat natarczywą niepowtarzalnością swego indywidualnego głosu.

Jedyną różnicę stanowi tu może fakt, że prowansalski trubadur zmuszony był do manewrowania w ramach ograniczeń wyprodukowanych, żeby tak rzec, od wewnątrz, przez samą literaturę, przez rosnącą komplikację i wyrafinowanie samego gatunku. W porównaniu z tym, dwudziestowieczny więzień ograniczany jest regułami narzuconymi przez czynniki raczej pozaliterackie i nie zanadto wyrafinowane: mam oczywiście na myśli osobistości w rodzaju szefa tajnej policji, dyrektora więzienia, lub tego wkładu nowoczesnych systemów penitencjarnych w postęp cywilizacji, jakim jest tak zwany oficer wychowawczy (którego funkcje zawodowe, jak sama nazwa wskazuje, polegają głównie na cenzurowaniu korespondencji). No, dałoby się może wskazać – w imię całkowitej ścisłości – jeszcze jedną różnicę. Jeśli trubadurovi zdarzyło się zakłócić przepisowy schemat rymów czy wzorzec strofy, ryzykował zaledwie tym, że mógł się znaleźć poza obrębem tego czy innego gatunku. Jeśli natomiast więzień nie przestrzega przepisów regulujących jego korespondencję, ryzykuje tym, że znajdzie się raczej w obrębie niż poza obrębem, mianowicie w obrębie karceru bez prawa odwiedzin. Nie mówiąc już nawet o tym, że jego nieprzepisowy list nie zostanie w ogóle wysłany.

Jak każdy gatunek literacki, tak i list więzienny ma naturalnie swoje podgatunki. Z grubsza biorąc, da się ich wyróżnić trzy. Podgatunek pierwszy reprezentuje czystą potencjalność: należą doń listy, które nie istnieją. Ich niedoszli autorzy mieli tego pecha, że żyli za panowania ustrojów politycznych zbyt zaabsorbowanych budową takiej czy innej wersji promiennej przyszłości, aby trwonić energię na cenzurowanie korespondencji więźniów: całkowity



zakaz takowej jest w podobnych sytuacjach wyjściem nie tylko prostym, ale i ekonomicznie uzasadnionym. Do tej kategorii zaliczają się nie istniejące listy więźniów hitlerowskich obozów zagłady czy niektórych obozów pracy na Syberii, jak również nie istniejące listy poszczególnych jednostek trzymanych za kratami *incommunicado* przez inne rządy czy policje. Podgatunek drugi tworzą listy teoretycznie zabronione, jednak napisane (jeśli nie na papierze, to na innych dostępnych materiałach takich jak bibułka papierosowa, strzęp prześcieradła itp.) i przemycone poza mury. Wreszcie na trzeci – i najpowszechniej spotykany – podgatunek składają się listy więzienne dozwolone oficjalnie przez stosunkowo łagodniejsze reżymy, które zresztą przy całej łagodności są z reguły na tyle przezorne, aby te listy równie oficjalnie cenzurować.

Wbrew temu, co można by przypuszczać, sztuka pisania tego rodzaju „otwartych” (w dosłownym sensie) listów z więzienia nie jest wcale mniej trudna i skomplikowana niż sztuka pisania listów szmuglowanych. To raczej właśnie te ostatnie tworzą stosunkowo prostszy podgatunek więziennej epistolografii: w ich wypadku ograniczenia gatunkowe odnoszą się głównie do kwestii fizycznych rozmiarów tekstu. Konieczność miniaturyzacji grypsu to doprawdy minimalne ograniczenie w porównaniu z systemem zawitych przepisów, do których musiał się stosować w swojej oficjalnie dozwolonej korespondencji z kolejnych cel więziennych w latach 1979-82 czeski dramaturg z drugiej połowy XX wieku, Václav Havel. W jego przypadku pedantyczne reguły i restrykcje określały z nieludzką drobiazgowością niemalże każdy aspekt poetyki listu. Były to, po pierwsze, ograniczenia częstotliwości wypowiedzi: Havel miał prawo do wysyłki nie więcej niż jednego listu na tydzień. Po drugie, ograniczenia rozmiarów tekstu: list nie mógł zajmować więcej niż cztery stroniczki. Po trzecie, ograniczenia w wyborze adresata: listy można było kierować wyłącznie do najbliższej rodziny. Po czwarte, ograniczenia tematyczne: wyłącznie „sprawy rodzinne”, ani słowa o warunkach więziennych, aluzje polityczne lub inne wywrotowe rozważania – surowo wzbronione. Po piąte, ograniczenia dotyczące tonu listu: wszelki humor był zakazany, jako czynnik podminowujący surowość kary. Po szóste, ograniczenia słownictwa: niedozwolone były wyrazy lub zwroty obce. Po siódme, ograniczenia charakteru pis-

ma: listy musiały być czytelne i pozbawione skreśleń czy poprawek. Po ósme, trochę już za pedantyczne nawet jak na tę pedanterię ograniczenia interpunkcji i graficznego kształtu listu: dokładnie określona szerokość marginesów, cudzysłowy – wzbronione, podkreślenia – wzbronione. Listę tę można by ciągnąć dalej, i należałoby do niej dołączyć osobną listę niepisanych samoograniczeń, które autor, świadom czujnej obecności cenzorskiego spojrzania, musiał sobie narzucić z przyczyn pragmatycznych albo emocjonalnych. Nie mógł na przykład pozwalać sobie na otwarte wzmianki o działalności swoich przyjaciół-dysydentów, a to z obawy przed wplątaniem ich we własną sprawę lub zaszkodzeniem im w inny sposób; z oczywistych powodów zmuszony był też wystrzegać się otwartości innego rodzaju, na przykład nadmiernej intymności w zwracaniu się do żony; musiał, krótko mówiąc, unikać wszystkiego, co wystawiłoby jego samego i innych na dodatkowe sztychy ze strony pozbawionego skrupułów przeciwnika.

Gdy zważyć wszelkie te ograniczenia i samoograniczenia – w samej rzeczy nieskończenie bardziej wymagające i pociągające za sobą nieporównanie większe ryzyko niż żonglowanie pięciokrotnymi rymami i wymyślnymi strofami – może się wydać cudem, że list z więzienia zostaje w ogóle napisany, wysłany i doręczony. Cudem do drugiej potęgi może się zaś wydać to, że nadawcy udaje się w takim liście napisać coś, co ma choć odrobinę sensu. Wiemy jednak skądinąd, że właśnie na tym polega główny cud sztuki: rozkwita ona wtedy, gdy musi przezwyciężać trudności. Skrępowanie niezliczonymi regułami unieruchamia i wyjaławia autora, i owszem, ale tylko wtedy, gdy tak czy owak nie ma on wiele do powiedzenia. Gdy ma natomiast do powiedzenia coś naprawdę istotnego, może się zdarzyć, że właśnie lawirowanie wśród przepisów i restrykcji prowadzi go – nie, niekoniecznie do tworzenia jeszcze jednej wersji mowy ezopowej: raczej do wynajdywania sposobów, aby w słowach i zdaniach zmieścić więcej znaczeń, niż to jest możliwe w normalnej mowie; do nadawania wypowiedzi, właśnie poprzez to naładowanie jej sensami, cechy n i e z b ę d n o ś c i , której brakuje zwykłym formom słownej komunikacji. Ta niezbędność to w gruncie rzeczy kwintesencja wszelkiej prawdziwej poezji – i zarazem powód, dla którego niejeden pisany w tym stuleciu list więzienny jest w równej mierze bezpośrednim

ludzkim świadectwem, jak i pomnikiem literatury. Sztuka pisania listów z więzienia wspiera się na tej samej zasadzie co, z jednej strony, przyjemna sztuka przygotowywania paczki dla więźnia, a z drugiej – wzniosła sztuka układania sonetów: Jeśli ma się do dyspozycji minimum przestrzeni, trzeba ją wypełnić tym, co się naprawdę liczy. Jeśli pozwalają nam napisać ledwie cztery stroniczki tygodniowo i zabraniają nawet podkreślać słów, trzeba te stroniczki nabić sensem do granic wytrzymałości, a ważność słowa czy zdania uczynić sprawą tak niewątpliwą, że podkreślanie go staje się zbędne. Więzienie nie jest dla pisarza najbardziej komfortowym miejscem do pracy, jest jednak z pewnością dobrą szkołą wartości słowa pisanego.

Symbolem daremności wszelkich prób dławienia ludzkiej myśli i mowy pozostanie na długo fakt, że to właśnie złośliwie utrudniająca korespondencję przepisy czechosłowackich władz więzennych nadały 144 listom Václava Havla tyle znaczenia i głębi. Gdyby dano mu wolną rękę i nie zaglądano przez ramię, napisałby zapewne w swojej celi coś równie interesującego, ale traktującego o wyeksploatowanym już przez więzienną literaturę obszarze zewnętrznych faktów lub wewnętrznych emocji – jeden z wielu opisów codziennego życia w więzieniu lub jeden z wielu dokumentów uczuć więźnia do kobiety czekającej poza murami. *Listy do Olgi* są w pewnym sensie jednym i drugim, ale są także czymś więcej. Regulaminowe ograniczenia zmusiły Havla do skupienia się na tym, co w jego doświadczeniu było najistotniejsze, co tworzyło jego nieredukowalny metafizyczny rdzeń. Powstało dzieło, które z pozoru jest serią listów, adresowanych do żony autora, Olgi, i poruszających dozwolone „sprawy rodzinne” (włącznie z nader konkretnymi doniesieniami o stanie zdrowia nadawcy czy drobiazgowymi instrukcjami dotyczącymi zawartości przysyłanych mu paczek). Ale pod tym pozorem ukrywa się traktat filozoficzny w tygodniowych odcinkach – dzieło przeznaczone dla całego pozawięziennego świata i roztrząsające uniwersalne dylematy ludzkiej tożsamości i odpowiedzialności. Paradoks polega więc na tym, że właśnie ograniczenia osobistej wolności autora doprowadziły do narodzin książki, która broni sprawy ludzkiej wolności z siłą przekonania nie mającą sobie równej w dzisiejszej literaturze. Nie trzeba w tym miejscu dodawać, że byłoby dość

głupio i niebezpiecznie awansować ten paradoks do rangi powszechnego prawa przyczynowo-skutkowego. Atmosfera niewoli czy prześladowań niekoniecznie służy sztuce i myśli: na odwrót, ich dławienie jest zapewne jedyną dziedziną, w której represyjne nastroje osiągają autentyczne sukcesy. Można raczej powiedzieć, że sztuce i myśli uda się czasem ocaleć na zasadzie cudu czy wyjątku – niemniej, każde takie ocalenie odbiera wszelki sens wysiłkom prześladowców.

Coś takiego stało się z pewnością udziałem listów Havla. I coś takiego stało się też udziałem jego legendarnej postaci i biografii. Nie ma chyba Czecha, który byłby bardziej niż on znany i popularny w dzisiejszej Polsce – gdzie, właśnie w chwili gdy to piszę, odbywają się kolejne akcje protestu przeciw jego kolejnemu uwięzieniu. Zbędny jest więc w tym miejscu szczegółowy życiorys pisarza; wypada co najwyżej przypomnieć, od jak dawna jest on solą w oku czechosłowackich władz partyjnych, policyjnych i penitencjarnych. Wydarzenie, które stało się bezpośrednią przyczyną sprawczą *Listów do Olgi* – aresztowanie Havla (wraz z pięciorgiem innych sygnatariuszy Karty 77) w czerwcu 1979 pod zarzutem działalności wywrotowej w postaci rozpowszechniania materiałów bezdebitowych (głównie komunikatów Komitetu Obrony Bezprawnie Prześladowanych) i skazanie go kilka miesięcy później w parodii procesu na cztery i pół roku więzienia – było tylko ogniwem, nie pierwszym i nie ostatnim, w długim łańcuchu represji. W roku 1970 Havel był już wytrawnym praktykiem zarówno sztuki pisania jak i sztuki odsiadywania wyroków za działalność opozycyjną.

Działalność ta rozpoczęła się dla niego w roku 1956, gdy jako dwudziestoletni poeta wystąpił publicznie w obronie nieortodoksyjnych starszych pisarzy, „zapomnianych” przez państwowych wydawców i oficjalną krytykę. Od roku 1960 Havel związał swój losy z teatrem, podejmując pracę przy jednej z awangardowych scen praskich, początkowo jako pomocnik fizyczny, później jako dramaturg i kierownik literacki. Jego pierwsze sztuki, „Garden party” (1963) i „Memorandum” (1965), otwierają długą serię dramaturgicznych sukcesów na scenach Czechosłowacji i Zachodu. Jednocześnie, mniej więcej w połowie lat sześćdziesiątych, zaczyna wzrastać jego aktywność w radykalnie demokratycznych

kręgach młodej inteligencji. Havel redaguje głośne pismo literackie *Tvář*, a później, już w okresie Praskiej Wiosny, zostaje jednym z założycieli Koła Pisarzy Niezależnych w ramach oficjalnego Związku Literatów. Znacznie mniej łatwowierny i znacznie dalej posuwający swoją krytykę panującego systemu niż większość umiarkowanych rewizjonistycznych kolegów po piórze, po niedługim czasie staje się naturalnie przedmiotem otwartych ataków i szykan. W rok po bratniej inwazji 1968 za swój protest przeciwko linii politycznej Husáka otrzymuje pierwszy zarzut prokuratorski, choć tym razem proces ulega bezterminowemu odroczeniu.

To jednak dopiero początek. W ciągu 'lat siedemdziesiątych – kiedy to powstają jego najlepsze jak dotąd sztuki i szkice polityczne – represje wobec Havla przybierają na sile i różnorodności. Jego słynny esej w formie listu otwartego do Husáka (1975) nie pociąga jeszcze za sobą natychmiastowych i bezpośrednich sankcji karnych, ale wkrótce potem, zwłaszcza po narodzinach Karty 77, Havel staje się jednym z najbardziej zagrożonych intelektualistów czeskich. Zagrożony jest nie tylko w sensie częstotliwości przydarzających mu się bezustannie zatrzymań, przesłuchań, inwigilacji, podsłuchów i obszernego repertuaru innych szykan, lecz również w tym sensie, że traktuje się go coraz wyraźniej jako przypadek specjalny: jego nie poddawany przez nikogo w wątpliwość autorytet moralny trzeba jak najprędzej opluskwić i zerzwać, aby w ten sposób skompromitować cały reprezentowany przez niego ruch. W początkach roku 1977 Havel zostaje aresztowany i kilka miesięcy później, wciąż jeszcze nie w pełni wyszkolony w sztuce politycznej odsiadki, popełnia dość lekkomyślny błąd: uważając to za rutynowy zabieg i nie przywiązując do sprawy większej wagi, kieruje do władz prośbę o zwolnienie z więzienia. Fragmenty podania, oczywiście wyjęte z kontekstu i złośliwie zintertrowane, ogłaszają natychmiast państwowe środki przekazu. Zwolnienie Havla, które następuje wkrótce potem, tłumaczy się oficjalnie jako nagrodę za to, że się ugiał. (Kilka lat później, w *Listach do Olgi*, Havel określi tę aferę jako traumatyczne doświadczenie, które przyniosło mu mnóstwo cierpień i upokorzeń, lecz także pozwoliło mu jaśniej zdefiniować jego własne stanowisko etyczne. Od tego momentu jego taktyka wobec reżymu i jego agentów jest krańcowo prosta: należy grze-

nie ale stanowczo odnawiać ułatwiania im czegokolwiek. Po aresztowaniu w 1979 na przykład władze dały mu do zrozumienia, że zostanie bezzwłocznie zwolniony, jeśli tylko zgodzi się przyjąć zaproszenie do Stanów Zjednoczonych; tę nieznacznie tylko zamaskowaną ofertę emigracji Havel bez namysłu odrzucił.)

W roku 1977 próba zdyskredytowania Havela zawiodła jednak na całej linii i po zwolnieniu pisarz rozwinął jeszcze żywszą niż przedtem działalność w kręgach dysydenckich. Aresztowania i procesy nie kazały na siebie długo czekać. W październiku 1977 Havel otrzymuje wyrok czternastu miesięcy z zawieszeniem za działalność zmierzającą do obalenia ustroju; w styczniu 1978 zostaje aresztowany i zwolniony dopiero po paru miesiącach. Jednocześnie nabiera rozmachu nieprawdopodobnie zawzięta i małostkowa kampania osobistych szykan, obejmująca najrozmaitsze formy łagodnej perswazji od inwigilacji policyjnej przez okrągłą dobę do uszkodzania samochodu przez „nieznanych sprawców”. W gruncie rzeczy kolejne aresztowanie i proces w roku 1979 można interpretować jako posunięcie władz zrodzone z czystej desperacji; Havel po prostu nie dawał się złamać ani skompromitować toteż jego prześladowcom pozostało jedno tylko wyjście: wsadzić go za kraty. Cztery i pół roku, które miał spędzić za tymi kratami, a zwłaszcza za drutami obozu pracy przymusowej w Ostrawie, wydawało się gwarantowaną metodą zmiękczenia zatwardziałego dysydenta. A jednak plan znowu spał na panewce. Havel, podobnie jak jego współtowarzysze z ławy oskarżonych, nie załamał się w trudnych warunkach więziennych; odnosił się do niego z szacunkiem nawet dzielący z nim celę kryminaliści. Nie wytrzymało tylko jego zdrowie: po długiej serii fizycznych przypadłości rozchorował się poważnie w styczniu 1983 i – dzięki zorganizowanej na Zachodzie kampanii protestów w jego sprawie – został nareszcie, po trzech latach i ośmiu miesiącach więzienia, przedterminowo zwolniony.

To, że w ciągu owych trzech lat i ośmiu miesięcy zmagania się z chorobami i fizycznym wyczerpaniem Havel był mino wszystko zdolny do systematycznego myślenia i pisania, jest samo w sobie nieprzemijającym świadectwem wytrzymałości, jaką potrafi z siebie wyrzesać duch ludzki. Havel pisał swoje listy w nieliczne dni wolne od pracy, w zatłoczonych celach i w warunkach nie pozwa-

lających na skupienie: jego uwagę odrywali to dokonujący przeszukań strażnicy, to znów przekrzykujący się więźniowie. W praktyce skazany był na próby spisywania, za jednym posiedzeniem i bez poprawek, wszystkiego, co sobie przemyślał podczas minionego tygodnia. Kopii listów nie wolno mu było sporządzać, musiał więc zapamiętywać ich treść i wzajemny układ. Nie trzeba nawet dodawać, że w filozoficznych medytacjach nie służyła mu większą pomocą żadna z bibliotek więziennych: dzieła myślicieli niemarksistowskich były w nich, rzecz jasna, reprezentowane raczej ubogo. A jednak mimo tych wszystkich utrudnień system myślowy, w który wciąga nas lektura listów, stanowi zaskakujący przykład konsekwencji, spójności, przejrzystości i skrupulatności w zgłębianiu wszystkich bocznych odnóg, jakie umysł napotyka na swej drodze ku zrozumieniu.

Właśnie ta schłodna precyzja umysłu Havla jest intrygującym dopełnieniem jego odwagi. Brak mi źródłowej wiedzy o tym, jak go w tych latach widzieli jego rodacy, żywo jednak pamiętam szybko rosnącą popularność i jednomyślny szacunek, jakim cieszył się wtedy w kręgach dysydenckich w Polsce. Dotyczy to szczególnie okresu zapoczątkowanego przez publikację w *Krytyce* (której był zagranicznym współredaktorem) przekładu jego eseju z roku 1978 pt. „Siła bezsilnych” – zdaniem wielu, niezrównanej analizy zawilej dialektyki zgody i oporu w post-totalitarnych społeczeństwach Europy wschodniej. W Havlu rderzała nas jednak wówczas przede wszystkim odwaga jego politycznych przekonań. *Listy do Olgi* są dowodem, że te przekonania – i ta odwaga – wyrażają bezpośrednio z konsekwentnego systemu filozoficznego.

Ma się rozumieć, Havel nie jest oryginalnym filozofem i sam się za takiego nie uważa. Fundamentem jego refleksji są znane skądinąd, podstawowe kategorie fenomenologii i egzystencjalizmu, szczególnie Heideggera („Byt”, „bycie-w-świecie”, sytuacja „w. zucenia w świat” itp.) – kategorie zakotwiczone w jego umyśle dzięki wcześniejszym lekturom czy dyskusjom z legendarnym fenomenologiem Janem Patočką. Z drugiej strony, systematyczne podejście do spraw Bytu i indywidualnego istnienia wydaje się zgodne z naturalnymi skłonnościami Havla. Charakterystyczne jest, że do surowca swego doświadczenia, włącznie z sytuacją osadzenia w więzieniu, podchodzi on na sposób artystycznie-twórczy

– jak dramaturg. Doświadczenie to objawia mu się jako chaotyczna substancja faktów i zdarzeń, której dopiero trzeba nadać jakiś znaczący porządek; do tego zaś celu szczególnie się nadaje znamionująca Havela wyobraźnia teatralna. Autor *Listów do Olgi* przy paru okazjach zastanawia się nad przyczynami, dla których został dramaturgiem. Poza awersją do „publicznego rozbiierania się”, emocjonalnego ekshibicjonizmu, na który odtrutką jest obiektywizm prezentacji teatralnej, głównym powodem wydaje mu się leżąca u podstaw teatru idea rygoru:

Jako ktoś, kto zawsze czuje się usytuowany trochę na zewnątrz istniejącego porządku lub na jego marginesach, mam – co zrozumiałe – zwiększone poczucie porządku (czy nie to samo znamionowało Kafkę?). Właściwe teatrowi znaczenie struktury, organizacji, kompozycji – chodzi mi po prostu o to, jak ważny jest w nim rygor – zawsze mnie pociągało i pociąga. (Któż miałby być bardziej zainteresowany porządkiem niż ten, kto go bezustannie kwestionuje?)

Na sposób dramaturga zatem Havel interpretuje swoją sytuację egzystencjalną – swoje „wrzucenie w świat” – poprzez nadanie jej struktury dramatycznej z jej podstawowymi kategoriami czasu i przestrzeni. Zasadnicze znaczenie mają tu zwłaszcza koncepcje „pamięci Bytu” i koncentrycznych „horyzontów” otaczających jednostkę. W przeciwieństwie do wielu myślicieli, obsesyjnie poszukujących odpowiedzi na pytanie o źródło zła, Havel zaczyna od postawienia pytania o odwrotnej treści: Jak ludzkie dobro jest w ogóle możliwe? Co sprawia, że zachowujemy się niekiedy przyzwoicie, nawet gdy nie liczymy na żadną nagrodę? Jako ilustracja tego problemu pojawia się w listach charakterystycznie konkretna sytuacja: ktoś wsiada do pustego tramwaju bez konduktora i, zanim wysiadzie na najbliższym przystanku, wykupuje w automacie bilet, choć nikt go nie obserwuje. Co go do tego skłoniło? Ciśnienie odziedziczonych społecznych norm zachowania? „Głos wewnętrzny” sumienia? Tak, ale co wytworzyło owe zewnętrzne normy i w czym imieniu odzywa się wewnętrzny głos?

Jedyną możliwą odpowiedzią – utrzymuje Havel – jest to, że człowiek nigdy nie jest całkowicie zdany sam na siebie. Owszem, może być w sensie fizycznym zupełnie sam; nawet wtedy jednak odczuwa obecność „obserwatora”, „badawczego oka”, które oce-



W sposób – znowu – wysoce dla siebie charakterystyczny Havel woli więc nawet w kwestiach metafizyki stać obiema nogami na ziemi. Na jego prywatną osobowość – czego Havel w swoich listach bynajmniej nie ukrywa – składa się silny pociąg do zwykłych przyjemności życia (nawet mizernych przyjemności życia więziennego w rodzaju zaparzenia sobie kubka mocnej herbaty); również jego działalność publiczna nic wynika w najmniejszym stopniu z jakiegos fanatyzmu czy pogoni za męczeństwem, lecz raczej z potrzeby przywrócenia normalności nienormalnemu światu. Podobnie wreszcie jego wiara nie jest wiarą mistyka. Manifestuje się ona nie w rozrzedzonym powietrzu niebiańskich sfer, ale w dostępnym zmysłom obszarze ludzkich spraw na tej Ziemi. W całej rozciągłości zdaje sobie Havel sprawę z „głęboko paradoksalnego charakteru ludzkiej egzystencji: «ja» może dostąpić tego rodzaju Bytu, za jakim tęskni (to znaczy pełni Bytu), jedynie poprzez swoje własne bycie-w-świecie i przez określony sposób tego bycia”. Co za tym idzie, Havel uznaje ludzką świadomość „pamięci Bytu” za źródło naszego konkretnego poczucia odpowiedzialności. Skoro „nic, co się stało, nie może się od-stać”, zatem „Sąd Ostateczny dokonuje się teraz, ciągle, zawsze”, wraz z każdym poszczególnym ludzkim postępkim. A odpowiedzialność z kolei „ustanawia tożsamość”:

Istotnie: jeśli wiem, co i dlaczego uczyniłem, co i dlaczego czynię, jeśli naprawdę potrafię stanąć za tym postępkim i przyznać się do niego (choćby przed samym sobą) – wtedy nawiązuję ciągly stosunek z czymś stałym, z czymś, co „zdo-bywam” na swoim „niestałym” otoczeniu, i w ten sposób sam staję się w ostatecznym rozrachunku czymś „względnie stałym” – czymś uchwytnym, czymś, co posiada ciągłość i integralność. Krótko mówiąc, jestem „kimś” – kimś, kto jest tożsamy z samym sobą.

W tym sensie sama tożsamość ustanowiona poprzez poczucie odpowiedzialności, poprzez odniesienie do „horyzontu absolutnego”, stawia człowieka po stronie „porządku Bytu” a przeciw „porządkowi śmierci” albo Nicości. Ten zwłaszcza argument musi w pełni wziąć pod uwagę każdy, kto zadaje sobie pytanie o mechanizm nowoczesnego heroizmu – kto chciałby zrozumieć, co właściwie stoi za pozorną donkiszoterią ludzi w rodzaju Havela, co po-

nia każde jego działanie i nadaje mu sens. O naszym człowieczeństwie stanowi właśnie fakt, że, choć jesteśmy wyobcowani z uniwersalnego Bytu, traktujemy mimo wszystko porządek Bytu jako „system współrzędnych” względem których możemy sytuować nasze jednostkowe istnienia. I jest to system nieskończenie bardziej stały i powszechny niż normy naszego środowiska lub nakazy naszego sumienia. Inne „horyzonty”, jakimi człowiek się otacza – te, które wyznaczają granice jego fizycznych i duchowych „domostw” – są z pewnością bliższe i bardziej uchwytnie; z tych horyzontów można go jeńsk odrzeć, a wtedy człowieczej egzystencji pozostaje tylko jeden, ostateczny układ odniesienia: „horyzont absolutny”, którym jest „pamięć Bytu”.

Ten ostatni termin zawiera w sobie kwintesencję systemu Havela. Jego podstawową przesłanką jest przekonanie, że „nic, co się stało, nie może się odstać”: każdy ludzki postępek pozostaje w „pamięci Bytu”, która go utrwala i zarazem służy mu jako niezmienny punkt odniesienia, „sąd najwyższej instancji”. Doświadczenie „kontaktu z absolutnym horyzontem Bytu” – pisze Havel w jednym z listów – można sobie wyobrazić jako „podwodny łańcuch górski”, który „nadaje spójność i integralność wszystkim oddzielnym «wypom sensu» rozsianym po oceanie Nicości – i zapewnia jedyną skuteczną obronę przeciwko tej Nicości”.

W tym miejscu pojawia się naturalnie pytanie, czy „pamięci Bytu” nie można by po prostu nazwać Bogiem. W istocie rzeczy właśnie wiarę ma przecież na myśli Havel, kiedy mówi o orientowaniu się na „horyzont absolutny” jako jedynej dostępnej nam obronie przeciw pozornemu absurdowi egzystencji. Jedynym powodem, dla którego autor *Listów do Olgi* nie wymienia wprost Boga, jest dążenie do uczciwości i precyzji:

Obce mi jest mistyczne doświadczenie autentycznego, osobistego objawienia, tej decydującej o wszystkim „ostatniej kropli”. Nie ulega wątpliwości, że pod moje „coś” czy „horyzont absolutny” mógłbym po prostu podstawić słowo „Bóg”, ale nie byłoby to postępkami zbyt odpowiedzialnym. Usiłuję opisać rzecz z całą precyzją, na jaką mnie stać, tak jak mi się przedstawia i jak ją odczuwałam; innymi słowy, nie chcę symulować pewności tam, gdzie żadnej pewności nie ma.

pycha ich do beznadziejnej (jak by się mogło wydawać) i samotnej walki z gigantycznymi wiatrakami zorganizowanej przemocy. Tak zwany trzeźwy obserwator, który swój powierzchowny brak złudzeń bierze za dogłębne zrozumienie natury ludzkiego świata, nie może nie uznać tego rodzaju szarż za objaw samobójczego braku rozsądku. A jednak obserwator nie ma racji. Ludzie tacy jak Havel są z początku rzeczywiście samotni – i nie może być inaczej, skoro wierzą, że „odpowiedzialność powinna być nie przedmiotem kazań, ale czymś realizowanym w praktyce, a zabrać się do jej realizacji można tylko zaczynając od samego siebie.” W dalszej perspektywie jednak sytuacja przedstawia się odmiennie:

(...) Zacząć muszę ja sam. Ale rzecz ciekawa: gdy tylko zacznę – to znaczy, gdy tylko spróbnę – tu i teraz, w miejscu, w który.n się znajduję, nie szukając usprawiedliwienia w tym, że gdzieś irdziej byłoby łatwiej, bez szumnych tyrad i ostentacyjnych gestów, za to tym nporczywiej – żyć w harmonii z „głosem Bytu”, tak jak go rozumiem w sobie samym – gdy tylko zacznę tak żyć, odkrywam nagle ku mojemu zaskoczeniu, że nie jestem ani jedynym, ani pierwszym, ani najważniejszym z tych, którzy puścili się w tę drogę (...). To, czy wszystko jest naprawdę stracone czy też nie, zależy całkowicie od tego, czy ja sam jestem lub nie jestem stracony.

Idea „siły bezsilnych” tylko z pozoru sprawia wrażenie paradoksu. Jako praktyczne przedłużenie metafizyki Havla tego rodzaju koncepcja polityczna nie zawiera w sobie żadnej wewnętrznej sprzeczności. Bo też nie chodzi w niej o pragmatyczną, krótkowzroczną wizję sukcesu czy zwycięstwa. Czy też, żeby to inaczej njąć: jej wirja zwycięstwa mieści się w dłuższej perspektywie i na innej płaszczyźnie niż to wszystko, z czym słowo „zwycięstwo” kojarzy się politykom. „Siła bezsilnych” to w gruncie rzeczy jedynie nasz ludzki przejaw czegoś nieporównanie trwalszego, czego nie da się zdławić czy zniszczyć: potęgi „porządku Bytu”, potwierdzanej i umacnianej przez każdy jednostkowy akt człowieczej odpowiedzialności.

Stanisław Barańczak

## noty o autorach

**STANISŁAW BARAŃCZAK** – ur. w 1946 r. Profesor na Uniwersytecie Harvarda. Najnowsze publikacje: *Atlantyda i inne wiersze z lat 1981-1985* (1986), *Przed i po. Szkice o poezji krajowej przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych* (1988), *Widakówka z tego świata* (1988).

**BRIGITTE BERGER** – autorka m.in. książek: *Societies in Change* i *The War over the Family* (1983, wraz z P. L. Bergerem).

**PETER L. BERGER** – profesor uniwersytetu w Bostonie. Autor książek m.in.: *The Social Reality of Religion* (1969), *Pyramids of Sacrifice: Political Ethics and Social Change* (1974), *Excursions in Society. Politics and Religion* (1977), *The Capitalist Revolution* (1986).

**ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI** – ur. w 1928 r. Profesor Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku oraz w Centrum Badań Strategicznych i Międzynarodowych w Waszyngtonie. Ostatnio opublikował: *Power and Principle* (1983), *The Game Plan* (1986), *The Grand Failure: The Birth and Death of Communism in the Twentieth Century* (1989). Nakładem Wydawnictwa Aneks ukazał się wybór jego szkiców politycznych pt. *Myśl i działanie w polityce międzynarodowej* (1989).

**MACIEJ GIERTYCH** – profesor, sekretarz Prymasowskiej Rady Społecznej, członek Rady Konsultacyjnej.

**KARDYNAŁ JÓZEF GLEMP** – Prymas Polski.

**ROBERT KACZMAREK** – ur. w 1947 r. Przygotowuje pracę doktorską z elektroniki mocy na Uniwersytecie Pierre i Marie Curie w Paryżu.

**JÁNOS KIS** – ur. w 1943 r. Filozof, działacz polityczny. Autor książki *Filozofia praw człowieka* (wyd. węgierskie 1987, wkrótce wydania pol-)

skie, angielskie, francuskie i niemieckie). Redaktor niezależnego pisma węgierskiego *Beszélő*. Współzałożyciel Związku Wolnych Demokratów na Węgrzech.

PAWEŁ KUCZYŃSKI – ur. w 1951 r. Adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Ostatnio opublikował: „Miłość romantyczna i gwałt, czyli system nieodwzajemnionego zaufania”, w: A. Rychard i A. Sulek (red.), *Legitymacja. Klasyczna koncepcja i polskie problemy*, Instytut Socjologii UW, Warszawa 1988, „Ruch samorządów pracowniczych: między walką a grą z systemem”, w: W. Morawski i W. Kozek (red.), *Zalamanie ładu etatystycznego* Instytut Socjologii UW, Warszawa 1988.

WIKTOR KULERSKI – historyk sztuki, pracownik Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Działacz „Solidarności”. W czerwcu 1989 r. wybrany na posła do Sejmu z listy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”.

SEYMOUR MARTIN LIPSET – profesor nauk politycznych w Stanford University oraz profesor socjologii w Hoover Institution. Ważniejsze książki: *Political Man* (1960), *Revolution and Counterrevolution* (1968, 1970, 1988), *Consensus and Conflict* (1985).

MARK PALMER – ambasador Stanów Zjednoczonych w Budapeszcie.

KAZIMIERZ Z. POZNAŃSKI – ur. w 1946 r. Profesor w Henry Jackson School of International Studies na Uniwersytecie Waszyngtońskim w Seattle. Autor książki *Technology, Competition and the Soviet Bloc in the World Market*, Institute of International Studies, University of California, Berkeley 1987, Publikował m.in. w *Soviet Studies*, *World Politics*, *International Organization*, *World Development*.

1700 zt